

DARIA ORLICZ



CUDZE
GRZECHY

Daria Orlicz

Cudze grzechy

1

Ściemniało się, kiedy wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w dzinsach, ciemnej bluzie i naciągniętym na głowę kapturze wszedł na teren niewielkiego ośrodka wczasowego i ruszył przez porośnięty iglakami plac. Wchodząc do wynajętego na weekend drewnianego domku, szumnie nazywanego przez właściciela „apartamentem przy wydmach”, zerknął przez ramię, jakby chciał się upewnić, czy nikt mu się nie przygląda. Ale brukowany plac pomiędzy budynkami był pusty. Zapadający zmrok i idący od strony morza porywisty wiatr skutecznie przepłoszyły kilku maruderów, którzy tu, na obrzeżach niewielkiego nadmorskiego miasteczka, szukali ciszy i relaksu kilka tygodni po pełni sezonu. Domyślał się, że latem bywało tu głośno i tłoczno, jednak teraz, w październiku, tylko przed jednym z domków stała kilkuletnia skoda. Ale przecież on nie szukał tu towarzystwa. Jemu chodziło właśnie o tę jedną jedyną parę, która od piątkowego popołudnia mieszkała naprzeciwko. A konkretniej o kobietę.

Zamknął za sobą drzwi i zapalił boczną lampę, która rozświetliła czające się w kątach ciemności. Jedząc podeschniętą drożdżową bułkę, którą kupił w porcie, podszedł do okna i rozsunał szpetne kwieciste firany. Ich wzór przypominał mu lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia, a przynajmniej to, co widywał czasem na starych filmach i zdjęciach, bo sam był wtedy w powijkach. Bułka mu nie smakowała. Był wściekle głodny, więc wmusił w siebie kilka kęsów i cisnął niedojedzony kawałek na upačkany zaschniętą musztardą talerz po zjedzonych

w południe parówkach.

W domku po drugiej stronie placu rozbłysło światło. Tkwiąc nieruchomo przy oknie, przyglądał się widocznej w oknie drobnej jasnowłosej kobiecie. Nie zasłoniła firan i niewielka jadalnia była widoczna jak na dłoni. Przysunął sobie krzesło i obserwował, jak blondynka miesza coś w postawionym na elektrycznej maszynie rondelku, głaszcząc się po wyraźnie zaokrąglonym ciążowym brzuszku. Przelewała mleko do garnuszka, kiedy w jadalni pojawił się niewysoki i chuderlawy mężczyzna. Na jego widok obserwator uśmiechnął się krzywo, z pogardą.

Przyglądał im się jeszcze przez chwilę, w końcu wstał z krzesła, przeciągnął się i wyjął z szafki kupioną dzień wcześniej whisky. Skoro ma spędzić noc na tym odludziu, musi jakoś umilić sobie czas, zdecydował. Przed dwudziestą drugą był już nieźle wstawiony, ale przecież nie paliło się. Dopóki ona tu jest, ciesząc się nadmorską bryzą i weekendem na łonie natury, wszystko mam pod kontrolą, powiedział sobie.

Rano wstał z solidnym kacem i bolącym łbem. Pił kawę, kiedy przez szczelinę w okiennej zasłonce zauważył wychodzącą z domu naprzeciwko parę.

- Ranne z was ptaszyny - mruknął pod nosem, drapiąc się po porastającej policzki kilkudniowej szczecinie.

Na zewnątrz mżyło, nie na tyle jednak, żeby zepsuć młodym małżonkom przyjemność ze spaceru. Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę sosnowego zagajnika, za którym ciągnęły się kilometry wydm i pobliska plaża. Kiedy szli przez placyk częściowo ukryty za okienną zasłoną, obserwator z przyjemnością przyglądał się kobiecie. Była atrakcyjna na sposób, który zawsze go pociągał. Pełne usta, wysokie kości policzkowe i gęste jasne włosy stanowiły wabik, któremu nigdy nie mógł się oprzeć.

Pomyślał, że laska nawet w żółtej pelerynie i idiotycznych cholewach w kaczki wygląda zajebiście. Trochę jak Michelle Pfeiffer z jej najlepszych czasów. Ciekawe, co taka wystrzałowa babka robi z tym chuderlawym i nieapetycznym gołodupcem jeżdżącym wgniecioną skodą, zastanawiał się, przyglądając się parze.

Przed nimi, podskakując i radośnie rozchlapując wodę z kałuż, biegła kilkuletnia jasnowłosa dziewczynka. Wiedział, że ma sześć lat, chociaż na tyle nie wyglądała. Była drobna, cicha i śliczna, a w całej rozgrywającej się przed jego oczyma scenie było coś niemal filmowego. Piękna rodzina, pomyślał. Szkoda, że będę musiał ją skrzywdzić...

Jego telefon odezwał się chwilę później.

- Czarny, gdzie ty jesteś? - usłyszał poirytowany głos Szczepana.

- Na robocie, przecież mówiłem - mruknął, wydłubując spomiędzy zębów resztkę zielonej oliwki, które wyjadał prosto ze słoika, gapiąc się przez okno.

- Pospiesz się! Nie mamy całej wieczności! - ofuknął go Szczepan i jak to miał w zwyczaju, rozłączył się bez pożegnania.

- Nigdy się nie spieszę. Pośpiech sprzyja błędom - mruknął pod nosem Czarny, zanim wyciszył komórkę.

Ale tak, Szczepan ma rację. Trzeba działać, powiedział sobie, sięgając po kolejną oliwkę.

2

- Kiciuś, przynieś musztardę! - krzyknęła Gośka, kiedy Wojciech z kilkoma brudnymi talerzami w rękach ruszył w stronę domu.

Mijając otoczone kręgiem z kamieni rozpalone na samym skraju ogrodu ognisko, zerknął na roześmianą Małgośkę, która chyba wyjątkowo dobrze się bawiła. Ile ona już zdążyła wypić, zastanawiał się, wchodząc do domu.

Szukał w lodówce musztardy, kiedy w kuchni pojawił się Jaromirski.

- Masz może aspirynę? - zapytał.

- Po wódce? - zdziwił się Kiciuś. - Marna kombinacja...

- Nie piłem wódki, tylko jedno piwo.

- Słabo. Coś ci nie wchodzi.

- Nie piję wiele, nigdy nie piłem. - Jeremi wzruszył ramionami i oparł się o kuchenny blat. - Pomóc ci w czymś?

- Nie. Ogarnianie tego burdelu zostawię Gośce. Ostatnio za często się mną wysługuje w sprzątaniu i postanowiłem się zbuntować. - Wojciech otworzył szufladę, w której trzymali leki, podał Jeremiemu aspirynę i nalał wody do wysokiej szklanki. - Chory jesteś? - zapytał, polewając ciepłą wodą wypełniające zlew brudne talerze.

- Łeb mi pęka. - Jaromirski z grymasem na twarzy rozgryzł tabletkę i przepił ją wodą. - Kim jest koleś, który przyszedł z tą ładną brunetką? - zainteresował się.

- Jarek Florczak, ratownik medyczny. Nie kojarzysz?

- Nie.

- Równy gość, znamy się od lat. - Kiciński wyjął z lodówki musztardę i skinął na Jeremiego. - Wracajmy do ogrodu, nie ma co tu sterczeć.

Kiedy usiedli przy ognisku, Gośka opowiadała kawał o babie u ginekologa, z którego usłyszeli jedynie puentę.

- Ileś ty wypła? - Kicius usiadł obok niej i wyjął jej z ręki piwo.
- Starczy na dziś - zdecydował.

- Serio, zabierasz jej piwo?! Jaja sobie robisz?! Ona chyba nie jest ubezwłasnowolniona?! - krzyknęła Marzena, posyłając Kicińskiemu złe spojrzenie.

- Uważaj, bo zaraz będziemy tu mieli feministyczny zryw wolności - mruknął Jarek Florczak, posyłając żonie krzywy uśmieszek.

- Oddaj mi to! - Gośka wyrwała Wojciechowi swoje piwo i przyłożywszy usta do szyjki butelki, pociągnęła kilka kolejnych łyków.

- Dobra, rób, co chcesz! Ale nie licz na to, że będę ci trzymać włosy, kiedy zaczniesz rzygać - burknął Kicius.

- Ja?! A kto ostatnio zarzygał łazienkę? - parsknęła śmiechem Małgośka.

- Raz! Jeden raz od wielu lat zbuntował mi się żołądek! Wiesz przecież, że prawie nigdy nie rzygam! - bronił się Wojciech.

- Jarek też ostatnio puścił pawia. I to gdzie! Do wanny! - wypomniała mężowi Marzena i towarzystwo zarechotało.

Tylko Jeremi milczał, walcząc z migreną i napływającymi regularną falą mdłościami. Aspiryna niewiele mu pomogła, wciąż czuł się fatalnie. Nawet przyjazne światło ogniska raziło go w oczy, a każdy gwałtowniejszy ruch głową przyprawiał o kolejny atak bólu.

- A słyszeliście, że Danka Lachowicz zamieszkała z tym Murzynem?! - krzyknęła Małgośka i czknęła głośno. - Sorry.

- Ta polonistka? No, coś słyszałam - przyznała Marzena.

- I wierzycie w to, że są tylko przyjaciółmi? - Gośka dopiła piwo, jeszcze raz czknęła i zacisnęła palce na skrzydełkach nosa, by pozbyć się czkawki.

- Tia, jasne. Przyjaciele z benefitami - zaśmiała się chrapliwie żona Jarka. - No, ale ja jej się w sumie nie dziwię. Czarni mają ponoć gigantyczne fujary! - krzyknęła i obie parsknęły śmiechem.

- Widzę, że twoja żona też za kołnierz nie wylewa - mruknął Kiciuś do siedzącego obok kumpla.

- Chce, niech chleje. - Jarek wzruszył ramionami. - Coś z życia trzeba mieć - rzucił filozoficznym tonem.

- Wojtek, jak myślisz? Co pani profesor robi z Hassanem? - Gośka rzuciła w trawę pustą butelkę po żywcu, wstała z pniaka i usiadła Kicińskiemu na kolanach.

- Nie mam pojęcia - burknął.

- No daj spokój, nie bądź taki sztywny. - Małgorzata złapała Kiciusia za włosy, odchyliła jego głowę w tył i pocałowała go w usta. - Dobrze smakujesz. Kiełbaskowo. - Wybuchła pijackim śmiechem.

- Złaż, ciężka jesteś. - Kiciuś usiłował ją zepchnąć, ale obłapiła go za szyję i ciasno się w niego wtuliła.

- Lubię, kiedy się wściekasz. Jesteś wtedy taaaaki seksowny - wymruczała. - Pocałuj mnie - poprosiła chwilę później.

- Ej, ej, ej! Bez ostrych scen erotycznych! - podkpiwał Jarek, dorzucając kilka szczap do ogniska.

- Czemu? Wy też możecie nieco wyluzować! - krzyknęła Małgośka, wiercąc się na kolanach Kiciusia.

- Dobra, teraz mówię serio. Złaż. - Wojciechowi udało się

w końcu ją zepchnąć i wstał, żeby upiec nad ogniem kiełbasę.

Wbijał ją na kij, kiedy w ogrodzie rozświetlonym ustawionymi na pniakach grubymi świecami pojawiła się Morawska.

- Pani prokurator, witamy! - krzyknął Wojciech, wychodząc jej naprzeciw.

- Tylko mnie nie nadziej na tego kija - mruknęła Nina, a Gośka głośno się zaśmiała.

- Jego kij należy do mnie! - rzuciła, zanim znowu czknęła. - Kurwa, co z tą czkawką?!

- Napij się wody z cukrem - poradziła jej Marzena, ale Gośka tylko machnęła ręką.

- Samo przejdzie. - Wzruszyła ramionami.

Nina usiadła na jednym z pniaków i zapatrzyła się w ogień.

- Na co masz ochotę? Wódka? Dżin z tonikiem? Piwo? - Wojciech odłożył na bok kij z nabitą kiełbasą i momentalnie wszedł w rolę gospodarza.

- Wody. Jestem autem, jadę prosto z pracy.

- Auto możesz zostawić u nas.

- Kiciuś, nie jestem w nastroju na chłanie, wybacz.

- Coś się stało? - zapytał Kiciuś. - Ale kiełbasę zjesz?

- Tak, zjem. Umieram z głodu.

- Chociaż tyle. - Wojciech nabił na wystrugany rano kij kolejną porcję toruńskiej i podał Ninie. - Nie odpowiedziałaś. Co się dzieje?

- Matka zabiła dwuletnią córkę, wracam właśnie z miejsca, w którym ją znaleziono - powiedziała Morawska cicho, niemal szeptem, by nie usłyszało jej rozbawione i mocno pijane towarzystwo.

- Żartujesz? U nas? - Kiciuś momentalnie wytrzeźwiał.

- Nie. W sąsiednim miasteczku. Pojechałam tam zamiast Leszka

Szczupaka, którego żona miała dziś laparoskopię.

- Kto miał laparoskopię?! - zainteresowała się Gośka, której udało się podsłuchać tylko trochę.

- Żona Szczupaka, nie znasz - mruknął Kiciński.

- A co to za Szczupak? - Małgorzata czknęła, rzuciła pod nosem: - kurwa - i wbiła w Kiciusia pytające spojrzenie.

- No mówię, że nie znasz. Prokurator - powiedział Wojtek. - Wiecie już, co się stało? - zapytał siedzącą w milczeniu Ninę.

- Najprawdopodobniej schizofrenia. Mówiła, że słyszała w głowie głosy, które kazały jej zabić. - Nina głębiej nabiła kielbaskę na ostrą końcówkę kija i wyciągnęła patyk w stronę ognia. - Udusiła ją poduszką, a ciało ułożyła na podłodze w kuchni. A później poszła do ogrodu, zerwała wszystkie rosnące przy płocie astry i ułożyła je wokół głowy martwej córki. Wszystkie, jakąś setkę kwiatów. Wyglądało to... Boże, czasem, gdy oglądam takie sceny, wmawiam sobie, że to wszystko jest nierzeczywiste. Że to coś w rodzaju teatralnej scenografii. Inaczej chyba bym zwariowała. - Ninie załamał się głos. - Wiesz, po tylu latach pracy w prokuraturze zazwyczaj się nie rozklejam, ale jeśli chodzi o dzieci... - Morawska lekko się wzdrygnęła i narzuciła na ramiona krótką pikowaną kurtkę, którą ze sobą przyniosła.

- Kto ją znalazł? - zapytał Wojciech, którego zaczął prześladować obraz leżącej na kuchennej podłodze martwej dziewczynki.

- Babcia. Przyszła odwiedzić małą i zastała synową klęczącą przy ciele z kilkoma ostatnimi astrami w rękach. Widząc martwą wnuczkę i obłęd w oczach żony syna, zemdląła, a kiedy się ocknęła, synowa najnormalniejszym tonem zapytała ją, czy jej zdaniem nie powinna jeszcze zerwać tych z ogrodu sąsiadki.

- Biedne dziecko - powiedział przysłuchujący się rozmowie

Jaromirski i cała trójka zamilkła.

- Ej, kurwa, no oddaj! - wrzasnęła Gośka, rzucając w rechoczącego Jarka kawałkiem opieczonego nad ogniem chleba.

- Oddaj jej piwo! - zawtórowała Marzena, a Małgorzata po raz kolejny czknęła.

- Idę coś zrobić z tą czkawką - zdecydowała, wstając.

Chwilę później zatoczyła się tak, że prawie wpadła do ogniska, i wybuchła śmiechem.

- Mielibyście co jeść przez jakiś tydzień, gdybym się tu upiekła!

- rzuciła, przestępując wyciągnięte nogi Jarka.

- Kiciuś, albo przynieś mi jednak to piwo - zmieniła zdanie Nina. - Najwyżej wrócę pieszo.

- To mi się podoba! - Wojtek dojadł kielbasę, wytarł dłonie w leżącą na tacy z jedzeniem kraciastą szmatkę, która chwilę wcześniej niemal wpadła do ogniska, i ruszył w stronę domu.

A gdy tam dotarł, powiedział:

- Nie pij więcej, Gośka. Nie lubię cię pijanej. Nie tak.

Małgorzata stała nachylona nad kuchennym zlewem i wyglądała, jakby zaraz miała rzucić pawia.

- Spoko, nie będę rzygać, tylko tak mi się jakoś zrobiło niedobrze...

- Nie do tych talerzy, kurwa, błagam! - Kiciuś pomasaował ją po plecach i cmoknął w kark. - Zrobić ci kawy z cytryną?

- Nie.

- A coś do jedzenia?

- Jadłam kielbasę i chipsy.

- Nie pij więcej, okay?

- Dobrze, nie będę - mruknęła wyraźnie rozeźlona.

- Nie wściekaj się na mnie. Ty nie lubisz, kiedy wracam pijany.

- Bo ty chlejesz beze mnie, ze swoimi kumplami.

- Ty też chlejesz beze mnie, bo dziś za tobą nie nadążam.

- To nadrób zaległości. - Gośka wzruszyła ramionami i wzięła głęboki oddech. - Jezu, jak mi się nagle zachciało rzygać...

- Usiądź, zrobię ci jednak tej kawy - zdecydował Kiciński.

Szukał w kredensie filizanki, kiedy w kuchni pojawił się Jeremi i powiedział, że będzie się zbierać.

- Już? Chłopie, impreza dopiero rusza z kopyta. Morawska ledwo dotarła, a ty wychodzisz? - zdziwił się Wojciech.

- Łeb mi pęka, mówiłem ci.

- Aż tak? - Kicius spojrzał na niego ze zdumieniem, jakby nie mógł uwierzyć, że zwykły ból głowy może być przyczyną opuszczenia zabawy.

- Aż tak. Dzięki za kiełbaski. I fajnie poznawać was bliżej - dodał.

- Dzięki, że wpadłeś. - Wojtek podał mu rękę, a chwilę później klepnął kumpla w plecy. - Do jutra!

- Do jutra - mruknął, machając na pożegnanie Gośce.

Był przy furtce, kiedy dogoniła go Marzena.

- Serio musisz już iść? Szkoda, bo zaczynałeś mi się podobać. - Roześmiała się.

Jeremi zauważył, że żona Jarka ledwo trzyma się na nogach, a kiedy zatoczyła się na płot, objął ją w pasie i podtrzymał.

- Sorry. Ścisła dieta i wódka to marne połączenie. - Mrugnęła do niego, zanim wyswobodziła się z jego uścisku i ruszyła z powrotem na tył domu Gośki i Wojtka.

Jeremi zamknął za sobą bramkę i ruszył w dół uliczki. Od Kiciusia na Klonową był spory kawałek i liczył na to, że spacer nieco poprawi mu samopoczucie, jednak ból głowy jeszcze się nasilił...

3

Jeremi od jakiejś pół godziny usiłował się skupić na książce, jednak wrzaski dochodzące zza ściany sprawiały, że czytał bez zrozumienia, a litery dosłownie skakały mu przed oczyma.

- Mamo, mamoooo, nieeeee chcęęę, nie teraaaaaz! - wydarł się dzieciak sąsiadów i coś grzmotnęło w ich frontowe drzwi.

- Uspokoisz się, do cholery?! - włączyła się rodzicielka o szorstkim zachrypniętym głosie. Jaromirski skrzywił się i odłożył trzymany w ręku kryminał znanego francuskiego pisarza. - Zostaw to! Czekaaj, aż przyjdzie ojciec! - darła się sąsiadka, a Jeremi w bezsilnej złości zacisnął zęby.

Odkąd właścicielka domu wykończyła i wynajęła drugie mieszkanie na jego piętrze, nie było dnia bez dochodzących zza ściany wrzasków. Upiorna mamunia przed trzydziestką wyraźnie nie radziła sobie z rozwrzeszczanym czterolatkiem. Dzieciak całymi dniami się darł, a ponurego tatuśka z zakazaną gębą i przerostem karku prawie nigdy nie było w pobliżu. Co gorsza, młoda mamuśka nie pracowała, a wyjec nie chodził do przedszkola i nie licząc krótkich spacerów, na które codziennie wychodzili, stale hałasowali. Wynajmując to mieszkanie, Jaromirski liczył na ciszę, a znalazł się w samym środku chaosu. W dodatku cudzego, pomyślał, sięgając po szklanę.

Dopijał czekoladowe mleko, do którego miał słabość, kiedy odezwała się jego komórka. Odłożył szklanę i sięgnął po telefon. Numeru widniejącego na wyświetlaczu nie rozpoznał i przez jedną chwilę miał nadzieję, że dzwoni jego była. Szybko jednak

odpędził myśli o Anecie. Skończyłem z nią raz na zawsze, przypomniał sobie, odbierając połączenie.

- Halo?

- Jeremi, to ty? - usłyszał nieco podenerwowany kobiecy głos.

- Ja, a kto pyta? - mruknął mało zachęcającym tonem.

- Renata Kroll, pamiętasz mnie?

- Renia, jasne! Wieki się nie widzieliśmy! Skąd masz mój numer? - zdziwił się Jeremi.

- Wciąż mamy wspólnych znajomych - powiedziała. - Posłuchaj, chodzi o Mateusza.

- Coś się stało? - zaniepokoił się Jaromirski, bo chociaż od jakiegoś czasu nie mieli ze sobą kontaktu, starszy brat Renaty był kiedyś jednym z jego najlepszych przyjaciół.

Przynajmniej w czasach, kiedy obaj mieszkali w Szczecinie i regularnie chadzali do muzycznych klubów. Później Kroll przeniósł się z rodziną do Trójmiasta, a ich kontakt się urwał.

- Chodzi o mojego brata.

- Domyśliłem się. Mów - zachęcił ją Jeremi, ale powiedziała, że to nie jest rozmowa na telefon.

- Jutro będę w twojej okolicy. Znajdziesz czas, żeby się ze mną spotkać? - zapytała.

- Oczywiście. Renata, ale co z Mateuszem?

- Jutro, Jeremi. Opowiem ci wszystko, kiedy się spotkamy. Zadzwoń do ciebie, kiedy dotrę na miejsce - obiecała. - Muszę kończyć. Do jutra. I dzięki. Doceniam, że poświęcis mi chwilę.

- Do jutra - powiedział.

Smarował bułkę dżemem, kiedy zza ściany doszedł przenikliwy pisk chłopca i podenerwowany głos matki, która znowu się na niego wydzierała.

- Kurwa, przecież to jest nie do wytrzymania! - Jaromirski

cisnął do zlewu upačkany truskawkową mazią nóż i ruszył w stronę drzwi.

Kiedy zapukał do sąsiadów, odpowiedział mu wysoki wrzask chłopca i nagła, niespodziewana cisza, jakby głośnie pukanie na moment uciszyło dzieciaka.

- Dobry wieczór. Nazywam się Jeremi Jaromirski. Mieszkam za ścianą - przedstawił się, kiedy w drzwiach pojawiła się zaokrąglona ruda kobieta koło trzydziestki w poplamionej musztardą beżowej sukience i przydeptanych kapciach założonych na bose stopy.

- Dobry wieczór - burknęła, ale nie zaprosiła do środka.

Oparta o framugę, mrużąc małe świńskie oczka, świdrowała go wzrokiem, jakby chciała zapytać: a czego ty tu chcesz?

- Mogę wejść? - zapytał sprowokowany jej postawą.

- A o co chodzi? - W jej głosie usłyszał nieufność. - Zostaw to, mówiłam ci! - wrzasnęła na syna, który pojawił się obok z butelką jej perfum w ręku. - Oddaj! - Wyszarpała flakonik i kazała małemu iść do siebie. - No już, co mówiłam?! - ponagliła dzieciaka, zanim ponownie skupiła uwagę na Jeremim. - To o co panu chodzi? - powtórzyła pytanie.

- O to mi chodzi, że mieszkam za ścianą i przez cały dzień słyszę wrzaski pani syna. Czy może pani uciszyć to diablę? - wycedził Jeremi

Kobieta poczerwieniała na twarzy.

- Jak pan nazwał moje dziecko?! - syknęła.

- Diablęciem. Ale to nie było obraźliwe. A teraz, wracając do rzeczy, chciałbym...

Jaromirski nie dokończył, bo ruda nieco się cofnęła i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

- Chyba żartujesz, paniusiu? - warknął, łomocząc w nie

pięciami. - Jeszcze nie skończyłem! - wrzasnął.

Odpowiedziała mu cisza, nawet upiorny bachor na jedną chwilę się przymknął. Uniósł rękę, chcąc jeszcze raz zapukać do bezczelnej sąsiadki, kiedy na schodach pojawiła się właścicielka domu.

- Jeremi, co tu się wyprawia? Przepraszam, nie chcę się wtrącać, ale usłyszałam jakieś łomoty i twój podniesiony głos.

- To się wyprawia, że od kilku ładnych tygodni wysłuchuję dziecięcych wrzasków i pokrzykiwań wściekłej mamuni, która kompletnie sobie nie radzi z opieką nad chłopcem! Nie mogę czytać, nie mogę nawet na chwilę odpocząć i na okrągło pęka mi łeb!

- Przykro mi, nie wiedziałam... - Monika wyglądała na mocno zażenowaną, jakby nie miała pojęcia, po czyjej stronie powinna się w takiej sytuacji opowiedzieć.

- To już wiesz! - rzucił Jeremi przez zęby.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi od mieszkania sąsiadów i na korytarz wyszła wyraźnie wzburzona ruda.

- Ten pan twierdzi, że mój syn mu przeszkadza, ale przecież nie zakłócamy nocnej ciszy! Nie ma jeszcze nawet osiemnastej! - krzyknęła, biorąc się pod boki.

- To nie jest kwestia godziny, tylko zwykłej kultury! Pani syn zachowuje się skandalicznie! Wczoraj przez jakąś godzinę walił czymś w metalowe sztachety balkonu, a pani nawet raz nie zareagowała!

- Przez godzinę? Bez przesady!

- Z przerwami tak! Patrzyłem na zegarek! A kilka dni temu odbijał piłkę o moje drzwi, na co pani również w żaden sposób nie zareagowała!

- Padało, to się nudził... To dziecko, dzieci się bawią. - Ruda

wzruszyła ramionami i posłała Jaromirskiemu krzywy uśmiezek.

- A pan powinien się nauczyć żyć w zgodzie z sąsiadami!

- Pani Jolanto, spróbujmy się może uspokoić? - zaczęła Monika Wiśniewska, ale ruda od razu jej przerwała.

- Ale ja jestem spokojna! To ten pan się awanturuje! - wrzasnęła.

- Awanturuję się?! Chciałem tylko porozmawiać, ale zatrzasnęła mi pani drzwi przed nosem!

- A zatrzasnęłam i co pan z tym robi?! Zadzzwoni na policję?! - roześmiała się ruda, a Monika Wiśniewska parsknęła krótkim nerwowym śmiechem.

- Jeremi jest z policji - powiedziała, kiedy już opanowała rozbawienie, a ruda mamuśka momentalnie spuściła z tonu.

- A, to przepraszam - wykrztusiła, jeszcze bardziej czerwieniejąc na twarzy. - Postaramy się zachowywać ciszej - dodała chwilę później, zanim z podkulonym ogonem czmychnęła do siebie.

- Słyszałaś? Magiczne słowo: „policja”. Szkoda, że nie na wszystkich tak działa. - Puścił oczko do Moniki i nie czekając na odpowiedź, wrócił do siebie.

Przez resztę wieczoru za ścianą panowała względna cisza. Tylko koło dwudziestej dzieciak zaczął wrzeszczeć, ale matka szybko go uciszyła.

- Da się? Da się - mruknął pod nosem Jeremi, zalewając wrzątkiem garnek z dwiema parówkami.

Rano spotkał rudą Jolantę w delikatesach przy porcie, ale choć niemal na siebie wpadli, sąsiadka udawała, że go nie widzi. Szarpnęła tylko syna za rękę i wyszła, nie zaszczycając Jeremiego nawet zwykłym „dzień dobry”.

Paskudna baba, pomyślał. Prostacka, głośna, zaniedbana

i zwyczajnie chamska. Szkoda, że chcąc jak najszybciej wynająć świeżo wykończone mieszkanie, Monika nieco staranniej nie wybrała lokatorów. No i ciekawe, co ten wychowywany bezstresowo rozwydrzony bachor zrobi z dopiero co odremontowanym wnętrzem, skoro już teraz ma w zwyczaju okopywać ściany na klatce, walić kuchennym tłuczkiem w balkonowe pręty i pisać po ścianach. Monika chyba jeszcze tego nie zauważyła, ale Jeremi właśnie odkrył zrobiony czarnym pisakiem szlaczek przy framudze od frontowych drzwi sąsiadów. No, ale to akurat nie mój problem, pomyślał, uśmiechając się krzywo, gdy płacił za zakupy.

4

Czerwiec 1998 r.

Pojawili się w miasteczku wraz z końcem czerwca. Czuli się wolni i radośni niczym dwa barwne ptaki. Ona była wysoka, strzelista i śniada, z burzą kruczoczarnych kręconych włosów, ubrana w kwieciste falbaniaste spódnice i pobrzękująca miedzianymi bransoletami. Nosila je na przegubach rąk i kostce lewej nogi, co w połączeniu z egzotyczną urodą i żywymi kolorami jej ciuchów od początku zachwyciło Hannę. On wyglądał jak wiking. Masywny, postawny młody mężczyzna o dużych dłoniach, jasnych oczach i zaskakująco ujmującym uśmiechu. Spłowiatale od słońca jasne włosy spinał w kucyk rzemieniem, a luźne tuniki, które zakładał na szerokie pantalone, przypominały widywane w ilustrowanych książkach stroje dawnych arabskich książąt. Oboje chodzili boso, nawet kiedy padało.

Hanka z Arturem siedzieli na murku w okolicy lunaparku, kiedy zobaczyli ich po raz pierwszy. Nieznajomi pojawili się w miasteczku tuż po rozpoczęciu sezonu i szybko przyciągnęli uwagę znudzonych okolicznych mieszkańców.

- Zawsze chciałem mieć takie auto - mruknął Artur, kiedy para wysiadła z pomarańczowo-beżowego volkswagena busa.

- Wyglądają jak ci hipisi z San Francisco, których widziałam w telewizji. - Hanka uśmiechnęła się, z zachwytem wpatrując się w zwiewnie ubraną młodą brunetkę. - Powinni pomalować tę zdezelowaną gablotę w duże kolorowe kwiaty - dodała.

- No co ty? Auto w kwiaty? - Artur spojrzał na nią jak na wariatkę, ale w jej głowie na dobre obrodziła wizja kwiecistego busa.

- Gdyby był mój, pomalowałabym go w róże, chabry i maki.

- Ale nie jest. - Artur wzruszył ramionami.

Tamtego wieczoru przez ponad godzinę siedzieli na kamiennym murku, zasłuchani w dźwięki gitary, na której grał jasnooki wiking. Towarzysząca mu dziewczyna siedziała obok i kiwając się do rytmu, od czasu do czasu klaskała. Tuż za murem na tle zachodzącego słońca wolno i majestatycznie obracało się koło diabelskiego młyna, ale tym razem ani Hanka, ani Artur nie myśleli o lunaparku. Zasłuchani w muzykę wpatrywali się w parę nieznanym, a kiedy tamci skończyli, Hanna zaczęła bić brawo tak żarliwie, że aż rozbolały ją dłonie. Brunetka spojrzała w jej stronę i posłała piękny uśmiech, a on lekko skinął głową i wyjął z rozłożonego u swoich stóp kapelusza kilka wrzuconych przez życzliwych ludzi monet. Mijając ich, Hanka żałowała, że ostatnie pieniądze wydała na watę cukrową i oranżadę, bo sama chętnie dałaby im kilka groszy. Ale oni już zaczęli się zbierać. Śmiejąc się z czegoś, wsiedli do busa i odjechali w stronę pobliskiego lasu.

Dzień później wpadli na nich przy karuzelach. Hanna kupowała watę cukrową, kiedy Artur lekko szturchnął ją w bok.

- Jest twój wiking - mruknął.

- Nie jest mój. - Skrzywiła się. - A ona podoba mi się o wiele bardziej - dodała, z zachwytem wpatrując się w falbaniastą sukienkę z odkrytymi plecami, którą tego dnia założyła nieznajoma.

Tego wieczoru usłyszeli, że on nazywa ją Śnieżką, i od tej pory mówili na nich: Śnieżka i Wiking.

Hanna nie bardzo potrafiła sobie przypomnieć, które z nich

wpadło na pomysł, by ich śledzić. Ona? A może Artur? Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, skąd im to przyszło go głowy... Zafascynowała ich barwna odmienność nieznajomych? Pociągała ich wolność? A może po prostu się nudzili?

Pomarańczowy bus ruszył, a oni pojechali za nim na starych rozklekotanych rowerach. Poruszające się wąską piaszczystą drogą auto dostojnie sunęło przed nimi, wzniesając za sobą kłęby kurzu, który osiadał im w nozdrzach i dusił. Pod lasem Wiking i Śnieżka wysiedli z busa i trzymając się za ręce, ruszyli w stronę pobliskich bunkrów. Hanna nie lubiła tego miejsca, było w nim coś upiornego. Jednak Artur cisnął w wysoką trawę rower i ruszył w ślad za nimi.

- No chodź! Przecież to ty chciałaś wiedzieć, co to za jedni - ponaglił ją, więc też rzuciła w trawę swój stary składak, który tato kupił jej niedawno na giełdzie za śmiesznie niską cenę, i ruszyła w ślad za swoim chłopakiem.

- Chyba nie powinniśmy ich śledzić - powiedziała pełna wątpliwości.

Artur przystanął i wyraźnie zniecierpliwiony posłał jej krzywe spojrzenie.

*- I co panikujesz? Kto mówi o śledzeniu? - Wzruszył ramionami.
- Po prostu idziemy w stronę lasu.*

Ściemniało się, kiedy weszli między pierwsze drzewa, i Hanka przystanąła, niepewnie oglądając się za siebie.

- Powinam już iść do domu. Tato się wścieknie, jeśli znowu wrócę późno - powiedziała, ale Artur złapał ją za rękę i pociągnął w głąb zagajnika.

- Chodź, nie pękaj - syknął.

Ruszyła więc za nim i starając się nie myśleć o zapadającej wokół nich ciemności, zacisnęła lepkie od waty cukrowej palce na

jego dłoni.

- Boisz się, co? - szepnęła, wyraźnie rozbawiony jej strachem.

- Trochę - przyznała.

- Obronię cię - rzucił pęczniejącym z dumy głosem.

- Niby przed czym? - Zaśmiała się krótko.

- Przed światem. - Wyszczерzył się w szerokim uśmiechu i gwałtownie się zatrzymał. - **Ćśśś!** Są tam - dodał szeptem.

Hanka schowała się za wiekowym drzewem i zerknęła zza szerokiego chropowatego pnia. Na niewielkiej polance przed wejściem do jednego z bunkrów młoda para z busa układała właśnie stos drewna, zapewne zamierzając rozpalić ognisko.

Artur pociągnął Hankę w głąb gęściej rosnących krzewów i przykucnął.

- Co my robimy? - zapytała szeptem.

- Patrzymy - odpowiedział równie cicho i pociągnął ją w dół. - Schowaj się, bo cię zobaczą - dodał, a ona posłusznie przykucnęła.

- Nic nie widzę - szepnęła.

- Siedź cicho.

- Tak, ale...

- **Ćśśśś!** - Artur złapał ją za rękę i mocno zacisnął palce. - Usłyszają cię.

- I co z tego? Nie robimy nic złego. - Wzruszyła ramionami.

- Gapimy się na nich.

- Jesteśmy na spacerze.

- Przyjechaliśmy tu za nimi.

- Chcesz się teraz kłócić? A wcześniej to ty mnie tu zaciągnąłeś - mruknęła, tymczasem Wiking zdołał rozpalić niewielkie ognisko i usiadł na zwalonym pniu w pobliżu ognia.

Śnieżka kręciła się wokół paleniska, a falbany kolorowej

sukienki tańczyły wokół jej szczupłych kostek.

Ukryci za drzewami przyglądali się im przez dłuższą chwilę, jednak w końcu zrozumieli, że tego wieczoru nie zobaczą niczego ciekawego.

- Muszę już iść - powiedziała Hanka, podnosząc się. -
Odprowadzisz mnie do domu?

- No jasne, przecież sama nie trafisz - droczył się z nią Artur.

Zanim wyszli z lasu i wsiedli na rowery, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zacisnęła powieki, zastanawiając się, czy kiedykolwiek odważy się poprosić go, żeby zrobił to z języczkiem, ale on już się od niej odsunął.

- To do jutra - powiedział kilka minut później, kiedy podjechali przed należący do jej rodziców parterowy ceglany dom.

- Do jutra. - Uśmiechnęła się, oblizując wargi, na których wciąż jeszcze czuła smak pierwszych nastoletnich pocałunków.

5

Jeremi wysiadł z subaru i przebiegł przez niewielki parking przed Coffee Black Jack. Mżyło, a on zostawił kurtkę w samochodzie, czego szybko pożałował, bo od strony pobliskiej plaży solidnie wiało.

Kiedy wszedł do środka, Renaty jeszcze nie było. Zamówił więc szarlotkę z filiżanką latte i rozejrzał się po świeżo odremontowanym wnętrzu. Klub, należący jeszcze niedawno do lokalnego gangstera o ksywce Zielarz, trafił właśnie w ręce starszego biznesmena ze Świnoujścia i przeszedł totalną metamorfozę. Jeremiu spodobały się zawieszane nad stolikami czarno-białe fotografie legendarnych hollywoodzkich aktorów. Kiedy wszedł, usiadł pod zdjęciem Jamesa Deana i sącząc kawę, zapatrzył się w panoramiczne okno po drugiej stronie lokalu. Widoczne z niego wydmy dodawały wnętrzu uroku, Black Jack w nowej odsłonie prezentował się znacznie korzystniej niż kilka miesięcy wcześniej, kiedy Jeremi tu się przeprowadził.

Dopijał latte, kiedy do lokalu weszła Renata. Na jej widok wstał i szarmancko odsunął dla niej krzesło z pikowanym oparciem.

- Nic się nie zmieniłaś. - Uśmiechnął się, kiedy podała mu rękę i rzuciła elegancki czarny trencz na jedną z wolnych sof.

- Ty też nie, stary wilku. - Mrugnęła do niego, a w jej głosie usłyszał kokieterię. Szybko jednak spoważniała. - Nie mam wiele czasu, a chcę ci wszystko zrelacjonować - powiedziała, zakładając za ucho obcięte na pazia ciemnokasztanowe włosy.

Spojrzał jej w oczy. Były takie, jak zapamiętał. Duże,

miodowobrazowe, ocienione gęstą firanką ciemnych rzęs. Kiedyś rozpaczliwie się w niej kochał, ale w tamtych czasach była już młodą mężatką. Później poznał laskę, z którą spotykał się na długo przed Anetą, i jakoś mu przeszło, jednak kiedy usiadła naprzeciwko niego, wróciły wspomnienia.

- Wciąż używasz tych samych perfum? - zapytał, kiedy w pośpiechu przeglądała przyniesioną przez kelnerkę kartę.

- Tak, J'adore Diora - powiedziała, nie odrywając wzroku od menu. - Wezmę to, co ty - zdecydowała.

- Dobra, to zaczynaj. Co z Mateuszem? - zapytał Jeremi.

Dzień wcześniej, zaciekawiony jej telefonem, wszedł na facebookowy profil dawnego przyjaciela, ale ostatni zamieszczony tam post był sprzed czterech miesięcy, więc Jeremi niczego ciekawego nie znalazł.

- Mateusz jest w areszcie - powiedziała Renata, patrząc mu w oczy. - Od ponad tygodnia.

- Kurwa... - Tego się nie spodziewał. - Jak tam trafił?

- Ktoś go zrobił.

- W co? - zapytał, łapiąc Renatę za rękę. - Weź głęboki wdech i postaraj się uspokoić. Jestem po waszej stronie, przecież wiesz.

- Jesteś gliną. - Uśmiechnęła się lekko samymi kącikami ust. - Ale gliną, któremu ufam - dodała. - A Mateusza ktoś zrobił w ciężkie pobicie.

- Kogo?

- Naszej przyrodniej siostry. Ale to nie on, Jeremi! Mati nigdy by tego nie zrobił!

- Macie siostrę? Pierwsze słyszę.

- My też dopiero niedawno o niej usłyszeliśmy. Tato miał już mnóstwo przerzutów i jego odejście było kwestią tygodni, kiedy powiedział nam, że lata temu miał krótki romans, którego

owocem jest ta smarkula. - Renata skrzywiła się.

- Smarkula? Jak rozumiem, siostrzana miłość nie wybuchła? - zapytał Jaromirski nieco kpiarskim tonem.

- Żartujesz? Ta gówniara to pazerna, wyrachowana żmija!

- Gówniara?

- Ma dwadzieścia trzy lata - syknęła siostra Mateusza, jakby młody wiek krewniaczki był dla niej zniewagą.

No, ale może kobiety grubo po trzydziestce zaczynają odczuwać zazdrość o te młodsze, pomyślał Jeremi.

- I Mateusza aresztowano pod zarzutem jej pobicia? A co z nią?

- Wyjdzie z tego. Ale to nie on.

- Renata, wybacz to pytanie, ale muszę... Jesteś pewna, że to nie on?

- To nie on, Jeremi! - niemal wykrzyczała. - Nie on, słyszysz? - dodała z naciskiem.

- Opowiesz mi, jak było? I skąd podejrzenie, że Mateusz został przez kogoś wrobiony?

- Już ci mówię. Więc smarkula...

- Czy ona ma jakieś imię? - wszedł jej w słowo.

- Tak, wybacz. Ma na imię Matylda.

- Jak długo ją znacie?

- Jakies pół roku. Dowiedzieliśmy się o niej trzy tygodnie przed śmiercią ojca. Ale tatko od dawna się nią zajmował. Kupił jej dom w Sopocie, auto, opłacał studia, które zresztą podobno rzuciła.

- Podobno, czyli nie wiesz na pewno? A co studiowała?

- Socjologię. To znaczy oficjalnie, bo na zajęciach pokazywała się od wielkiego dzwonu. Poza tym, mimo pokaźnego kieszonkowego od naszego ojca, dorabiała jako hostessa w sopockich klubach i sporo imprezowała. Można powiedzieć, że żyła bardziej nocą niż za dnia.

- Zupełnie jak ty w dawnych dobrych czasach - uśmiechnął się Jeremi, a Renata gniewnie parsknęła.

- Uwierz mi, nigdy nie byłam taka jak ona!

- Czyli jaka?

- To zwykła puszczańska, której matka handlowała warzywami na bazarze! Ale ojciec zgłupiał na jej punkcie i kompletnie ją rozpieścił. Kasę brała od niego garściami, zresztą jej mamuśka też. Swojej byłej kochance tato kupił mieszkanie na gdańskim Brzeźnie i otworzył elegancki butik z wieczorowymi kreacjami, a młodej sprezentował niewielki domek w Górnym Sopocie o wartości, bagatelka, dwóch milionów siedmiuset tysięcy złotych. - Renata skrzywiła się.

- Miał, to dawał. Chyba nie jesteś wściekła z powodu majątku?

- Oczywiście, że jestem! Ona nie należy do rodziny, nigdy nie należała! Zresztą ojciec dowiedział się o niej dopiero po jej dwudziestych urodzinach. Wcześniej jakoś jej mamunia nie zawiadomiła go, że ma córkę. Odezwała się tydzień po serii wywiadów, których udzielił lokalnej telewizji. Opowiadał o swoim sukcesie, rozwoju prowadzonych przez siebie restauracji i podróżach, a ta handlarza zwęszyła interes i przedstawiła mu ich córeńkę. Oczywiście dla kasy. No ale on był ślepy i totalnie zakochał się w tej małej.

- Jesteście pewni, że to jego dziecko?

- Tak, zrobił badania na ojcostwo. Zresztą jest do niego podobna, i to bardzo. Co za ironia losu! Żadne z nas nie przypomina go tak jak ona. Przynajmniej fizycznie - skwitowała z niesmakiem.

- A Mateusz? Też jej nie lubił?

- Nie wiem. Rzadko o niej rozmawialiśmy, to był wyjątkowo drażliwy temat.

- Ale musiał się z nią spotykać, skoro...
- On jej nie pobił, Jeremi! Ile razy mam ci to powtarzać?!
- Dobra, to mów, jak było.

- Pobito ją w jej domu. Górny Sopot, snobistyczna lokalizacja, na uliczce pełno kamer i drogich wozów. Sprawca zakradł się tam nocą Wybił szybę w przeszklonych drzwiach od strony ogrodu i wszedł do środka, wywłókł Matyldę z łóżka i zaciągnął do salonu, gdzie została pobita. Wyjdzie z tego, jak ci mówiłam, ale ma połamane żebra, ukruszony ząb, złamany nos i stłuczone nerki. Posłuchaj, nawet jeśli mój brat solidnie by się na nią wkurwił, to nigdy w życiu nie pobiłby w ten sposób kobiety. Uwierzyłam, gdyby pod wpływem silnego wzburzenia dał jej w twarz albo ją pchnął, ale coś takiego? W życiu! W dodatku sposób, w jaki tam wszedł, jest zupełnie bezsensowny. Mateusz miał przecież klucze.

- Miał klucze od jej domu? - zdziwił się Jeremi.

- Tak, po śmierci ojca znaleźliśmy w jego gabinecie zapasowy komplet i mój brat wziął go do siebie, tak na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego? Rozumiem, że oficjalnie dom należał do Matyldy?

- Nie zasłużyła na niego! Nie zasłużyła na nic, co dostała!

- Nie pytam, czy zasłużyła. Pytam, czy notarialnie jest jej.

- Jej - przyznała Renata. - Ale Mateusz zostawił sobie te klucze. Chciał je mieć.

- Okay, więc miał klucze, ale zdecydował się na rozbicie szyby w drzwiach na tyłach domu i nocne wtargnięcie, tak?

- Właśnie... Czysty idiotyzm. Ale najlepsze jest to, że przecież wiedział o kamerze. Tuż po pogrzebie taty bywał u Matyldy, rozmawiali o pieniądzach. Chciała udziałów w rodzinnym biznesie, wyobrażasz sobie? Po tym, co już dostała od naszego

ojca, chciała się jeszcze pałętać po naszych restauracjach!

- Czyli Mateusz odwiedzał Matyldę i mógł mieć do niej żal?

- Tak, ale jej nie pobił! Jeremi, musisz mi uwierzyć, ktoś go wrabia! Dla mnie najbardziej śliska jest sprawa z tatuażem. Pamiętasz kolorowego smoka na przegubie jego prawej ręki, prawda?

- Jasne. Wyjątkowo ohydny bohomaz. - Jeremi krzywo się uśmiechnął na wspomnienie wytatuowanej przez jakiegoś partacza szkarady, z której swego czasu Mateusz był bardzo dumny.

- Zrobił go sobie tuż po maturze. Taki idiotyczny wyraz buntu przeciwko naszej konserwatywnej rodzinie. No i udało mu się wytrącić rodziców z równowagi, bo mama przez jakiś tydzień pochlipywała na widok jego ręki, a ojciec wpadł w szal. Ale nie tylko on miał na ręce tego smoka. Tamtego dnia wybrali się do gdyńskiego studia tatuażu we trójkę. Mateusz, Robert i Sebastian, najlepsi kumple.

- Czyli trzy osoby mają taki sam tatuaż, a ty uważasz, że to któryś z dwójki jego kumpli zrobił włam do domu Matyldy i pobił ją, wrabiając w to twojego brata?

- Już tylko jedna osoba go ma - powiedziała cicho Renata. - Oprócz Mateusza, smokama na przegubie Robert, jego współnik. Sebastian zginął sześć lat temu.

- Czyli twierdzisz, że Robert, współnik twojego brata, wrabia go w pobicie? Po co miałyby to robić?

- Żeby przejąć ich wspólny interes. To Mati zainwestował w ten nocny klub pożyczony od ojca pieniądze. Robert dorzucił jakieś ochłapy, więc zgodzili się, że będą się dzielić trzydzieści na siedemdziesiąt. Ale nagle Robertowi zrobiło się mało, twierdził, że to niesprawiedliwe...

- Więc zrobił twojego brata w pobiciu przyrodniej siostry, żeby zniknął w pudle i zostawił mu klub? To dość naciągane, nie uważasz?

- Jeremi, to jedyne rozwiązanie! Mój brat nie jest idiotą! Gdyby rzeczywiście chciał ją pobić, zdemolować jej dom i nabazgrać na jej ścianie QRWA!, zrobiłby to w bardziej przemyślany sposób, nie uważasz?!

- Może działał pod wpływem silnego wzburzenia? Może łączyło ich coś, o czym nie masz pojęcia?

- Niby co?! - syknęła Renata, wyjmując z torebki papierosy. - Muszę zapalić, masz coś przeciwko?

- Nie - powiedział Jaromirski, bębniąc palcami w oszklony blat stolika.

- Mateusz wiedział, że na tyłach jest czujnik ruchu, który uruchomi światło, kiedy tylko ktoś zbliży się do tylnych drzwi domu. Wiedział też o kamerach w sąsiedztwie i zamontowanych u Matyldy. Gdyby chciał się tam włamać, żeby ją pobić, nie założyłby koszulki odsłaniającej ten tatuaż! Nie jest idiotą, do cholery! Zasłoniłby go, zamiast eksponować, a tymczasem na filmiku z tamtej nocy widać go tak wyraźnie, że to aż śmieszne. I właśnie przez to Mati siedzi.

- A ten Robert? Jego nie podejrzewano?

- Robert twierdzi, że tamtej nocy był w Toruniu.

- I ma na to dowody?

- Kilka kamer na mostach zarejestrowało jego auto, a monitoring na stacji benzynowej pokazał, jak tankuje jakieś trzy godziny przed tym, co się stało, ale przecież mógł się dostać z powrotem do Trójmiasta! Ktoś mógł go tam nawet zawieźć w cholernym bagażniku! Dla mnie to żaden dowód! Jeremi, powiedz mi, że ja nie wariuję, i widzisz to samo! To wszystko jest

szyte żenująco grubymi nićmi! Mój brat siedzi w areszcie, a ten gnojek chce przejąć klub!

- Co to za klub? - zapytał Jaromirski.

- Papa Legba. Nocny lokal na obrzeżach Gdańska i Sopotu. Prowadzą go wspólnie od paru lat i początkowo wszystko było super, ale w ostatnich miesiącach Robert stale miał do Matiego jakiegoś pretensje...

- Dobra, powiedz mi jeszcze, co mówi Matylda?

- Nasza, pożał się Boże, siostra? Mówi, że nic nie pamięta. Zresztą sprawca miał na głowie kaptur, a na twarzy kominiarkę.

- Nie miała żadnych wrogów? W jakim towarzystwie się obracała?

- Klubowym - z pogardą rzuciła Renata. - Bogaci panicze z sąsiedztwa, przejażdżki porsche, prochy i nocne imprezy, tego typu klimaty.

- Miała faceta?

- Niejednego.

- A kogoś na poważniej?

- Nie wiem. Niczego o niej nie wiem... Jeremi, przyjrzyj się temu? Błagam cię! Nie mam nikogo, komu ufam bardziej niż tobie!

- Nie myślałaś o tym, żeby zatrudnić prywatnego detektywa? Może do czegoś by się dokopał?

- Nie ufam detektywom. Ufam tobie. Weźmiesz tę sprawę? Nieoficjalnie, w imię naszej dawnej przyjaźni. - Renata zacisnęła palce na jego dłoni i błagalnie spojrzała mu w oczy. - Proszę cię. Chodzi o Matiego.

- Dobra, wezmę parę dni wolnego i przejadę się do Trójmiasta, ale niczego nie obiecuję - zgodził się w końcu, a w jej oczach rozblęły łzy.

- Dziękuję! Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy!
- Od tego ma się przyjaciół - skwitował.
- Słuchaj, jeśli chodzi o koszty, to...
- Później o tym pogadamy. Powiedz mi jeszcze, jak ma na nazwisko wspólnik twojego brata i co o nim wiesz?
- Nazywa się Robert Rokosz. Kawaler, tuż przed czterdziestką, żyje mocno ponad stan. Ma mieszkanie w gdyńskim apartamentowcu Sea Towers, własny jacht i kilkuletnie maserati. Skąd na to wszystko bierze? Nie mam pojęcia. Owszem, na klubie zarabiają, ale nie aż tak...
- Dobra, przyjrzę się temu.
- Zapisałeś sobie mój numer? Bo na Facebooku mnie nie znajdziesz.
- Zapisałem.
- Jeszcze raz ci dziękuję. - Renata wstała i wyciągnęła do niego rękę. - Jesteśmy w kontakcie.
- Odezwę się - obiecał Jeremi, podając jej płaszcz.
- Zapomniałabym. Tu są klucze od domu Matyldy - powiedziała Renata, biorąc od niego wierzchnie okrycie.
- Ty też masz klucze od jej domu? - zdziwił się.
- Nie. Wzięłam te, które miał Mateusz. A to klucze od jego mieszkania. Zatrzymaj się tam, będzie ci wygodniej niż w hotelu. Adres podeślę ci esemesem.
- Jesteś pewna, że nie będzie miał nic przeciwko, żebym tam zamieszkał?
- Cóż, on nie jest obecnie w sytuacji, w której mógłby o cokolwiek mieć pretensje, prawda? - Lekko wzruszyła ramionami, zapięła płaszcz i pocałowała Jeremiego w policzek. - Jesteśmy w kontakcie - dodała, zanim ruszyła w stronę wyjścia z lokalu.

Kilka minut później pożegnali się na parkingu przed knajpą i poszli do swoich samochodów. Jeremi zauważył, że siostra Matiego przyjechała sportowym czerwonym bmw. Ładny wóz, pomyślał, wsiadając do subaru. Chwilę później przypomniał sobie, jak bardzo im kiedyś zazdrościł. Kiedy chodził z Matim do liceum, ich ojciec zrobił dużą kasę. On sam wywodził się z raczej normalnej rodziny. Owszem, tato pływał i nieźle zarabiał, ale pochodząca z Wietnamu mama nigdy nie pracowała zawodowo, z trudem odnajdując się w Polsce. Więc podczas gdy Mati chwalił się nowymi ciuchami i gadżetami, on donaszał dzinsy po starszym bracie. Wtedy go to bolało, ale teraz już tylko śmieszyło. Są większe problemy niż tego typu bzdety, pomyślał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

6

Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy Czarny w ciemnej bluzie z nasuniętym na głowę kapturem wymknął się z wynajętego domku przy plaży i powoli zszedł z drewnianych stopni na porośnięty iglakami plac wokół wczasowych domków. W apartamencie naprzeciwko od paru godzin było cicho i ciemno; przez pół nocy obserwował ich okno, samotnie siedząc na kuchennym taborecie. Schodki prowadzące na niewielką werandę skrzypiały, co dokładnie sprawdził, bo kręcił się tu podczas ich nieobecności. Wiedział jednak, jak stanąć, żeby bezszelestnie podejść do drzwi. Zamek ustąpił po kilkunastu sekundach, był jednym z tych „na zapalnik”. Czarnego zawsze dziwiły żenująco słabe zabezpieczenia tego typu miejsc, zupełnie jakby beztroscy turyści nie zdawali sobie sprawy, że oprócz utraty aparatu czy kamery mogą stracić znacznie więcej.

Pomyślał o tym, powoli uchylając drzwi. W domku było chłodno i cicho. Czarny ruszył w stronę sypialni na tyłach, w której sypiała cała trójka - Karolina Lenart, jej żenująco chuderlawy mąż Dariusz i sześciolatka Gabrysia. Na środku pokoju się zatrzymał, przyzwyczajając oczy do otaczającej go ciemności, a nieświadoma obecności nocnego intruza rodzina wciąż spokojnie spała. Cichy, ledwie słyszalny szelest ich oddechów miał w sobie coś kojącego, a także dziwnie intymnego, i Czarny pomyślał o byłej żonie. Szybko jednak ocknął się ze wspomnień i spojrzał w stronę drewnianego łóżka, na którym nieruchomo leżała drobna jasnowłosa dziewczynka. Trzeba działać, nakazał sobie.

Bezszelestnie wycofał się do ciemnego salonu i pchnął drzwi od niewielkiej łazienki, w której postanowił poczekać na kobietę.

Obserwował ją przez dwie poprzednie noce i już wiedział, że przynajmniej trzy razy wstaje, żeby się wysikać – w ósmym miesiącu to ponoć norma. Usiadł więc na opuszczonej klapie sedesu i czekał...

Minęło jakieś pół godziny, kiedy z sypialni doszło ciche szuranie. Ciężarna musiała wstać i powłócząc nogami, zbliżała się do łazienki. Była też oczywiście opcja, że obudził się jej mąż, ale z chuderlakiem prędko sobie poradzi. Zanim tu przyjechał, dobrze go sprawdził. Nauczyciel historii, nudny, porządny, stateczny koleś, który nie miał pewnie pojęcia, co może się stać, jeśli nie potrafi się obronić rodziny. A że Dariusz Lenart nie potrafi, Czarny nie miał cienia wątpliwości.

Gdy zaskrzypiała podłogowa deska, wstrzymał oddech, szykując się do ataku. Karolina weszła do łazienki w momencie, kiedy przywarł plecami do zimnej wykafelkowanej ściany przy drzwiach. Wyciągnęła rękę, by sięgnąć do kontaktu, a Czarny złapał ją i przyciągnął do siebie, zasłaniając jej usta dłonią.

- Ani piśnij. Pomyśl o Gabrysi – szepnął jej do ucha.

Znieruchomiała sparaliżowana strachem, ale po chwili zaczęła się szarpać i lekko wbiła zęby w jego rękę, więc mocno uderzył ją w twarz. Przygryzła sobie wargę i cicho jęknęła.

- Uspokój się albo ich zabiję – warknął. - A póki co, chcę tylko ciebie.

- Kim jesteś? – szepnęła, kładąc dłonie na olbrzymim ciężowym brzuchu, jakby chciała ochronić nienarodzone dziecko przed całym złem tego świata.

Ale on już wyciągał po nią rękę, zagrażał jej, wtargnął w sam środek ich bezpiecznego, poukładanego świata, który przez

ostatnie lata tak pieczołowicie budowali. Gdy o tym pomyślała, poczuła spływające po policzkach łzy.

- Proszę cię, zostaw mnie - wyłkała. - Kim jesteś? Czego chcesz?

- Wybacz, ale raczej się nie przedstawię. - Czarny uśmiechnął się krzywo i ruchem głowy wskazał jej frontowe drzwi. - Wychodzimy.

- Ale ja nie... Dariusz! - wrzasnęła.

- Kurwa mać! - zaklął Czarny, łapiąc ją za włosy. - Kiedy tu przyjdzie, zajebię go, nie rozumiesz? - syknął, a Karolina Lenart w końcu się uspokoiła. - Wychodzimy! Już! - warknął, ciągnąc ją w stronę drzwi.

Ucichła, jakby w końcu do niej dotarło, że on mówi serio. Że jeśli Dariusza obudzą jej wrzaski, on nie będzie miał dla niego litości...

Napastnik zacisnął palce na jej ramieniu i pchnął w stronę salonu. Zanim wyszli na zewnątrz, pociągnął ją w stronę sypialni i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemny kąt, w którym stało ich łóżko, ale doszedł do wniosku, że nic nie wskazuje na to, by Lenart się obudził - nieświadomy rozgrywającego się pod jego nosem dramatu, chuderlawy nauczyciel leżał na wznak, cicho pochrapując tak samo jak wtedy, kiedy Czarny pierwszy raz się tu wślizgnął.

- Nic, tylko pozazdrościć mocnego snu - rzucił pod nosem i szerzej otworzył frontowe drzwi.

Byli na werandzie, kiedy Karolina zaczęła płakać.

- Błagam cię, nie rób mi krzywdy. Niedługo rodzę, ja...

- Bądź... cicho... - wycedził Czarny, jeszcze mocniej zaciskając palce na jej ramieniu.

Przez kilka minut szli przez lasek, w którym Czarny zostawił

terenowego nissana. Ona drząc z zimna i ze strachu, on milczący i przerażająco ponury.

- Właź! - warknął, otwierając drzwi od strony pasażera.

- Muszę siku - szepnęła tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Kurwa, fakt - rzucił przez zęby. - Szczaj za autem, nie będę podglądał. I pospiesz się, bo pizdzi tu jak w Kieleckiem! Tylko mi nie oblej błotników - dodał, a ona parsknęła nerwowym śmiechem.

- Ja śnię, prawda? - zapytała, z trudem kucając za samochodem. - To jest jakiś porąbany, koszmarne sen?

- Lepiej uwierz, że nie - mruknął Czarny, zerkając w stronę domku.

Gdyby Lenart się teraz obudził i zaczął szukać żony, mogłoby być niewesoło, zwłaszcza gdyby zadzwonił po psiarnię. Ale póki co nic nie wskazywało na to, żeby ktoś miał podnieść alarm.

- Już? - przypomniał sobie o Karolinie i zerknął na tył samochodu w momencie, w którym młoda matka, kołysząc się jak kaczką, biegła w stronę lasu, rękoma podtrzymując olbrzymi ciężowy brzuch. - Kurwa mać! I jak tu komuś zaufać?! - warknął, dopadając ją kilka metrów dalej. - I po co te szopki?

- Błagam cię, puść mnie! Ja niedługo rodzę, nie możesz przecież...

- Właź! - Tym razem siłą wepchnął ją do samochodu i szybkim krokiem obszedł nissana.

Kiedy ruszał bez zapalonych świateł, wolno sunąc wąską drogą pod lasem, Karolina zaczęła płakać.

- Nie mam chusteczek, więc lepiej, żebyś nie zaczęła mi tu smarkać - rzucił, nie odrywając oczu od drogi.

- Kim jesteś? I czemu akurat ja? - zapytała, z trudem panując nad głosem.

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem.

- Nie wiem - szepnęła.

- Naprawdę nie wiesz? Nie masz wrogów, nikomu nie nadepnęłaś na odcisk? - zapytał kpiąco Czarny.

I nagle zrozumiała... To było jak cios w przeponę, który odbierał oddech, jak kubek lodowato zimnej wody wylanej na głowę...

- Boże... - szepnęła, w wyrazie skrajnego szoku zasłaniając dłonią usta.

- Obawiam się, że aż taki wszechmocny nie jestem. - Zaśmiał się chrapliwie, wyraźnie rozbawiony.

Przez resztę drogi milczeli. Ona sparaliżowana strachem i skulona na siedzeniu pasażera z ręką zaciśniętą na klamce, on pogwizdujący i zapatrzony w wijącą się przed nimi ciemną wstęgę szosy.

Sporo wcześniej, nim dotarli na miejsce, przewiązał jej oczy ciemną opaską i kazał się opuścić niżej na siedzeniu. Powiedziała, że naprawdę musi siku, i zaczęła rozdzierająco łkać. Nie miał jednak zamiaru się zatrzymać, więc musiała jakoś wytrzymać.

Świtało, kiedy zaparkował nissana przed dużym, otoczonym drzewami budynkiem, i podał Karolinie rękę, ułatwiając wyjście z wozu.

- Proszę, wypuść mnie. Przecież możesz jeszcze...

- Przymknij się! - warknął.

Podobała mu się i czuł się podle, traktując ją w ten sposób, ale przecież nie on podejmował decyzje. Szczepan kazał mu się nią zająć, a on był na tyle lojalny, żeby bez szemrania spełnić polecenie. Dlatego pchnął ciężkie metalowe drzwi i kazał jej iść do przodu. A ona szła z wyciągniętymi przed siebie rękoma niczym ślepiec badający drogę, i znowu zrobiło mu się jej żal. Wiedział jednak, że w żaden sposób nie może jej pomóc. Nawet

gdyby chciał. Ale przecież nie chciał. Aż tak mi się nie podoba, pomyślał z krzywym uśmiechem i pchnął kolejne ciężkie drzwi.

- Właź! - powiedział.

Usiadła na jednym z krzeseł w kącie i chociaż nic nie widziała, obróciła głowę na wszystkie strony, wyraźnie nasłuchując.

Czarny pochylił się nad nią i opuszkami palców musnął jej opięty flanelową koszulą nocną brzuch.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Naprawdę cholernie mi przykro - dodał.

Chwilę później odsłonił jej oczy i nie oglądając się za siebie, opuścił pomieszczenie.

7

Starszy sierżant Wojciech Kiciński wysiadł z toyoty i rozejrzał się po wiodącym na wydmy sosnowym lasku. Ranek był wyjątkowo pogodny. Lazur nieba i piękno wczesnej jesieni sprawiały wrażenie sielanki, jednak to właśnie z tego spokojnego zakątka ostatniej nocy ktoś uprowadził ciężarną kobietę. Kicius wyjął ze schowka paczkę kupionych przy porcie cameli i rozerwał zabezpieczającą folię. Ostatnio kilka razy rzucał fajki tylko po to, żeby wrócić do nich po paru dniach bądź tygodniach, ale ostatecznie się poddał i po prostu kupił zapas na cały nadchodzący tydzień.

- Kicius, cześć! - Dopalał papierosa, kiedy ze swojego wozu wysiadła Hanka Piasecka.

- Hej, Haniu. - Skinął głową w geście powitania i cisnął wypalonego szluga na pełną kolein wąską drogę wiodącą do niewielkiego wczasowego ośrodka.

- Wiadomo już coś? - zapytała sierżant Piasecka, podchodząc do niego.

- Ni chuja - mruknął Wojciech, wdeptując niedopałek w ziemię.
- Chodź, trzeba chociaż sprawiać wrażenie, że coś robimy, zanim ktoś się do nas dowali - dodał, ruszając w stronę ogrodzenia, za którym stało kilka drewnianych domków, na skandynawską modłę pomalowanych na krzykliwą czerwień.

Kiedy weszli na teren ośrodka, podkomisarz Oziębłowicz wydierał się właśnie na Lucjana Słowika, właściciela „apartamentów”:

- Jak to nie ma żadnego monitoringu?! To jakieś jaja są?!

- No nie ma, jakoś nie zdążyłem zamontować, zresztą nikt się nigdy nie skarżył. - Słowik podrapał się po głowie i skulił w ramionach, wyraźnie przestraszony wybuchem starszego gliniarza.

- A mąż tej zaginionej gdzie?! - warknął Oziębłowicz.

- No w domku, z dzieckiem.

- Dobra, zostań tu! - nakazał podkomisarz i ruszył w stronę jednego z budynków. - Kiciuś, ruchy! Trzeba pogadać z mężem! - ponaglił Wojciecha i we trójkę weszli do środka. - Żona jest w ósmym miesiącu, tak? - zapytał Oziębłowicz, siadając na niewygodnym rozchybotanym krześle.

- Tak - powiedział Dariusz Lenart.

Kiciński zauważył, że mąż wygląda na wyjątkowo roztrzęsionego, co oczywiście nie świadczyło o jego niewinności. Słyszał już przecież o takich, co to zgłaszali zaginięcie żony parę godzin po tym, jak własnoręcznie zaciukali ją siekierą, i też bywali nieźle roztrzęsieni.

- To jak było? - zapytał Oziębłowicz, wbijając uważne spojrzenie w siedzącego naprzeciwko męża zaginionej kobiety.

- No wstałem przed ósmą i zobaczyłem, że żony nie ma w domku. Gabrysia jeszcze spała, do tej pory jest dziwnie ospała, jak nie ona, a żona... A Karoliny nigdzie nie było - powiedział Lenart łamiącym się głosem. - Początkowo myślałem, że poszła na plażę. Przez tę końcówkę ciąży marnie sypiała i kręciła się nocami po domku. Ale kiedy nie wracała przez czterdzieści minut, zacząłem się niepokoić. Obudziłem Gabrysię i z dzieckiem na barana zacząłem przeszukiwać pobliski las, wydmy i plażę. Ale Karoliny nigdzie nie było... Dopiero po powrocie do domku zauważyłem, że zniknęły jej kapcie. Ale przecież nie wyszłaby

z domku w kapciach. Nie dobrowolnie.

- Sugeruje pan, że ktoś ją porwał? - zdziwił się Oziębłowicz.

- A co innego mogło się stać?! - podniósł głos Lenart.

Chwilę później się rozplakał, a siedząca cichutko jasnowłosa dziewczynka wstała z fotela, podbiegła do ojca i zarzuciła mu rączki na szyję.

- Tatusiu, czemu płaczesz? - zapytała cichutko.

- To nic, myszko. Tatuś jest troszkę smutny. - Lenart otarł łzy i starając się uspokoić córkę, wziął ją na kolana, a ona tuliła buzię w zagłębienie jego ramienia.

- Gdzie mamusia? - zapytała.

- Niedługo wróci.

- Jestem głodna - poskarżyła się dziewczynka i ojciec zdał sobie sprawę, że mała nie jadła śniadania.

- Przepraszam, dam jej płatki - powiedział, a Oziębłowicz wstał i rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu.

Przy drzwiach w ciszy i skupieniu pracowało już dwóch techników. Wojciech z Hanką siedzieli zatopieni w swoich myślach i w domku zapanowała nieprzyjemna, wręcz grobowa atmosfera.

- Czy pana żona kiedykolwiek cierpiała na depresję? - zapytała nagle Hanka Piasecka.

- Na depresję? - Lenart znieruchomiał z opakowaniem płatków w dłoni. - Nie, skąd taki pomysł?

- Jest pan pewny?

- Oczywiście, że jestem pewny! Jesteśmy osiem lat po ślubie, a ponad jedenaście razem!

- Rozumiem. - Hanka posłała Lenartowi przepaszający uśmiech, ale podejrzenie, że Karolina mogła się targnąć na własne życie, już zakiełkowało.

To wyjaśniałoby, czemu wyszła z domku w środku nocy, w kapciach i nocnej koszuli. Mąż potwierdził, że nie założyła na siebie nawet swetra; wszystkie jej wierzchnie okrycia wisiały na drewnianym wieszaku w korytarzu.

- Skąd państwo są? - zainteresował się Oziębłowicz.

- Z Gryfina. To pod Szczecinem.

- Wiem, gdzie jest Gryfino. Miałem kiedyś dziewczynę stamtąd.

- Marian Oziębłowicz lekko się uśmiechnął, jednak szybko spoważniał. - Czym się pan zajmuje? Jest opcja, że żonę porwano dla okupu?

- Dla okupu?! A widzi pan ten obskurny ośrodek?! Gdybym miał kasę, siedziałbym teraz na jakimś Bora-Bora! - warknął Lenart. - Jestem nauczycielem historii. Jeżdżę wgniecioną na błotniku dwunastoletnią skodą i nie mam niemal żadnych oszczędności. Żyjemy z dnia na dzień, czasem pomagają nam rodzice żony, chociaż im też się nie przelewa. Mieszkamy w starym domu razem z moim dziadkiem, więc nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł nas podejrzewać o posiadanie okazałego konta.

- A żona? - zapytał Kiciuś. - Czym się zajmuje?

- Dawniej była nauczycielką muzyki, ale odkąd urodziła Gabrysię, siedzi w domu.

- Siedzi w domu - powtórzyła cicho Hanka, bo zabrzmiało jej to tak jakoś... smutno.

- Miałem na myśli...

- Rozumiem. - Posłała Lenartowi krzepiący uśmiech i wstała. - Chodź, Kiciuś, rozejrzemy się po okolicy.

- Zanim państwo wyjdą, jakie według was mamy opcje? - zapytał Dariusz Lenart przyciszonym głosem, żeby nie usłyszała go córka, która pałaszowała zalane resztką mleka płatki.

- Szczerze? - zapytała Hanna.

- Oczywiście. Gdybym bał się prawdy, nie pytałbym.

- Okay, więc albo żona wyszła z domku z zamiarem targnięcia się na swoje życie. Na to wskazuje fakt, że nawet się nie przebrała i wyszła w zimną październikową noc w samej nocnej koszuli na grzbiecie. Albo, proszę wybaczyć, zabił ją pan z premedytacją bądź nieumyślnie i ukrył ciało przed zgłoszeniem zaginięcia, a teraz udaje pan zrozpaczonego, albo pani Karolina dobrowolnie z kimś stąd odjechała.

- W sensie z jakimś facetem? Bzdura! - zachnął się Lenart.

- Niekoniecznie z facetem, to mogła być na przykład jakaś jej przyjaciółka. I tak, to jedna z opcji, które choć wydają się panu zupełnie nieprawdopodobne, mogły się wydarzyć. Mogło też być tak, że z niewiadomych dla nas przyczyn ktoś pana żonę uprowadził.

- Niby kto?! Kosmici?!

- A chodzą słuchy, że nad tą okolicą dość często pojawia się UFO - wtrącił Kiciuś, zanim zamilkł speszony piorunującym spojrzeniem Oziębłowicza. - Przepraszam, to była debilna uwaga - wymamrotał chwilę później.

- Gdyby pana żona coś na siebie założyła, moglibyśmy przypuszczać, że nie mogąc spać, poszła na krótki spacer i gdzieś w lesie rozpoczął się przedwczesny poród, ale żadna rozsądna kobieta w ciąży nie wyszłaby przecież w środku nocy w kapciach i flanelowej koszuli na grzbiecie. Zakładam, że nie chciała ryzykować zapalenia płuc.

- Więc co w tym momencie wydaje się pani najbardziej prawdopodobne? - zapytał Lenart.

- Samobójstwo, uprowadzenie bądź zabójstwo - wymieniła Hanna, nie patrząc mężowi zaginionej w oczy. - Przykro mi, ale właśnie tak mi to wygląda...

- Boże... - Lenart opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. - Nie sądzicie chyba, że zabiłem moją żonę?

- Przykro mi, ale na tym etapie musimy zakładać wszystko - powiedziała Hanka ze współczuciem w głosie.

- Szefie, skończyliśmy. Na nasze oko ktoś grzebał w zamku. Poza tym mamy grudki błota w salonie i zebraliśmy odciski z całego domu - odezwał się jeden z techników.

- A gdzie jest fotograf? - zainteresował się Oziębłowicz.

- Razem z Tomkiem zabezpieczają ślady opon wokół ośrodka.

- Dobra, dzięki, - Marian skinął młodemu mężczyźnie głową i zwrócił się do Kicińskiego: - Niech ktoś mi sprowadzi dziecięcego psychologa. Może mała przebudziła się w nocy i coś widziała? Poza tym trzeba skrzyknąć ludzi i rozpocząć poszukiwania, ściągnąć ekipę z psami i zabezpieczyć nagrania z monitoringu przy moście i na głównych drogach. Roboty od groma, w dodatku dwójka naszych ma grypę, a Jaromirski jest na urlopie.

- Jeremi wyjechał? - zdziwiła się Hanka.

- Wybiera się do Trójmiasta. Ponoć jakieś sprawy prywatne - mruknął Oziębłowicz. - Kiciuś, dzwoń po psychologa! Na cito albo i szybciej!

- Panie komisarzu, a jeśli ona rzeczywiście zaczęła tej nocy rodzić? - odezwała się Hanna. - Czytałam kiedyś, że w niektórych plemionach kobiety po rozpoczęciu porodu udawały się do lasu, żeby samotnie wydać na świat dziecko, więc może Karolina Lenart pod wpływem jakiegoś szoku...

- A widzisz, żeby odeszły jej wody?! Niczego takiego nie znaleźliśmy! Poza tym nie wmówisz mi, że jakieś pierwotne instynkty zwalczyłyby w niej cywilizowaną chęć udania się do szpitala. Gdyby zaczęła rodzić, obudziłaby męża!

- Tak, ale tej nocy była pełnia, a niektóre kobiety...
- Piasecka, błagam cię! - warknął Oziębłowicz i urażona Hanka zamilkła. - Dawać mi tu Słowika! - dodał po chwili i Hanka wyszła na zewnątrz, żeby zawołać starszego właściciela ośrodka.
- Panie komisarzu, ale ja już mówiłem, że nic nie wiem - zaczął Lucjan, kiedy tylko wszedł do środka.
- To się jeszcze okaże - mruknął Oziębłowicz. - Ktoś tu mieszkał w tych dniach?
- Jeden facet.
- Nazwisko?
- Ale ja nie mogę przecież...
- Nazwisko! - Marian podniósł głos i Słowik znowu skulił się w ramionach.
- Wójcik.
- Wójcik? No to bardziej popularnego już, kurwa, nie mógł mieć, co? - skrzywił się Oziębłowicz. - A imię?
- Marcin.
- Szefie, gdyby koleś miał złe zamiary, nie podałby przecież prawdziwego nazwiska, nie? Pewnie ma lewy dowód - wtrącił Wojciech, a rozeźlony Oziębłowicz gniewnie parsknął.
- Serio?! Długo nad tym myślałeś?! - warknął. - Jak wyglądał? - zwrócił się do Słowika. - Czym przyjechał? Co pan pamięta? Mów, człowieku! Czas nas goni! - ponaglił go.
- Duży facet. Kilkudniowy zarost, okolice czterdziestki. Ciemne włosy, ciemne oczy, szeroki w ramionach.
- Gdzie mieszkał?
- W domku naprzeciwko.
- Z widokiem na okna Lenartów. Idealnie - mruknęła Hanka.
- Możemy z nim pogadać?
- Nie ma go. - Słowik niepewnie zerknął na Oziębłowicza, jakby

zastanawiał się, czy gliniarz znowu na niego nie naskoczy, i dodał, że domek jest pusty. - A mówił, że zatrzyma się na dłużej... Zapłacił za góry za cały tydzień.

- Gotówką?

- Tak.

- Ma pan tę kasę?

- Te parę stówek? Nie, dałem synowi. A co?

- W takim razie już nic - burknął Marian. - Dobra, zrobimy portret pamięciowy, może coś z tego będzie - zdecydował.

- Był autem? - zapytała Hanka.

- Nie, pieszo przyszedł. Miał tylko plecak. Ale gdyby coś planował, to przecież auto mógł zostawić w którymś z zagajników. Tu odludnie, mało kto się kręci...

- Dobra, pan tu poczeka na naszego rysownika, Hanka, ty zostań z mężem, a ty, Kiciuś, skrzyknij ludzi i zaczynamy poszukiwania - rzucił Oziębłowicz.

- Tak jest, szefie. - Kiciński złapał kurtkę od munduru i ruszył w stronę wyjścia.

- Znajdziemy ją - usłyszał jeszcze głos Hanki, zanim wyszedł.

Znajdziemy ją? Chciałbym mieć taką pewność, pomyślał.

8

Dochodziła dwudziesta trzydzieści, kiedy Hanka Piasecka wyjęła z bagażnika reklamówkę z zakupami, pchnęła skrzypiącą metalową furtkę i weszła do niewielkiego ogrodu pełnego dawno nieprzycinanych krzewów. Szukając w torebce kluczy, położyła zakupy na ziemi i pociągnęła nosem. Łapał ją katar, co biorąc pod uwagę intensywność czekających ich dni, nie napawało jej optymizmem. Cholera, no! Wokół piękna złota jesień, a ja będę smarkać i kasłać! Skrzywiła się, wchodząc do niewielkiego parterowego domu z cegły.

Teresa siedziała na sofie, wpatrując się w przedpotopowy telewizor. Powinnam w końcu kupić jej nowy, pomyślała Hanna, kładąc na krześle zrobione po drodze zakupy.

- Co tak długo? - Starsza kobieta sięgnęła po pilota, ściszyła nastawiony zbyt głośno odbiornik i posłała Hance pełne wyrzutu spojrzenie. - Jestem głodna, zmarzłam i nie mam niczego na kolację! - dodała z wyrzutem.

- Przepraszam, miałam wyjątkowo zwariowany dzień. - Hanka pochyliła się nad macochą i cmoknęła ją w policzek. - Jak się czujesz?

- Staro - zgryźliwie skwitowała Teresa. - I znowu lecą mi włosy... - Przeczesła palcami jasny i mocno przerzedzony puch, przez który wyraźnie prześwitywała skóra czaszki.

- Zaraz zrobię coś do jedzenia. A włosami się nie przejmuj, to pewnie ta jesień... - Hanka zarzuciła jej na ramiona kraciasty wełniany koc i roztarła lodowate dłonie staruszki. - Ale najpierw

heparyna. - Sięgnęła po pudełko z ampułkostrzykawkami i rozejrzała się za spirytusem, który stał zazwyczaj na ławie obok sofy.

- W łazience. Ta nowa opiekunka niczego nie kładzie na miejsce - poskarżyła się Teresa.

- Ale jest miła. Mówiłaś przecież, że ją lubisz - przypomniała jej Hanna.

- A jakie mam wyjście? - Teresa roześmiała się chrapliwie i lekko uniosła zakutą w gips nogę. - Sama widzisz, jestem zdana na innych...

- Nie tragizuj. Niedługo zdejmą ci gips i będziesz jak nowa. Podnieś w górę sweter i opuść się niżej. - Hanka, która przyniosła z łazienki spirytus, usiadła obok macochy i sięgnęła po ampułkostrzykawkę.

- I po co te zastrzyki? Brzuch mnie tylko po nich boli, siniaki mam - utyskiwała Teresa.

- Ktoś tu chyba nie jest w nastroju - mruknęła Hanna, przecierając nasączonym spirytusem wacikiem obwisłą, bladą skórę macochy. - A zastrzyki po to, żebyś nie dostała zakrzepu. Wiesz, co to jest zatorowość płucna?

- Dajże spokój! Kto by myślał o takich rzeczach? - Teresa posłała pasierbicy krzywe spojrzenie i syknęła, kiedy wbiła jej w brzuch niewielką igiełkę. - Co cię dzisiaj zatrzymało? - zapytała chwilę później.

- Szukamy kogoś, mieliśmy zwariowany dzień.

- Kogo?

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. - Piasecka przycisnęła wacik do brzucha macochy i poklepała ją po dłoni. - I już po bólu.

- Zaokrągliłaś się. Chyba nie jesteś w ciąży? - zapytała nagle Teresa i Hanka zamarła z ampułkostrzykawką w dłoni.

- Nie - burknęła. - Po prostu wrzucam w siebie tony śmieciowego żarcia, a wieczorami podjadam, kiedy cały dom już śpi. Jest aż tak źle?

- Nie jest źle. Po prostu wyglądasz nieco pulchniej. - Macocha posłała jej pierwszy tego wieczoru uśmiech i na dłuższą chwilę w salonie zapadła cisza.

- Co zjesz? Mam bagietkę z pastą serową i pomidory. Mogę ci też zrobić szybkie spaghetti albo...

- Zrób mi bagietkę, pewnie się spieszysz do domu - weszła jej w słowo Teresa.

- Dzisiaj? Nieszczęśliwie. Marek jest w delegacji, a Zuza śpi u koleżanki.

- Tak czy inaczej, pewnie chcesz odpocząć.

- Tak, odpocząć. - Hanka lekko się uśmiechnęła i przeszła do niewielkiej kuchni.

Wkładając do lodówki kupione w delikatesach przy porcie rzeczy, pomyślała, że to w sumie ironia losu. Lata temu Teresa odbiła jej matce męża i rozbiła ich rodzinę, a teraz to ona się nią zajmuje. Ale czy mogła ją porzucić na pastwę losu? Zbliżającą się do siedemdziesiątki, cierpiącą na osteoporozę, samotną... Staruszka nie miała już przecież nikogo oprócz niej. Tato od dawna nie żył, a Teresa nie miała z nim dzieci, i oto były we dwie, macocha i pasierbica, próbujące stworzyć więź, jakiej nie dane im było zbudować lata wcześniej. Zresztą więź to chyba za dużo powiedziane, pomyślała Hanka, smarując bagietkę serową pastą. Zajmowała się nią z lojalności wobec zmarłego ojca, który do końca bardzo ją kochał, a po części również dlatego, żeby co rano, gdy przegląda się w lustrze, mogła z czystym sumieniem spojrzeć sobie w oczy. Zresztą były też wspomnienia cieplejszych chwil i strzępy radosnych wydarzeń, które nawet po nagłej

śmierci mamy i władowaniu się Teresy do ich życia dawały Hance odrobinę radości. To przecież ta pomarszczona i tkwiąca na kanapie kobieta lata temu przez pół nocy szyła dla niej sukienkę na studniówkę. To ona trzymała ją za rękę, kiedy majaczyła w gorączce, przechodząc późną ospę, i ona pomagała jej załatwić formalności, kiedy zmarł tato. Macocha... Paskudne słowo, takie zimne, szorstkie, bolesne, pomyślała Piasecka, wyjmując z kredensu duży biały talerz.

- Hanka?! Zaparzyłabyś mi melisę?! Ostatnio źle sypiam! - krzyknęła Teresa z salonu.

- Zaparzę!

- I znajdź w lodówce pikle, mam na nie ochotę!

- Pikli nie widzę! - odkrzyknęła Hanna, zaglądając do wypełnionej zapasami lodówki.

Teresa wymamrotała pod nosem coś, czego Piasecka nie dosłyszała, i w domu zapadła cisza. Kładąc na talerz bagietkę, Hanka zerknęła na ścianę, na której wisiało wspólne zdjęcie Teresy z jej ojcem. Stali na moście w Wenecji, oboje jeszcze młodzi, roześmiani, pełni życia. Ona z upiętymi w wysoki kok gęstymi jasnymi włosami, w kwiecistej sukience, ze sznurem pereł na szyi. On w eleganckiej marynarce i jasnych spodniach, obejmujący ją ramieniem. Patrząc na nich, przez moment czuła się tak, jakby cofnęła się w czasie. Pamiętała tamten dzień, kiedy wyjechali do Wenecji. Była tuż po maturze, niepewna, co dalej. Chciała, żeby ojciec coś jej doradził, pomógł wybrać życiową drogę, ale on tylko wzruszył ramionami.

- To twoje życie - burknął.

Nigdy więcej nie poprosiła go o radę, zresztą coraz rzadziej szukał jej towarzystwa. Zakochany w Teresie, z którą od dawna planował ślub, chociaż jego żona jeszcze nie ostygła w grobie, nie

widział świata poza piękną jasnowłosą kochanką.

- Hanka?! Haniu, chodź tu! - usłyszała Piasecka, kiedy szukała melisy.

- Co się dzieje? - zapytała, wchodząc do salonu.

- Pająk. Zobacz, jaki paskudny. Nie zostawiaj mnie tu z nim.

- Zaraz go zastrzelę. - Hanka mrugnęła do macochy i zdjęła z nóg jeden z mokasynów.

Chwilę później zatłukła ohydneho czarnego pajaka, podała macosze kolację i postawiła na ławie kubek z melisą.

- Usiądź, szkoda nóg. I zjedz coś.

- Już jadłam. Po robocie Kiciuś wyciągnął mnie na pizzę.

- A mówiłaś, że jedziesz prosto z komendy - powiedziała Teresa z pełnymi ustami.

- Mam chyba prawo jeść? - Hanka nagle poczuła złość.

Latami obskakiwała wszystkich. Męża, córkę, macochę, a jedno, co słyszała, to pretensje.

- Czy ja coś mówię? - Teresa wzruszyła ramionami i wgryzła się w ostatni kawałek bagietki.

- Pójdę już. Marzę o prysznicu. - Piasecka wstała i złożyła w kostkę stary wełniany koc rzucony przez macochę na podłogę.

- Jedź ostrożnie. Ostatnio znowu był wypadek na tym przeklętym zakręcie - powiedziała Teresa z pełnymi ustami.

- Miejmy nadzieję, że po drodze w nic nie huknę - mruknęła Hanka z wyraźnym sarkazmem, ale macocha chyba go nie wyłapała. - Chodź, pomogę ci przejść do łazienki i przebrać się w koszulę.

- Tak wcześnie? - Teresa znowu zaczęła marudzić. - Chciałam jeszcze obejrzeć film.

- Przykro mi, ale muszę jechać. - Hanna nagle postanowiła być stanowcza.

- Jasne, jedź. Spieszysz się, każdy ode mnie ucieka...

- Bzdury wygadujesz! - syknęła, pomagając macosze wstać i podeprzeć się na kulach. - Ostrożnie, powoli - dodała.

W łazience Teresa zaczęła płakać.

- Zobacz, jak ja wyglądam - powtarzała. - Skóra i kości, cienie pod oczyma i ta postępująca łysina... Kto to widział, żeby kobiety łysiały? A kiedyś byłam taka piękna...

- Nic nie trwa wiecznie - mało dyplomatycznie palnęła Hanka.

- No tak, ty zawsze szczerza aż do bólu - westchnęła Teresa.

- Taki już mam charakter, pewnie po tatusiu.

- To prawda, twój ojciec zawsze walił prawdę między oczy. - Macocha lekko się uśmiechnęła i dokuśtykała do umywalki.

Kwadrans później Hanna pomogła jej położyć się do łóżka, pogasiła wszystkie światła w domu i wyszła na zewnątrz.

Do siebie dotarła grubo po dwudziestej pierwszej skonana ze zmęczenia, senna i przejeżdżona. Jakby mało jej było tego, co pożarła w towarzystwie Kiciusia, w aucie zjadła jeszcze kilka krakersów. W mieszkaniu było nieprzyjemnie duszno, więc otworzyła balkonowe drzwi i zajrzała do pokoju córki. Pusto tu bez niej, przeszło jej przez myśl, i chociaż zazwyczaj potrafiła się cieszyć chwilami samotności, tego wieczoru poczuła bolesną tęsknotę za mężem i swoją wychuchaną nastolatką. Zbierała z podłogi porozrzucane przez Zuzę bawełniane koszulki, które ostatnio jej kupiła, kiedy gdzieś w głębi domu odezwała się jej komórka.

Dzwoniła Teresa.

- Przewróciłam się - rzuciła płaczkliwym głosem, kiedy Hanna odebrała.

- Jezu, mam nadzieję, że jesteś cała?

- Tak, tylko biodro mnie boli...

Kurwa mać, przecież już była w łóżku, pomyślała poirytowana Hanna, w pośpiechu zakładając kurtkę. Wracając w stronę domu macochy, poczuła pod powiekami łzy. Dom macochy, tak teraz o nim myślała. W końcu Teresa rezydowała w nim przez długie lata. Ale przecież kiedyś to mama szyła piękne firany do kuchennych okien, dbała o rabatki i przycinała żywopłot. Mama czekała na nią, kiedy wracała ze szkoły, i mama ją tuliła, kiedy rozbiła sobie kolano. Mama... Obraz jej pięknej, szczupłej twarzy bladł w jej wspomnieniach tak szybko, że czasem miała ochotę krzyczeć z rozpaczy. Ostatnio zdała sobie sprawę, że nie może sobie przypomnieć brzmienia jej głosu, i ogarnął ją przejmujący smutek. Mama kiedyś była dla niej wszystkim. A później przyszło tamto lato i nic już nie było takie samo. Był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy, miała piętnaście lat. I mama czekała na nią każdego dnia, aż do... Nie, nie mogę teraz o tym myśleć, powiedziała sobie, parkując przed zaniedbanym ceglany budynkiem. Dom macochy, skrzywiła się. Mając naście lat, tuż po śmierci mamy, nazywała ją babą-jagą. Teraz wiele jej wybaczyła i wiele też zrozumiała, ale zadra wciąż tkwiła w sercu.

Teresa leżała na podłodze w sypialni, bezskutecznie usiłując się podnieść. Starość jest taka bezduszna, pomyślała Hanna, pomagając jej wstać.

- Czemu wyszłaś z łóżka? - zapytała. - Na pewno jesteś cała?

- Tak, chyba tak. Chciałam obejrzeć album z Wenecji i tak jakoś...

- Nie wstawaj więcej, proszę. Rano przyjdzie opiekunka, ale teraz zostań w łóżku. Chyba że chcesz jeszcze pójść do łazienki.

- Nie.

- Powinnaś się do nas przenieść. Chociaż na czas, kiedy masz na nodze gips.

- Nie chcę, rozmawialiśmy już o tym.
- Byłoby łatwiej nam obu, przecież...
- Nie chcę! - krzyknęła Teresa.
- Jak wolisz. - Okryła ją kołdrą, zgasiła światło w sypialni i po tym, jak życzyła jej dobrej nocy, wyszła.

W samochodzie, zwalniając przed owianym złą sławą zakrętem, zdała sobie sprawę, że przecież ma urodziny. Trzydzieści pięć lat, skrzywiła się. Później pięć kolejnych i czterdziestka. O ile dożyje. Mama nie dożyła, przeszło jej przez myśl, i znowu zachciało jej się płakać.

- Cholerny smętny dzień - mruknęła pod nosem.

Wychodziła spod prysznic, kiedy mąż przesłał jej urodzinowego esemesa z mnóstwem emotek w kształcie balonów, konfetti i butelek szampana.

Najlepsze życzenia dla najseksowniejszej policjantki na świecie!

- przeczytała i parsknęła śmiechem.

- Wariat - szepnęła, przecierając zaparowane lustro.

Córka się nie odezwała, najwyraźniej zapomniała...

Wyglądasz nieco pulchniej, przypomniała sobie słowa Teresy, i wciągnęła brzuch, przeglądając się w zamglonym od pary lustrze. Piersi zawsze miała drobne, dziewczęce, ale w talii faktycznie przybyło jej ostatnio centymetrów. Pupa też nieco urosła, ale nie na tyle, żeby miała się zacząć zamartwiać. Ogólnie nie jest źle, pocieszyła się, przeczesując palcami sięgające ramion ciemnoblonde włosy, które zazwyczaj przed pracą spinała w ciasny kucyk. Teraz jednak zostawiła je rozpuszczone i w narzuconym na ramiona szlafroku przeszła do salonu, gdzie zrobiła sobie drinka.

- Twoje zdrowie, najseksowniejsza policjantko świata! - Uniosła kieliszek, widząc swoje odbicie w tafli zawieszzonego nad imitacją kominka zwierciadła w złoconych ramach, i krzywo się

uśmiechnęła. - To się dopiero nazywa pić do lustra - mruknęła.

9

Jeremi zaparkował przed jednym z apartamentowców na Chrobrego i wręczonymi mu przez Renatę kluczami otworzył drzwi od sopockiego mieszkania Mateusza Krolla. Wnętrze było znacznie przytulniejsze, niż się spodziewał. Zamiast chłodnego minimalizmu szkła i stali w przestronnym salonie zastał drewniane ławy, kolorowe ozdobne poduszki i pomalowane na ciepły brzoskwiniowy odcień ściany, a w sypialni stało łóże z beżowym baldachimem, co sprawiło, że Jeremi krzywo się uśmiechnął.

- No, chłopie, albo wyjątkowo się zmieniłeś, albo tę chatę meblowała ci jakaś laska - mruknął pod nosem, rzucając na komodę kluczyki od kilkuletniego czarnego nissana.

Pociągiem przyjechał do Trójmiasta celowo. Nie chciał się rzucać w oczy podczas nieoficjalnego śledztwa, a wynajęty nissan przyciągał zdecydowanie mniej spojrzeń niż szpanerskie ciemnoszafirowe subaru. Na balkon wyszedł po tym, jak dopił kupioną na stacji paliw wodę. Niewielki tarasik wychodził na dziedziniec, i chociaż wewnętrzny ogródek dwa piętra niżej był wyjątkowo zadbany, Jaromirski poczuł lekkie ukłucie rozczarowania, że nie zobaczy stąd morza. Przez dłuższą chwilę otoczony przenikliwymi piskami mew samotnie stał na balkonie, robiąc w duchu plan na najbliższe dni, w końcu wrócił do salonu i przeszedł do połączonej z nim kuchennej wnęki. W lodówce nie spodziewał się zastać wiele, ale czekała go niespodzianka.

Czuj się jak u siebie! Kupiłam Ci coś na ząb, bo pewnie będziesz

zabiegany! Ściskam, Renata!

Siostra Mateusza zostawiła na jednej z półek zapisany okrągłym kobiecym pismem liścik i ewidentnie zrobiła większe zakupy. Na półkach było wszystko, od dwóch zgrzewek heinekena po świeżą sałatę, sery, pomidory, kabanosy i domowej roboty zapiekankę, którą dawna przyjaciółka zostawiła dla niego w szklanym żaroodpornym naczyniu.

- Miło, nie powiem. - Jeremi cisnął liścik na kuchenny stół i wyjął z lodówki kabanosy.

Krojąc pomidora, pomyślał o Mateuszu. Żał mu było gnijącego w areszcie starego kumpla, jednak nie bardzo wierzył, że ktoś go zrobił. Takie sprawy zazwyczaj bywały banalnie proste. Komuś puszczały nerwy i robił coś głupiego, a ktoś inny, zazwyczaj należący do najbliższej rodziny, nie potrafił w to uwierzyć... Oczywiście miał zamiar się rozejrzeć, a już w żadnym wypadku nie chciał wyciągać pochopnych wniosków, ale póki co nie był zbyt wielkim optymistą. Tym bardziej że miał już jasną i klarowną wizję tego, co się działo z rodzeństwem Krollów po śmierci ich ojca. Kłótnie o kasę, przepychanki i brzydkie zachowanie wobec znacznie młodszej przyrodniej siostry, wszystko to nie świadczyło na korzyść Mateusza. Ale istniał cień szansy, że rzeczywiście ktoś Matiego wrabia, a jeśli tak było, zamierzał się dowiedzieć kto i czemu, postanowił, sięgając po pleśniowy ser.

Kilka minut później wyszedł z mieszkania i spacerowym krokiem ruszył w dół uliczki, za którą była już tylko wąska ścieżka rowerowo-spacerowa, wydmy i morze. Na molo dotarł tuż przed zachodem słońca i przez dłuższą chwilę przyglądał się rozgrywającemu się nad jego głową spektaklowi światła i kolorów. Nad miastem słońce zachodziło, barwiąc morenowe wzgórza pomarańczową poświatą, za to od strony morza na

niebie dominował fiolet wpadający niemal w fuksję, a gdzieniegdzie, tuż przy mieniającej się najprzeróżniejszymi kolorami tafli wody, przetykany szarością błękit. Jeremi oparł się o drewnianą barierkę mola i dał się oczarować magii tej chwili. Dookoła niego ludzie zachwycali się dokładnie tym samym, robiąc dziesiątki zdjęć, a on stał zapatrzony w morze, dopóki słońce całkiem nie znikło za morenowymi wzgórzami.

Przecinał plac przed Domem Zdrojowym, kiedy w kieszeni skórzanej kurtki odezwała się jego komórka.

- To ja. Dotarłeś na miejsce? - usłyszał głos Renaty.

- Tak, niedawno przyjechałem. Dzięki za prowiant. Masz u mnie kolację.

- Gotujesz?

- Nie, zapraszam cię do knajpy - powiedział, a Renata parsknęła śmiechem.

- No tak... Słuchaj, od czego zaczniesz? Masz już jakiś plan, czy...

- Renata, wybacz, ale na to jeszcze za wcześnie. Pozwól mi się na spokojnie rozejrzeć - wszedł jej w słowo.

- Jasne.

- Podeślij mi dokładny adres należącego do Matiego klubu, bo chyba mam jakiś problem z netem.

- A tak, Mateusz niedawno mi wspominał, że w jego mieszkaniu zdarzają się awarie. Net znika i wraca, stale coś...

- No nieważne, jakoś sobie poradzę. Ale adres mi podeślij, jutro chcę tam zajrzeć.

- Jasne, zaraz ci wyślę esemesa.

- Super - mruknął i w słuchawce zapadła cisza.

- Okay, nie przeszkadzam ci - powiedziała jego dawna przyjaciółka, cmoknęła w słuchawkę i przerwała połączenie.

Wczesny wieczór spędził, wałęsając się po sopockich uliczkach. Trójmiasto kochał od zawsze i nawet ta niezbyt sympatyczna okazja, jaką było nieoficjalne śledztwo w sprawie dawnego przyjaciela, ucieszyła go i sprawiła, że odżyły wspomnienia szczeniackich lat i spontanicznych wypraw do Sopotu.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, kiedy wrócił na Chrobrego, odgrzał połowę zostawionej przez Renatę zapiekanki, przebrał się w elegancką ciemnobezową koszulę, założył nowe czarne spodnie i wyjął z walizki krawat.

- Czas na odwiedzin w przybytku Papy Legby. - Uśmiechnął się do łazienkowego lustra, wcierając we włosy drobinę pianki.

Renacie powiedział co prawda, że dotrze tam najwcześniej następnego dnia, ale co innego miał do roboty? Zapinając pasek, zastanawiał się, co i kiedy uda mu się odkryć, i nagle poczuł niezdrowe podekscytowanie czekającym go śledztwem. Sprawy, które prowadził w policji, też potrafiły nieźle wciągnąć, ale przyglądając się przypadkowi Krollów, miał wrażenie, że przekracza pewne granice, ingerując w prywatność ludzi, których kiedyś uważał za najbliższych przyjaciół. Z drugiej jednak strony to moje wścibstwo ma komuś pomóc, więc nie ma powodu do zażenowania, pomyślał, zakładając eleganckie buty z ciemnobrązowej skóry.

Klub odnalazł bez trudu. Szyld z rzucającym się w oczy czerwonym napisem „Papa Legba” zdobił zupełnie pozbawiony klimatu nowoczesny budynek z przeszkloną elewacją. Paskudztwo. Oby w środku było ciekawiej, pomyślał Jeremi, parkując nissana dwie uliczki dalej.

Do środka dostał się bez problemu. Selekcjoner, wysoki śniady koleś w czerni, zmierzył go obojętnym spojrzeniem i gestem głowy pokazał drzwi. We wnętrzu dominowały czerń, czerwień

i złoto, a całość sprawiała wyjątkowo kiczowate wrażenie. Nazwa klubu ewidentnie nawiązywała do haitańskiego kultu wudu, jednak nie licząc stojącego za barem woskowego potwora, który chyba miał przypominać zombi, żaden inny element wystroju nie oddawał klimatu ponurych haitańskich wierzeń. Czarne sofy ze sztucznej skóry, czerwone ściany, kipiące od złota obicia poduszek – tandeta aż waliła po oczach.

Jaromirski usiadł przy barze i zamówił colę.

- Bez wódki? - Przeciągnięte krwistą czerwienią usteczka młodziutkiej barmanki wygięły się w pogardliwym uśmiešku.

- Bez. Masz z tym jakiś problem? - zapytał Jeremi, a dziewczę tylko wzruszyło ramionami i sięgnęło po szklanę.

Sącząc colę, rozglądał się po sali, jednak wyglądało na to, że tego akurat wieczoru klientela nie dopisała. Nie licząc dwóch tańczących par i głośnych pijanych Niemców przy stoliku w samym kącie, lokal był pusty.

- Właściciel jest?! - zapytał Jaromirski barmankę.

- Który? - odpowiedziała pytaniem.

- Ten, który obecnie nie siedzi w areszcie. - Jeremi uśmiechnął się krzywo i puścił do dziewczyny oczko.

Zaczerwieniła się i udając, że chce doczyścić plamę na barowym kontuarze, pochyliła głowę i zajęła się pracą.

- Skarbie, pytałem cię o coś! - Jeremi pochylił się w jej stronę i złapał ją za rękę.

- Hej! Nie dotykaj mnie, dupku! - warknęła.

- Zawsze tak traktujesz klientów? Nic dziwnego, że takie tu pustki...

- Po prostu mnie nie dotykaj! - wycodziła. - A Roberta jeszcze nie ma!

- No i widzisz, jednak potrafisz odpowiadać na pytania. -

Ponownie do niej mrugnął i cisnął na blat wymiętą dwudziestkę. – Reszta dla ciebie. Powiedzmy, że powalił mnie na kolana twój urok.

Dziewczyna wymamrotała coś pod nosem i wróciła do polerowania baru.

Jeremi zaszedł do łazienki i postanowił się zbierać. Być może w sobotnią bądź piątkową noc znajdzie tu coś ciekawszego. Teraz szkoda mu było czasu na przesiadywanie w pustawym lokalu.

Szedł w stronę nissana, kiedy zza zakrętu wyjechało sportowe czerwone bmw Renaty Kroll.

– Siostrzyczka wpadła się napić czy może ma tu jakiś interes? – mruknął pod nosem, chowając się w zagłębieniu jednej z wejściowych bram.

Tymczasem nieświadoma tego, że ma widownię, Renata wysiadła z wozu i ruszyła w stronę wejścia do klubu. Była przy drzwiach, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu. Proszę, proszę. Robert Rokosz. Facet, który rzekomo wrabia jej brata w pobicie ich przyrodniej siostry, właśnie całuje ją w policzek? Co do tego, że to był wspólnik Matiego, nie miał nawet cienia wątpliwości. Przed wyjściem obejrzał jego zdjęcia na facebookowym profilu. Coś mi tu śmierdzi, pomyślał Jeremi, przyglądając się stojącej nieopodal wejścia dwójce. Kiedy weszli do środka, zrozumiał dwie rzeczy. Być może rzeczywiście Mateusz nie pobił Matyldy, a do tego może być jeszcze taka opcja, że Renata, piękna kusicielka, którą pamiętał ze szczeniackich czasów, wcale nie była z nim szczerą.

Dochodziła północ, kiedy odezwała się jego komórka. Moczył się właśnie w kąpieli, ciesząc się wanną, której nie miał w wynajętym mieszkaniu, kiedy zadzwoniła do niego Renata.

– Dzwonię, żeby się upewnić, że niczego ci nie brakuje – powiedziała.

Dzwonisz, żeby sprawdzić, gdzie jestem i co robię, pomyślał, zdając sobie sprawę, że już jej nie ufa.

- Jeremi? Jesteś?

- Tak. Kąpię się - powiedział.

- Uroczo. Może wpadnę i wymyję ci plecy?

- Innym razem - mruknął.

- Szkoda. Coś mi mówi, że moglibyśmy spędzić całkiem miły wieczór.

- W to nie wątpię.

- Słuchaj, tak właściwie to jestem na Grunwaldzkiej i chętnie bym z tobą pogadała. Może jednak zajrzę? Nie zabiorę ci wiele czasu.

- Renata, jest po północy, a ja...

- Co ty? Nie bądź taki.

- Okay, wpadaj - zgodził się, ulegając jej zachciance.

- Będę za pięć minut. I nie trudź się wychodzeniem z wanny. Mam klucze - rzuciła kokieteryjnym tonem.

No jasne. Zdziwiłbym się, gdybyś nie miała, pomyślał Jeremi, sięgając po szampon.

Wycierał się, kiedy w drzwiach zachrobotał klucz.

- Jesteś w łazience?! - krzyknęła Renata z przedpokoju.

- Tak! Czekaaj, już wychodzę.

- Już wyszedłeś? Szkoda. Naprawdę miałam ochotę na wspólną kąpiel.

Kiedy owinięty olbrzymim frotowym ręcznikiem Jeremi przeszedł do korytarza, Renata zsuwała właśnie z nóg krzykliwie czerwone szpilki.

- Dobrałaś kolor auta do koloru butów czy buty do samochodu?

- rzucił Jeremi, przyglądając się jej z błakającym się w kącikach warg uśmiechem.

- Zabawny jesteś. A ja po prostu lubię czerwień. Kobieta w czerwieni zawsze wydaje się atrakcyjniejsza niż ubrana w inny kolor. To dowiedzione naukowo. - Mrugnęła do niego, po czym nie czekając na zaproszenie, przeszła do salonu, wyjęła z barku whisky i zrobiła sobie drinka.

- Nie jesteś autem?

- Jestem. Ale zawsze możesz mi pościelić na sofie. - Znów do niego mrugnęła. - Też się napijesz?

- Dzięki, ja nie piję.

- W ogóle? - Parsknęła śmiechem i zmrużyła oczy, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

- Rzadko. Brzmi lepiej?

- Wow. Ty naprawdę jesteś oryginałem. To znaczy zawsze byłeś, ale... - Renata nie dokończyła i opadła na sofę.

- Więc o czym koniecznie chciałaś za mną porozmawiać?

- O nas, Jeremi. O nas. - Poklepała puste miejsce po swojej lewej. - Nie usiądziesz przy mnie? - zaszczebotała.

W co ona ze mną pogrywa? - zastanawiał się, siadając obok.

- Widzisz, jak miło? - Renata dopiła whisky, przysunęła się bliżej Jeremiego i położyła rękę na jego udzie, niebezpiecznie blisko krocza.

Przełknął ślinę, czując wzbierające podniecenie, a ona bezpardonowo wsunęła dłoń pod ręcznik i zacisnęła palce na jego penisie.

- No cześć. - Uśmiechnęła się lubieżnie.

- Renata, to nie jest... - zaczął, ale pochyliła się w jego stronę i zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Życie jest krótkie, trzeba je wyciskać jak cytrynę - szepnęła mu na ucho.

Chwilę później wsunęła mu język w usta, jednocześnie

pieszcząc go dłonią, dopóki nie oderwał się od niej, chcąc złapać oddech.

- Nie powinniśmy. Nie w tej sytuacji - zaprotestował po raz kolejny, ale ona nie zamierzała się wycofywać.

Przymknął oczy i przeciągle jęknął, podczas gdy Renata podciągnęła w górę wąską czerwoną sukienkę, zsunęła z bioder koronkowe stringi i pomagając sobie ręką, wsunęła go w siebie. Objął ją w talii, momentalnie znajdując z nią wspólny rytm, i przez dłuższą chwilę kołysali się w miłosnym uniesieniu. Doszła pierwsza, głośnym krzykiem oznajmiając to całemu światu, a przynajmniej najbliższemu sąsiedztwu, chwilę później gwałtowna fala orgazmu załała jego podbrzusze.

- Nadal uważasz, że nie powinniśmy? - zapytała Renata, całując go w usta.

- Teraz już nie jestem do końca tego pewny - mruknął z uśmiechem.

- Od dawna miałam na ciebie ochotę. Byłeś taki uroczy w tamtych czasach, kiedy się we mnie durzyłeś...

- Wiedziałaś? - zdziwił się.

- Żartujesz? Musiałabym być ślepa, żeby nie dostrzec tych twoich cięłych oczu! - Roześmiała się.

- Nie takich znowu cięłych. Byłem wtedy dobrze po dwudziestce.

- Byłeś uroczy. - Renata jeszcze raz go pocałowała i zeszła mu z kolan. - Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś to powtórzymy? I wybaczyć mój żenujący brak romantyzmu. Następnym razem zapalę chociaż zapachowe świece.

- Romantyzm jest mocno przereklamowany - mruknął Jeremi.

- Zdecydowanie - zgodziła się z nim, obciągając w dół zmiętą sukienkę. - Muszę jechać, wybaczyć.

- Już? - zdziwił się. - Mógłbym pomyśleć, że wpadłaś tylko na numerek.

- I co? Czujesz się wykorzystany?

- Bardzo. - Wyszczrzył się w uśmiechu i obserwując, jak zakłada stringi, dodał, że po prostu się tego nie spodziewał.

- Takie rzeczy są właśnie w życiu najlepsze. Te, których się nie spodziewamy. Słuchaj, zaparzyłbyś mi kawy?

- Jasne. O ile tylko jest.

- Jest, Mateusz zawsze ma kawę.

- Zaparzę w takim razie. - Jeremi wstał i chcąc sięgnąć po ręcznik, pochylił się nad sofą, ale ona była pierwsza.

- Zostaw. Znacznie lepiej wyglądasz nago - powiedziała.

- Jesteś złą, zboczoną kobietą - podkpiwał, przyciągając ją do siebie.

- Jestem kobietą, która potrzebuje kawy. - Klepnęła go w pośladek i poprawiła sobie włosy. - Skoczę do łazienki, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Ty jesteś u siebie.

- U brata.

- Ale masz klucze - rzucił rozbawionym tonem.

- Mądra kobieta musi mieć klucze od każdego miejsca, które jest dla niej ważne.

- Mądra kobieta nie pija kawy przed pierwszą w nocy.

- Mądra kobieta jest nudna. Za to ta szalona robi, co chce. Rób kawę, idę siku!

Stawiał wodę, kiedy w łazience coś łupnęło.

- Wybacz, zrzuciłam mydło w płynie! - krzyknęła z za drzwi Renata. - I włącz jakąś muzykę, bo cicho tu jak w rodzinnym grobowcu!

- Jest prawie pierwsza w nocy - powiedział, uchylając

łazienkowe drzwi.

W tej samej sekundzie zdał sobie sprawę, że Renaty już tam nie ma.

- Sorry, musiałam zajrzeć do sypialni. Mateusz czegoś potrzebuje - powiedziała, widząc jego zaskoczenie.

- Jesteś u siebie - powtórzył.

Wiedział już jednak na sto procent, że nie powinien jej ufać. W tej kobiecie jest coś... zmijowatego, przeszło mu przez głowę. I chociaż czuł się podle, myśląc o niej w ten sposób chwilę po tym, jak się w nią spuścił, nieufność towarzyszyła mu aż do jej wyjścia.

Położył się przed drugą, ale pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Co ona ukrywa i czego tak naprawdę ode mnie chce, zastanawiał się, bezsennie leżąc na szerokim łóżku dawnego przyjaciela. Nie powinienem z nią się pieprzyć, pomyślał nad ranem, parząc sobie kawę. Ale trudno, stało się. Są dorośli, oboje tego chcieli. Teraz jednak koniec z popełnianiem głupot i lekkomyślnością. Przeleciał ją, czy też ona go przeleciała, sama nabijając się na jego fiuta, ale teraz zmusi ją do zagrania w otwarte karty. Czuł, że go nie docenia. Łudziła się chyba, że posługując się seksem, zdoła go sobie owinąć wokół małego palca i zamydląc mu oczy. Cóż, myliła się. Nie był jednym z tych facetów, którzy myślą przyrodzeniem. Seks to fajna sprawa, ale okazji do zabawy nie brakuje. Nie był w końcu jakimś zdesperowanym, wygłodniałym frajerem, który za bzykanie robi dla laski wszystko, powiedział sobie, odsłaniając sięgające podłogi sypialniane okna.

Dochodziło południe, kiedy Renata przesłała mu esemesa.

Naprawdę mam nadzieję, że jeszcze kiedyś to powtórzymy! - przeczytał.

Usunął go chwilę później, bo dziwnie drażniła go jej nachalność. Jedząc jajecznicę, myślał już tylko o Matyldzie. I nagle zrozumiał, że choćby miał stanąć na rżęsach, dowie się, co tu się odpierdala. Był to winien Mateuszowi, ale też samemu sobie. Skoro już wpieprzył się w sam środek rodzinnej intrygi rodem jak z tasiemca „Dynastia”, to poukłada te puzzle.

Lipiec 1998 r.

Hanka siedziała na parapecie ze zwieszonymi nogami i liżąc kupionego w lunaparku lizaka, myślała o Arturze. To, że szaleńczo się w nim zakochała, nie było już dla niej zaskoczeniem, ale zdumiewała ją intensywność tego uczucia. Kiedy był w pobliżu, czuła się tak, jakby po zanurzeniu się pod wodą wynurzyła się na powierzchnię i wzięła pierwszy głęboki, ekstatyczny oddech. Kiedy brał ją za rękę, byli jednością. Kiedy na nią patrzył, stapiali się ze sobą, jakby ich ciała stanowiły spójną całość. Ale nie mogła mu o tym powiedzieć, nie chciała wyjść na zakochaną idiotkę. Kuzynka powiedziała jej kiedyś, że każdy facet interesuje się kobietą, dopóki ta kompletnie go olewa, i chociaż żyła na tym świecie dopiero piętnaście lat, zaczęła podejrzewać, że Tośka mogła mieć rację. Jej mama zawsze okazywała tacie serce i zainteresowanie, a on ją ignorował... Nie chcę być taka jak ona, pomyślała. Nie chcę być cichą, potulną i pracowitą kurą domową, która prasując męzowskie ubrania, pyta, czy zrobić mu kanapki do pracy. I nie będę, obiecała sobie.

- Haniu?! Zejdź na dół! - usłyszała głos matki i niechętnie zeszła z parapetu.

- Co?! - krzyknęła, uchylając drzwi od swojego pokoju.

- Pomóż mi przy kolacji! Tato zaraz wróci!

- I co z tego? - burknęła pod nosem, a jednak posłusznie podreptała do kuchni.

Mama wyglądała na zmęczoną. Miała podkrążone oczy, trzęsły jej się ręce. Hanka zdała sobie sprawę, że matka ostatnio ciągle sprawia wrażenie kogoś, kogo przerastają nawet najprostsze codzienne czynności, i poczuła przyływ cieplejszych uczuć do tej drobnej, jasnookiej kobiety z wysoko upiętymi włosami o nieciekawej mysiej barwie.

- Co mam zrobić? - zapytała, starając się ignorować zbyt głośno ustawione radio, w którym od kilku dni nieustannie rozmawiano o morderstwie generała Papaty.

- Pokrój ogórka i posmaruj chleb masłem. Ja muszę jeszcze coś przeprasować. - Mama wręczyła jej niewielki nóż i wyszła z kuchni.

Obierała warzywa, kiedy zadzwonił zawieszony na ścianie stacjonarny telefon.

- Halo? - rzuciła do słuchawki.

- To ty, pączusiu? Słuchaj, przekaż mamie, że wrócę dziś późno - usłyszała głos ojca.

- Czemu? Robimy już kolację.

- Mam jeszcze parę spraw - odpowiedział i się rozłączył.

- Tato wróci później - powiedziała, zaglądając do niewielkiego pokoju na tyłach, w którym stała stara deska do prasowania.

- Jak zawsze. - Matka lekko się skrzywiła i na moment odstawiła żelazko.

- Mogę wyjść na rower? - zapytała cicho Hanka, zastanawiając się, czy to na pewno dobry moment.

- Teraz? Dochodzi dwudziesta.

- Jest lato, mamus!

- Idź. Ale niedługo wracaj - zgodziła się niechętnie, ale przynajmniej jej nie zatrzymała.

Wyjeżdżając z garażu rowerem, przypomniała sobie

o niedokończonych kanapkach, ale szybko przestała się tym zadręczać. Skoro ojciec i tak będzie później, to nie ma problemu, pomyślała.

Artur czekał na nią przy kamiennym murze za lunaparkiem. Jego rower leżał w wysokiej trawie, a on sam dojadał loda.

- Nie poczekałeś na mnie? - naburmuszyła się.

- Miałem kasę tylko na jednego. Ale częstuj się. - Wręczył jej swojego rożka.

- Mam dojadać resztki? - Skrzywiła się, jednak szybko naszła ją ochota i ugryzła kawałek wafelka.

- Waniliowy... - A kiedy zlizywała z palców resztki roztopionego rożka, zapytał: - Mogę cię pocałować?

- Tutaj? Mowy nie ma!

- To gdzie?

- Widziałeś dziś Śnieżkę i Wikinga? - zapytała, ignorując jego pytanie.

- Nie.

- Pojedziemy do lasu? Chciałabym...

- Co? Znowu będziesz się na nią gapić? - burknął Artur, czubkiem podniszczonej tenisówki wgniatając w ziemię kapsel po coli.

- Jesteś zazdrosny? - Hanka uśmiechnęła się krzywo i lekko kopnęła go w kostkę.

- Auć! - syknął. - A ty jesteś lesbijką?

- Jaja sobie robisz? Po prostu uwielbiam jej sukienki. I mogłabym godzinami patrzeć na jej włosy, falbany i bransolety. Jak będę miała pieniądze, kupię sobie takie same.

- Kręci cię cygański styl? - zaśmiał się Artur.

- Bo co? Masz z tym problem?

- Z tobą mam problem. Chcę cię pocałować. - Przyciągnął ją do

siebie i wycisnął na jej ustach soczysty pocałunek.

- Ej! Mówiłam nie! - Odepchnęła go, chociaż spodobał jej się wyraz jego oczu.

Taki jakiś wygłodniały.

- Chodź, przejedziemy się - powiedział.

Wytarła lepkie od słodyczy dłonie w swoje nieco przyciasne w pasie rybaczki i wskoczyła na rower.

Pod lasem Artur zahamował i odwrócił się w jej stronę.

- Ej, a słyszałaś, co zrobił ten down Romek Bartnicki? - zapytał.

- Ten ślusarz, kumpel twojego brata?

- No on.

- To co zrobił?

- Zarywał do jakiejś starszej rozwódki i pobił się z jej mężem, któremu wybił zęba.

- Serio? - roześmiała się Hanka, zatrzymując się pośrodku wąskiej leśnej drogi.

- No, serio.

- Niefajnie.

- Miłość. - Artur zsiadł z roweru i poczekał, aż Hanka oprze swojego składaka o drzewo. - Mogą się kręcić nad jeziorkiem.

- Kto? - zapytała, przyglądając się łańcuchowi, który ostatnio ciągle spadał.

- Twoja Cyganeczka i jej chłopak.

- Skąd wiesz?

- Przeczucie? - Artur złapał ją za rękę i weszli głębiej w las.

- Niedługo zajdzie słońce.

- I co? Boisz się wilkołaków?

- Wampirów. - Roześmiała się.

Nad niewielkie jeziorko dotarli kilka minut później i jak się okazało, Artur miał rację. Pomarańczowo-beżowy volkswagen bus

stał przy brzegu, a para barwnych lekkoduchów brodziła w płytkiej, rozgrzanej upałem wodzie.

- Schowaj się! - Artur pociągnął Hankę za jeden z olbrzymich głazów po drugiej stronie jeziora i też się za nim ukrył. - Z taką pewną nieśmiałością dodam, że chyba zaraz wyskoczą z ciuchów - oznajmił szeptem, a Hanka się zaczerwieniła.

Ale Artur miał rację. Roześmiana Śnieżka kilka razy ochlapała wodą swojego faceta i z piskiem radości dała się wziąć na ręce. A kiedy weszli głębiej, spowici w oblepiające ich ciała mokre ubrania, zaczęła go całować, przywierając do niego całą sobą.

- Ucz się - szepnął Hance na ucho Artur i cicho zarechotał.

- Sam się ucz - odburknęła.

Nie potrafiła jednak oderwać wzroku od całującej się w wodzie pary. O seksie nie wiedziała dotąd zbyt wiele. Mama zawsze wypraszała ją z pokoju, kiedy w telewizji działo się coś więcej niż niewinne pocałunki, a w obecności ojca chyba by umarła ze wstydu, gdyby miała obejrzeć jakąś pikantną scenę. Zresztą ojciec trzymał ją krótko.

- Żadnych chłopaków! Teraz liczy się tylko szkoła! - powtarzał jej na okrągło.

O Arturze nie wiedział, i chociaż nie zrobili dotąd nic zakazanego, i tak miała czasem wyrzuty. Okłamywała ich. Mamę, tatę, nawet przyjaciółki. Ale czy wchodzenie w dorosłość nie polega na posiadaniu własnych tajemnic? - przeszło jej przez myśl.

- Patrz! - Artur szarpnął ją za rękaw, więc zerknęła w stronę jeziora.

Śnieżka i Wiking wyszli właśnie na brzeg i ociekając wodą, ruszyli w stronę piaszczystego brzegu, na którym usiedli. Chwilę później on wykręcił jej włosy i zaczął ją całować, a ona opadła na

ziemię, pozwalając mu się pieścić. Kiedy wsunął dłoń pod jej mokrą falbaniastą spódnicę, Hanka na moment przymknęła oczy, jednak szybko je otworzyła. Okay, nie powinni ich podglądać, jednak pokusa była silniejsza. Artur tkwił tuż obok, oddychając coraz szybciej, czerwony na twarzy i zapatrzonego w rozgrywający się nieopodal spektakl.

- Myślisz, że oni zaraz...

- **Ćśśś!** - Hanka nie dokończyła, bo Artur złapał ją za rękę i mocno zacisnął palce na jej dłoni. - Po prostu patrz - szepnął.

Więc patrzyła. Na uniesioną spódnicę Śnieżki, jej rozrzucone na boki szczupłe nogi, którymi po chwili oplótła plecy swojego faceta, i miarowo się poruszające biodra Wikinga, który przed momentem położył się na swojej dziewczynie i zasypując ją pocałunkami, zatopił się w jej wnętrzu. Na jego coraz szybsze ruchy, jej rozrzucone na piasku mokre włosy, ich wspólny miłosny rytm i ciemniejące nad nimi niebo. Słońce już niemal zaszło i coraz mniej widziała, jednak rozbujająca wyobraźnia działała na pełnych obrotach.

- Artur? Czy oni właśnie TO robią? Przecież ktoś może ich zobaczyć - zapytała Hanka ledwie słyszalnym szeptem.

- Jasne, że to robią, ślepa jesteś? I ktoś nawet ich widzi - powiedział Artur, przysuwając się bliżej niej. - Ej, mógłbym dotknąć twoich...

- Nie! - Nawet nie dokończył, kiedy gwałtownie się odsunęła.

- Czemu? Nie zrobimy nic złego. Chcę tylko...

- Muszę już wracać! - Zerwała się na równe nogi i pognęła w las, w stronę zostawionego pod jednym z drzew roweru.

Artur dogonił ją, kiedy wyjeżdżała na polną drogę.

- Hej! Obraziłaś się?! - krzyknął.

- Nie - burknęła.

- To czemu zachowujesz się jak debilka?

- Bo pchasz łapy gdzie nie wolno! - syknęła, zatrzymując się.

- Nie pchałem. Pytałem, czy mogę.

- No więc nie możesz!

- A kiedy będę mógł? - zapytał, a Hanka zeskoczyła z roweru, uderzając się przy tym w kostkę, i spojrzała mu w oczy.

- Ja chyba nie jestem jeszcze gotowa. Lubię cię i uwielbiam się z tobą spotykać, ale na te rzeczy...

- Okay - powiedział.

A później pochylił się nad nią i pocałował ją w usta.

Pomyślała, że uwielbia jego piwne oczy i delikatne piegi na nosie, a on przyciągnął ją bliżej, niemal spadając z roweru, i głośno się roześmiał.

- Ale widziałaś to co ja. To lepsze niż telewizja, nie? - rzucił.

- Nie gniewasz się? - zapytała cicho. - Kuzynka mi powiedziała, że niektórzy chłopacy chcą od dziewczyn dowodu miłości, a ja...

- Nie chcę od ciebie żadnego dowodu miłości. Tylko czasem daj się pocałować.

- I nie jesteś zły?

- Nie. - Lekko pociągnął ją za splecione w luźny warkocz włosy i jeszcze raz pocałował w usta. - Jedźmy już, powinnaś wracać do domu.

Uśmiechnęła się, zaskoczona jego opiekuńczością. Przy nim czuła się bezpiecznie, a to było dla niej ważne.

- Jedźmy - powiedziała.

Kwadrans później, ukryci w gęstych zaroślach przy jej domu, pocałowali się na pożegnanie i umówili na kolejne spotkanie. Chowając rower w garażu, Hanka miała wrażenie, że mogłaby fruwać, taka była szczęśliwa.

- Gdzie byłaś?! - Szorstki głos ojca wyrwał ją z zadumy i lekko

przestraszył.

- U Jolki - skłamała.

- O tej porze? Jest prawie dwudziesta druga!

- Przepraszam, tato - szepnęła.

- Idź do siebie - burknął.

Wymknęła się więc z garażu i z ulgą zamknęła się w swoim pokoju. Tym razem jej się upiekło, dobre i to.

11

Wojciech Kiciński pchnął ramieniem drzwi od niewielkiej sali przesłuchań, w której od godziny siedzieli razem z mężem porwanej kobiety, i z dwoma kubkami świeżo zaparzonej kawy w rękach podszedł do niewielkiego stołu.

- Proszę. - Jedną z kaw postawił przed Dariuszem Lenartem i usiadł naprzeciwko niego. - Nie mamy już wątpliwości. Ktoś włamał się do wynajętego przez państwa domku i groźbą bądź dobrowolnie wyprowadził z niego pana żonę.

- Dobrowolnie?! - parsknął Lenart, posyłając Kiciusiowi złe spojrzenie.

- Chodzi mi o to, że... - Wojciech nie dokończył, bo do pokoju weszła sierżant Piasecka.

- Pies coś wyczuł. Karolina Lenart wyszła z domku i pieszo przeszła do zaparkowanego w pobliskim zagajniku samochodu, do którego musiała wsiąść, bo tam trop się urywa. Chłopakom udało się częściowo zabezpieczyć ślady bieżnika i wiemy już, że chodzi o terenówkę. Teraz usiłujemy ustalić markę wozu - powiedziała.

- Dobra robota. Siadaj.

- Zaraz, idę po kawę. - Hanka pożądliwie zerknęła na trzymany przez Wojciecha kubek, szeroko ziewnęła i wyszła na korytarz.

- Wygląda na to, że pana żona odjechała z kimś, kto przyjechał terenówką i ukrył ją w pobliskim zagajniku, zapewne nie chcąc, żeby auto rzucało się w oczy. Nasuwa się pytanie, czy pani Karolina mogłaby upozorować własne porwanie, żeby z kimś uciec, czy rzeczywiście ktoś z niewiadomych dla nas przyczyn

wywiózł ją i gdzieś przetrzymuje? – zapytał Kiciński, a Lenart jeszcze bardziej skulił się w ramionach, jakby cała jego sylwetka mówiła, że nie zniesie więcej ciosów.

A jednak musiał stawić czoła faktom. Jego ciężarną żonę porwano i musieli zrobić wszystko, żeby poznać motyw i znaleźć sprawcę.

– Myśli pan, że to on? Koleś, który wynajmował domek naprzeciwko? – zapytał Lenart, a Kicius przyznał, że to jedna z opcji.

– Gdyby chciał państwa obserwować, wybrał idealne miejsce z widokiem na okna, których nie mieliście w zwyczaju zasłaniać.

– Wyjechaliśmy na weekend do leśnej głuszy! Skąd mogliśmy wiedzieć, że...

– To nie był wyrzut – uspokoił go Kiciński.

– Jestem. – Hanka z kubkiem kawy i oblaną lukrem drożdżówką wślizgnęła się do pokoju przesłuchań i przysunęła sobie krzesło.

– Czy ma pan jakichś wrogów? Ktoś życzy panu na tyle źle, żeby w akcie zemsty porwać pana żonę? – zapytał Wojciech.

– Wrogów? Nie, chyba nie. Ale miałem zatargi z jednym z nauczycieli z naszej szkoły.

– O co poszło? – zainteresowała się Hanka, zanim wgrzyła się w bułkę.

– Andrzej Jaškowiak uczy fizyki i jest dość... Sam nie wiem, jak to określić. Popularny wśród młodzieży.

– Co pan przez to rozumie? To chyba dobrze?

– Nie wiem, czy to dobrze – rzucił Lenart kąśliwym tonem. – Pokłóciliśmy się na wycieczce. Byliśmy w Pradze, obaj pojechaliśmy jako opieką z naszą szkolną drużyną siatkarek, i Jaškowiak zachowywał się, delikatnie mówiąc, niepedagogicznie.

– Czyli?

- Czyli po tym, jak wypił kilka piw, poszedł do pokoju uczennic i otwarcie z nimi flirtował. Z siedemnastolatkami, mówiąc ściślej. Jedna z nich usiadła mu na kolanach, wtedy któraś z dziewczynek postanowiła zareagować i przyszła po mnie.

- A gdzie pan wtedy był?

- W pokoju, który dzieliłem z Jaśkowiakiem. Wyszedłem właśnie spod prysznic i ubierałem się, kiedy Asia zapukała do drzwi. Narzuciłem więc na siebie dres i wyszedłem na korytarz, a ona powiedziała, że pan Jaśkowiak jest chyba pijany i narzuca się dziewczynom.

- Narzuca się? Podobno przynajmniej jedna otwarcie z nim flirtowała.

- To smarkule, którym pochlebiało zainteresowanie trzydziestokilkuletniego przystojnego nauczyciela! Co nie znaczy, że mogłem tolerować takie zachowanie. Jesteśmy nauczycielami, do cholery!

- I co pan zrobił?

- Wszedłem tam i zastałem podpitego Jaśkowiaka, który z Natalią na kolanach opowiadał jakiś pieprzny żart. Kazałem mu się stamtąd zabierać, ale wyciągnął rękę i pokazał mi środkowy palec. Przy uczennicach, wyobrażają sobie państwo? Więc zepchnąłem dziewczynę z jego kolan i walnąłem go w nos. Pięścią. Oczywiście później była cała afera, a dyrektor, z którym Jaśkowiak pije w weekendy, wziął jego stronę. Dostałem nagane, naskoczyli na mnie rodzice, ogólnie zrobiły się kwasy.

- Naskoczyli na pana rodzice? - zdziwiła się Hanka. - Powinni być przecież zadowoleni, że pan zareagował.

- Dostało mi się za bójkę na oczach dziewczyn. - Wzruszył ramionami.

- A to była bójka czy pojedynczy cios, który wyszedł od pana?

- Nie wiem, czy mogę to nazwać bójką, ale Andrzej pchnął mnie na ścianę i kopnął, zanim skrajnie wzburzony wybiegł z pokoju dziewczyn, obrzucając mnie inwektywami.

- Rozumiem. Czyli Jaśkowiak może mieć do pana żal? Upokorzył go pan na oczach nastoletnich uczennic.

- Upokorzyłem go?! Gdyby nie chlał na szkolnej wycieczce i nie polazł wieczorem do ich pokoju, nic by się nie stało!

- Czym on jeździ? - zapytała Hanka, nie komentując jego wypowiedzi.

- Fizyk? Fordem taurusem.

- Czyli nie terenówką - mruknął Kiciuś, zanim dopił kawę.

- A co z innymi? Dawni wrogowie? Długi? Ktoś z pana otoczenia, kto dziwnie się ostatnio zachowywał? - zapytała Hanna, ale Dariusz Lenart bezradnie pokręcił głową.

- Jedno, co mogę sobie przypomnieć, to ten incydent z Jaśkowiakiem. Poza tym raczej nikt źle nam nie życzył, z nikim nie zadzieraliśmy. Żyjemy skromnie, na uboczu. Ja sporo pracuję, Karolina spędza mnóstwo czasu z Gabrysią, a...

- Właśnie, Oziębłowicz prosił, żebym ci przekazała. Z dziewczynką rozmawiało dwóch psychologów, ale niczego z niej nie wyciągnęli. Najprawdopodobniej smacznie spała, kiedy ktoś uprowadził jej matkę - powiedziała Hanka.

- To chyba dobrze? Przynajmniej nie będzie miała żadnej traumy - rzucił Kiciuś.

- Tyle że niczego się nie dowiemy...

- A co spodziewałaś się wyciągnąć od sześciolatki?

- Zdziwiłbyś się, jak wiele potrafi powiedzieć dobrze nakierowane przez psychologa dziecko, nawet znacznie młodsze. Ale wracajmy do sprawy. Czyli nie potrafi pan wymienić nawet jednej osoby, która mogłaby źle państwu życzyć?

- Mówiłem już, że nie. - Lenart zacisnął dłonie na kubku z kawą, której nawet nie tknął, i spojrzał Kicińskiemu w oczy. - Proszę, szukajcie mojej żony - dodał łamiącym się głosem.

- Szukamy - zapewnił go Wojciech.

- A pani Karolina? Miała jakichś wrogów? Może kogoś z poprzedniej pracy albo...

- Moja żona uczyła dzieci muzyki! - wszedł Hance w słowo Lenart.

- To niczego nie wyklucza.

- Tak? A kogo mogła wkurzyć? Dzieciaka, który fałszował?!

- Panie Dariuszu, rozumiem pana wzburzenie, ale...

- Rozumie pani?! Naprawdę pani rozumie?! Ktoś wszedł do tej cholernej budy, którą wynająłem, bo była tania, więc było nas na nią stać, i pod moim nosem zabrał mi żonę! A ja, jak ostatni frajer, po prostu sobie spałem!

- Była noc, to zrozumiałe, że...

- Szukajcie Karoliny, ja bez niej nie umiem żyć. - Nagle kompletnie się rozsypał, a jego szczupłymi ramionami wstrząsał szloch.

- Dobrze, zróbmy może przerwę - zaproponowała Hanna.

- Przerwę od czego?! - warknął Lenart, wierzchem dłoni ocierając płynące po policzkach łzy. - Jak mam sobie zrobić przerwę, skoro ktoś porwał mi żonę?!

- Miałam na myśli... - zaczęła Piasecka, ale Kiciuś zacisnął dłoń na jej nadgarstku i spojrzał na Lenarta.

- Czy pana żona mogła mieć romans? Rozumiem, że to krępujący i drażliwy temat, ale musi pan być z nami szczery. Czy jest opcja, że pani Karolina upozorowała własne porwanie, żeby uciec z kochankiem?

- Nie! Nie, do kurwy nędzy! Moja żona nie była jakąś dziwką,

która przyprawia mi rogi, kiedy tylko się odwrócę! Kochamy się, nie rozumieją państwo tego?!

- Rozumiemy - zapewniła go Hanka, bezwiednie przekręcając na palcu złotą ślubną obrączkę.

- Karolina nie miała romansu - powiedział cicho. - Nigdy w to nie uwierzę! A gdyby miała, powiedziałyby mi otwarcie, że odchodzi. Pozorowanie własnego porwania, żeby nawiać z gachem?! Jaja sobie robicie?!

- Chcemy po prostu wykluczyć...

- To nie wykluczajcie, tylko zabierzcie się za jej szukanie! Siedzimy za tym pieprzonym stołem i marnujemy czas, a ona gdzieś tam jest zdana na łaskę jakiegoś bandziora! - Dariusz Lenart zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Pan się uspokoi - mruknął Wojciech, a wzburzony nauczyciel posłał mu krzywe spojrzenie, ale z powrotem usiadł.

- Może nie chodzi o Karolinę? Może jemu chodziło o nasze dziecko? Może to jakiś handlarz noworodkami albo ktoś działający na zlecenie bogatej pary? Może to...

- Panie Dariuszu, również takie scenariusze bierzemy pod uwagę - zapewniła go Piasecka.

Chciała jeszcze coś dodać, kiedy w drzwiach pojawił się podkomisarz Oziębłowicz.

- Sierzancie, proszę na słówko. Zresztą chodźcie oboje. - Zerknął na Hankę i zamknął za sobą drzwi. - To raczej nie on - powiedział, kiedy już całą trójką przeszli w głąb korytarza. - Podejrzewaliśmy, że nieumyślnie mógł jej zrobić krzywdę, a później w panice zadzwonić do kogoś znajomego i poprosić o zabranie ciała, ale z jego telefonu nie wychodziły tamtej nocy żadne połączenia. Z komórki żony, którą znaleźliśmy przy jej łóżku, też nikt nie dzwonił, poza tym pies nie wyczuł obecności

zwłok, więc zakładamy, że Karolinę Lenart wywieziono z wczasowego ośrodka żywą. Zresztą technicy nie znaleźli śladów krwi ani nawet niczego, co wskazywałoby na jakąś szamotaninę.

- Kurwa, co tu jest grane? - Kiciuś podrapał się po ogolonej na łyso głowie i łypnął w stronę przymkniętych drzwi, za którymi samotnie siedział Dariusz Lenart. - Czyli jednak nie on?

- Nie on, jasne, że nie. Facet ją kocha, to widać - wtrąciła Piasecka.

- Co nie znaczy, że nie mógł nieumyślnie jej zabić!

- Mógł, jasne. Mógł też komuś zapłacić, żeby ją porwał, ale póki co nic na to nie wskazuje i tego się trzymajmy - powiedziała.

- Okay. Optymistyczna wersja podoba mi się znacznie bardziej - zgodził się z nią Wojciech.

Godzinę później, kiedy już skończyli rozmawiać z Lenartem i zjedli szybki obiad, na komendzie pojawiła się Gośka.

- Hej, szeryfie. Przejeżdżałam tędy i pomyślałam, że wstąpię - powiedziała, ładując się do pokoju, który Kiciński dzielił obecnie z Jeremim. - No nie! Znowu ogoliłeś się na łyso?! Wiesz, że nie znoszę, kiedy tak wyglądasz! Jak jakiś...

- Gośka, nie teraz! - warknął Wojciech, nie odrywając wzroku od trzymanyh w rękę raportów.

- No wybacz, że ośmieliłam się tu zajrzeć. - Małgorzata obróciła się na pięcie i wyszła z pomieszczenia, z furią zatrzaskując za sobą drzwi.

I znowu będę musiał kupić jakiś wiecheć na przeprosiny, bo przecież zawsze wszystko jest moją winą, nawet jej foch, pomyślał Kiciuś, drapiąc się po głowie.

12

Hanka zjechała na parking przed niewielkimi delikatesami przy porcie i przez dłuższą chwilę siedziała w samochodzie. Na zewnątrz mżyło. Po kilku słonecznych i zaskakująco ciepłych dniach nad miasteczkiem zawisła gęsta i cuchnąca dymem mgła, a siąpiący kapuśniaczek co chwila przechodził w zaciekłą ulewę. Ale nie siedziała w samochodzie dlatego, że zapomniała parasolki. Po prostu chciała złapać oddech, zanim zapełni sklepowy koszyk i w pośpiechu wróci do siebie, zahaczając po drodze o dom macochy. Ostatnio sporo się działo, a ona czuła się zmęczona. Każdy czegoś ode mnie chce i powoli zaczynam zapominać, co to jest odpoczynek, pomyślała, wyjmując ze schowka krówki. Kupiła je dla Teresy, która za nimi przepadała, ale nagle uznała, że otworzy paczkę i przywłaszczycy sobie cukierki. Żuła trzeciego, kiedy ktoś zapukał w szybę od strony pasażera, a ona aż podskoczyła.

Przy aucie stała Gośka, piękniejsza połówka Wojtka Kicińskiego, i radośnie do niej machała.

- Sorry, przestraszyłam cię? - zapytała, kiedy Hanka opuściła szybę.

- Trochę. No wiesz, zamyśliłam się... Chcesz wsiąść?

- Nie, muszę lecieć na zakupy. Chciałam się tylko przywitać. - Małgorzata posłała jej w locie całusa i ruszyła w stronę sklepu.

Uroki mieszkania na zadupiu. Każdy cię zaczepi, każdy zawsze rozpozna, zatrzyma, zawróci głowę, skrzywiła się Hanka, bo chociaż lubiła Gośkę, w tej akurat chwili nie miała ochoty na nic

niewnoszące pogawędki o dupie Maryni.

Kwadrans później, kiedy już zemdliło ją po krówkach, a na zewnątrz znowu solidnie się rozpadało, wysiadła z wozu i truchtem ruszyła w stronę wejścia do delikatesów. Wybierając makaron, pomyślała o córce. Zuza już od paru godzin powinna być w domu, co Hankę bardzo martwiło, tym bardziej że nie był to pierwszy raz. Miała wrażenie, że trzynastoletnia córka nagle przestała się jej zwierzać, a co gorsza, coś przed nią ukrywała. A przecież godziny między jej powrotem ze szkoły a pojawieniem się w domu rodziców dają młodej sporo możliwości, pomyślała. I nagle poczuła przemożną chęć sprawdzenia Zuzy, przekonania się, co też smarkula wyczynia, kiedy nie ma ich w domu. Włożyła do kosza makaron, sięgnęła po telefon i wysłała córce wiadomość:

Coś mi wypadło i będę w domu dopiero za trzy godziny.

Spoko – odpisała młoda.

Zobaczymy, czy tak spoko, pomyślała, wkładając do koszyka makaron.

Do Teresy zajrzała tym razem tylko na chwilę i chociaż macocha usilnie chciała zatrzymać ją na dłużej, nie zgodziła się zostać.

– Muszę wracać, Zuzka na mnie czeka – powiedziała, podając Teresie talerz z naprędce przygotowanymi kanapkami.

– Zuzka czeka? Pewnie dziękuje Bogu, że cię nie ma. Młodzi lubią się czuć wolni, mam ci to wytłumaczyć? – Macocha stęknęła, poprawiając poduszkę, i sięgnęła po kanapki. – Znowu pasta serowa? – Skrzywiła się.

– Była otwarta. Trzeba ją zjeść, zanim straci ważność. – Hanka wzruszyła ramionami.

– Wyglądasz na poirytowaną – zauważyła Teresa. – Stało się coś?

- Jestem zmęczona.

- Praca?

- Wszystko. - Hanka usiadła w fotelu, oparła głowę o pikowany zagłówek i na moment przymknęła oczy. - Ostatnio mało śpię, jem za dużo świństw i w dodatku przestałam biegać - przyznała.

- To zadbaj w końcu o siebie. Kto to zrobi, jeśli nie ty? - powiedziała Teresa z pełnymi ustami.

- Żeby to było takie proste...

- Jest. Tylko trzeba się przełamać. Najgorzej jest zacząć.

- A najłatwiej dawać komuś rady - prychnęła Hanka, wstając z przepastnego fotela, w którym dosłownie się zapadła. - Pojadę już. Skoro dziś wieczorem przychodzi opiekunka, poradzicie sobie.

- Jedź, jedź. Kto by chciał ze starą kobietą siedzieć? - rzuciła Teresa z przekąsem.

- Chryste! Znowu zaczynasz?!

- Co zaczynam?

- Wzbudzać we mnie poczucie winy! Robię, co mogę, naprawdę! I wybaczone, jeśli nie wpadam tu codziennie na kawę i ciasteczka! - wybuchła Piasecka. - Ja ledwo ogarniam własne życie, Teresa - dodała chwilę później, łapiąc macochę za rękę. - To nie tak, że od ciebie uciekam. Po prostu muszę znaleźć trochę czasu dla siebie, dla córki i dla Marka, którego ostatnio widuję tylko i wyłącznie w przelocie.

- To przez tę jego pracę. Mówiłam ci, że tak będzie. Handlowcy zawsze w rozjazdach, a Bóg jeden wie, co on wyprawia podczas tych wszystkich szkoleń, delegacji i...

- Nie będę tego słuchać! - Hanka sięgnęła po torebkę, pocałowała macochę w policzek i ruszyła w stronę wyjścia.

- Zadbaj o siebie! - krzyknęła w ślad za nią Teresa.

- Postaram się! - obiecała Hanna, zakładając buty.

Z samochodu zadzwoniła do opiekunki, żeby się upewnić, że na pewno się zjawi i pomoże Teresie się położyć, a później zawróciła w stronę niewielkiego osiedla pod lasem, na którym stało pięć otynkowanych na pastelowy róż dwupiętrowych bloków, w tym ten, w którym od ponad siedemnastu lat mieszkali. Parkując, spojrzała w górę na rozświetlone kuchenne okno. Marek znowu wyjechał i miał wrócić koło dwudziestej, a młoda chyba coś gotowała. Siedząc w aucie, wyraźnie widziała kręcącą się po kuchni córkę. Mieszała coś w garnku ustawionym na kuchence i Hanka zaczęła się uspokajać. Ba, zrobiło jej się nawet głupio, że nie potrafiła zaufać córce. Wtedy jednak w kuchni pojawił się wysoki szczupły chłopak, który objął Zuzę i pocałował ją w szyję, a Piasecka zamarła, zszokowana widokiem trzynastoletniej córki w męskich objęciach. Chwilę później parka zaczęła sobie poczynać znacznie odważniej i Zuza dosłownie zawisła w ramionach chłopaka, zachłannie wpijając się w jego usta.

- Kurwa, nie wierzę! - Piasecka szarpnęła klamrę pasa i czując, jak narasta w niej wściekłość, wyskoczyła z samochodu.

Na drugie piętro wbiegła, przeskakując po dwa stopnie, ale przed drzwiami przystanęła i walcząc z lekką zadyszką, oparła się o ścianę. Z mieszkania dochodził głośny śmiech jej córki i przenikliwe piski, jakie Zuza wydawała, gdy była rozbawiona, po chwili coś łupnęło, jakby młodej wypadła z ręki łyżka bądź nóż. Hanna oparła się o ścianę i wzięła kilka głębszych oddechów. Na klatce zgasło światło, a ona wciąż stała przy drzwiach, nasłuchując. W końcu wyjęła z kieszeni klucze i starając się to robić jak najciszej, po omacku włożyła je do zamka. Zuza radośnie pisnęła i wybuchła śmiechem, a ona wykorzystała ten moment, żeby przekręcić klucz i cicho wejść do środka.

- No przestań, mówiłam ci, że nie ma opcji! - usłyszała dochodzący z kuchni głos córki. - Mamo?! Miałaś być za trzy godziny. - Na widok stojącej w progu Hanka dziewczyna odepchnęła towarzyszącego jej chłopaka i mocno się zaczerwieniła.

- Niespodzianka - syknęła Piasecka.

- Dobry wieczór - ukłonił się jej Igor Nieborowski, piętnastoletni syn małżeństwa nauczycieli z pierwszego piętra.

- Już nie taki dobry. - Hanna uśmiechnęła się krzywo. - Można wiedzieć, co się tu wyprawia?!

- No lecz robimy, przecież widzisz. - Zuza usiłowała jakoś załagodzić sytuację, ale Piasecka wciąż była wściekła.

- Ciężko nie zauważyć. Cała podłoga w papryce - rzuciła przez zęby.

- Posprzątam.

- Całowałeś moją trzynastoletnią córkę?! - wycodziła, wchodząc Zuzie w słowo, a Igor zagryzł wargi, nie bardzo wiedząc, czy się przyznać, czy może iść w zaparte.

- Nie, ja...

- Widziałam was przez okno! - krzyknęła Hanka. - Więc mi tu, kurwa, nie łzyj!

- Mamo! - Zuza złapała Igora za rękę i posłała Hance pełne wyrzutu spojrzenie. - Przecież my nic złego nie...

- Nie odzywaj się, okay?! I idź do siebie!

- Mamo, ale czemu się wściekasz? My przecież...

- Mówię, do siebie! - wrzasnęła Hanka, tracąc panowanie nad sobą.

- To może ja już pójdę. - Igor usiłował wymknąć się z kuchni, ale Piasecka zagroziła mu drogę.

- Żeby było jasne. Nie chcę cię widzieć przy mojej córce,

słyszysz?! A do tego mieszkania nie masz wstępu! Zwłaszcza pod nieobecność moją i mojego męża!

- Mamo, przestań! Przecież to nie fair! - wrzasnęła histerycznie stojąca w progu Zuza. - A ja niedługo skończę czternaście lat!

- Za kilka miesięcy! - wycedziła Hanka. - I nie sądzę, żeby to coś zmieniało.

- Nienawidzę cię! - Młoda złapała kurtkę i w samych kapciach wybiegła z domu.

- Wracaj tutaj! - krzyknęła za nią matka, ale dziewczyna była już na klatce. - Kurwa mać! - zaklęła Piasecka, ruszając za nią.

Dopiero w drzwiach przypomniała sobie o sterczącym w kuchni Igorze.

- Idź do siebie, muszę zamknąć mieszkanie! - warknęła na niego. - I dobrze sobie zapamiętaj moje słowa. Będzie źle, jeśli jeszcze kiedyś cię tu zastanę, słyszysz?!

- Tak, proszę pani - wymamrotał chłopak, spuszczać głowę, i Hanka przez moment poczuła wyrzuty, że potraktowała go tak ostro, wręcz chamsko.

Z drugiej jednak strony kiedy chodziło o Zuzę, była jak rozsierzona lwica. A przecież tylko dobro jej córki się liczyło, nic innego.

Młodą dopadła w lasku. Dzwoniąc zębami z zimna, w założonych na boscie stopy domowych kapciach i narzuconej na ramiona kurtce, dziewczyna siedziała na jednym ze zwalonych pni i gapiła się w komórkę.

- Chodź do domu - powiedziała Hanka najłagodniejszym tonem, na jaki w tej sytuacji było ją stać.

- Odczep się ode mnie! - krzyknęła Zuza.

- Wiesz dobrze, że się nie odczepię. Chodź, zanim złapiesz katar albo coś gorszego. Zimno dzisiaj.

- I co? Boisz się, że będziesz się musiała mną opiekować, zamiast iść do tej twojej ukochanej pracy?!

- Boję się, że będziesz chora. To wszystko.

- Przez ciebie Igor pewnie nigdy się do mnie nie odezwie, a ja go kocham! - Zuza cisnęła telefon w mokrą od deszczu trawę i zaczęła płakać.

Hanka schyliła się, żeby go podnieść, i z komórką córki w ręku usiadła na wilgotnym pniu.

- Córeczko, chodźmy do domu. Porozmawiamy, uspokoisz się, może nawet...

- Powiedziałam ci, daj mi spokój! - Młoda zerwała się z pnia i pognała w głąb lasu.

- Kurwa mać! - zakląła Piasecka i przyświecając sobie latarką z telefonu, ruszyła za córką. - Zuza, jeśli natychmiast nie wrócisz ze mną do domu, zamienię twoje życie w piekło! - zagroziła. - Przysięgam, że to będzie Armagedon, słyszysz?! - wrzasnęła.

Smarkula nie odpowiedziała, tylko brnęła dalej w las, potykając się i głośno szlochając. Łapię bandziorów, a jestem całkiem bezradna w starciu z trzynastolatką, zdała sobie sprawę Hanna. Gówniarę dopadła przy stercie gruzu na skraju lasu i złapała ją za ramię.

- Chodź, wracamy do domu - powiedziała i Zuza w końcu dała się poprowadzić w stronę skąpo oświetlonego parkingu i wejścia do ich klatki.

Na schodach wpadły na sąsiadkę z parteru, która na ich widok uniosła brwi ze zdumienia i Hanna zdała sobie sprawę, jak musi wyglądać, gdy wlecze za sobą zapłakaną i rozhisteryzowaną nastolatkę. Ale nie zamierzała się przejmować tym, co sobie pomyślą sąsiedzi, i bez słowa wyminęła Wandę Szczepaniak.

- Usiądź w kuchni, zaraz tam przyjdę - poprosiła córkę, kiedy

weszły do mieszkania, ale młoda wyrwała się jej i wparowała do siebie.

Hanka poszła do łazienki, żeby umyć ręce i zmyć makijaż, a kiedy stamtąd wyszła przebrana w wygodny domowy dres, zza drzwi córki doszedł głośny, rozpaczliwy szloch.

- Zuza, pogadajmy - poprosiła, naciskając klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. - Nie mów, że znowu zabarykadowałaś się tapczanem! - krzyknęła.

Córka nie odpowiedziała. Hanka przez chwilę miała ochotę walić w drzwi pięściami, ale dała sobie spokój i zupełnie wyzuta z sił opadła na podłogę, po czym oparta plecami o ścianę usiłowała rozpocząć negocjacje.

- Posłuchaj, wydaje ci się, że go kochasz, ale w twoim wieku to wszystko jest jeszcze...

Nie dokończyła, bo młoda postanowiła ją zagłuszyć i w pokoju zadudnił rap.

- Jasne, na co komu matczyne mądrości? - mruknęła Piasecka.

Przez jakiś kwadrans siedziała na podłodze, w końcu wstała, sprzątnęła bajzel, jakiego córka narobiła w kuchni, i prosto z gara spróbowała stojące na kuchence leczo.

- Zuza, to jest niezłe! Skąd wzięłaś przepis? Chodź, zjemy! - Ponownie zastukała do pokoju młodej, usiłując wciągnąć córkę w rozmowę, ale nie była nawet pewna, czy córka cokolwiek usłyszała przez sączącą się zza drzwi muzykę.

Nagle się przestraszyła. W pracy uwrażliwiali ich ostatnio na problem samobójstw wśród młodzieży i przeszło jej przez myśl, że może Zuzanna właśnie robi sobie krzywdę.

- Zuza, otwieraj! Przysięgam, że jeśli w tym momencie nie otworzysz, twój ojciec wyjmie z zawiasów te pierdolone drzwi i będziesz mieszkać jak na dworcu! - wrzasnęła, dobijając się do

córki. – Otwieraj, słyszysz?! – Waliła pięściami o drewno, boleśnie raniąc sobie kłykcie, i w końcu córka ściszyła muzykę, odsunęła blokujący wyjście tapczan i otworzyła drzwi.

– Okay, otworzyłam. Ciesz się! Możesz nawet wejść i zacząć węszyć w środku, jak lubisz! Ale pamiętaj, że cię, kurwa, nienawidzę! Masz, zajrzyj sobie do środka! – Zuza rzuciła w matkę szkolnym plecakiem i umyślnie trącając ją ramieniem, pobiegła do łazienki.

– Nie zamykaj się tam, słyszysz?! – uprzedziła jej ruch, więc córka usiadła na wannie, zostawiając otwarte na oścież łazienkowe drzwi.

Hanka podeszła do niej i wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać ją po głowie, ale dziewczyna odskoczyła, nie życząc sobie ani obecności, ani bliskości matki.

– On ma piętnaście lat, Zuza.

– A ja prawie czternaście!

– Nie. Ty wciąż masz trzynaście i z całą pewnością jesteś za młoda na tego typu pocałunki.

– Jakiego typu pocałunki?! Po prostu się całowaliśmy! Ty się nie całowałaś z chłopakami?!

– Całowałam się. Ale byłam starsza, a ty...

– A ja co?!

– Masz trzynaście lat, Zuza.

– Powtarzasz się. To twój jedyny argument? Czuję się dojrzała od rówieśników, ale co ty tam wiesz? – burknęła Zuzanna, odpychając rękę matki, która chciała odgarnąć z jej twarzy włosy.

– Mówię tylko, że na te sprawy masz jeszcze czas.

– Nie śpię z nim, to co się pienisz?

– Tego by tylko brakowało! – zachnęła się Hanka.

– No, brakuje. I kiedyś to zrobię, czy ci się to podoba, czy nie! –

zagroziła jej córka.

- Kiedyś na pewno, ale może jeszcze nie...

- Odczep się, mamó. Błagam cię, odpierdol się ode mnie! - krzyknęła Zuza.

I wtedy Hankę poniosło. Zerwała się z wanny i tak mocno walnęła młodą w twarz, że aż odskoczyła jej głowa.

- Nie mów do mnie w taki sposób! - wycedziła, zanim roztrzęsiona wyszła z łazienki.

Odpowiedział jej szloch Zuzy i brzęk tłuczonego szkła. Sądząc po rozchodzącym się aż na korytarz intensywnym kwiatowym zapachu, młoda w złości zrzuciła na podłogę jej ulubione perfumy.

- I Chanel poszło się jebać - syknęła Hanka, zamykając się w sypialni.

Marek wrócił pół godziny później. Wyglądał na wykończonego.

- Leczo? Super - ożywił się na widok stojącego na kuchence garnka.

- Zuza zrobiła. A przy okazji nakryłam ją, jak się całowała z synem Nieborowskich.

- Z Igorem? A on nie jest od niej starszy? - zdziwił się Marek, wyjmując z kredensu talerz.

- I to jest twój komentarz?! - podniosła głos.

- A czego oczekiwałaś? - Marek zanurzył chochlę w apetycznie pachnącym leczo i nałożył sobie solidną porcję. - Jadłaś już?

- Nie. Goniłam naszą rozhisteryzowaną córkę po lasku za blokiem!

- Aż tak? Może powinnaś jej nieco odpuścić? Całowali się, wielka mi rzecz. - Marek zasiadł za stołem i zabrał się za jedzenie.

- Czy tobie odjebało?! A może już kompletnie nie zależy ci na

rodzinie, co?! Mój ojciec też coraz później wracał, zanim...

- Nie jestem twoim ojcem, Hanka! Nie dymam na boku, nie szlajam się gdzieś i cholernie ciężko haruję, żebyśmy mieli co do garnka włożyć!

- Bo ja nie pracuję, tak?!

- I zarabiasz tyle, co kot napłakał!

- Ale przynajmniej nie siedzę w domu!

- Może powinnaś? Przypilnowałabyś Zuzy, zadbałabyś o rodzinę, ugotowałabyś coś czasem. Może wszyscy mamy dość delikatesowego żarcia i lepiącej się od brudu kuchennej podłogi?

- Marek krzywo się uśmiechnął.

- Ależ z ciebie gnojek - wycedziła Hanka, zanim wybiegła z kuchni.

W sypialni rzuciła się na łóżko, wtuliła twarz w pachnącą wodą kolońską męża poduszkę i wybuchła płaczem. Nie miała pojęcia, co się działo z jej rodziną, ale wyglądało na to, że Marek stał się nagle obcym i nieczułym facetem, a córka zwyczajnie jej nie znosiła... A przecież chciała dobrze. Zawsze i dla wszystkich chciałam dobrze, pomyślała, nie potrafiąc zapanować nad łzami.

13

Mżyło, kiedy Jeremi zaparkował nissana przed niewielką prywatną kliniką i ruszył w stronę wejścia. Rano obdzwonił wszystkie szpitale, żeby się dowiedzieć, gdzie leży pobita Matylda Kroll, bo Renata twierdziła, że nie ma pojęcia, w co nie bardzo chciało mu się wierzyć. Ale mniejsza z nią, pomyślał, wchodząc przez obrotowe przeszkolone drzwi. W recepcji siedziała cycata blondyna o aparycji króliczka Playboya i Jaromirski nieco się speszył. Aż tak atrakcyjne kobiety zawsze go onieśmiały. Dziewczyna okazała się jednak miła, nie miała w sobie nic z nadętej, wyniosłej piękności. Posłała mu szeroki uśmiech i zapytała, w czym może pomóc.

- Chciałbym odwiedzić Matyldę Kroll - powiedział, a uśmiech recepcjonistki momentalnie zgasł.

- Obawiam się, że do tej akurat pacjentki nie może pan...

Nie dokończyła, bo pomachał jej przed nosem policyjną blachą. Co prawda tylko nieoficjalnie kręcił się wokół sprawy Matyldy, ale przecież ona nie mogła tego wiedzieć.

- A, w tej sytuacji zapraszam. Piętro trzecie, pokój trzydzieści osiem.

- Dziękuję - rzucił Jaromirski, ruszając w stronę schodów.

- Mamy windę - odezwała się recepcjonistka, ale był już prawie na półpiętrze.

Gdy dotarł na trzecie piętro, ruszył przez wyłożony szarą wykładziną wąski korytarz z beżowymi tapetami na ścianach. Jego wygląd przypominał mu nieco wystrój nawiedzonego hotelu

z Kingowskiego „Lśnienia” i uśmiechnął się pod nosem, szukając sali chorych numer trzydzieści osiem. Była na samym skraju piętra, tuż przy wychodzącym na las oknie. Zanim wszedł, rozpiął kurtkę i przeczesał palcami potargane przez nadmorski wiatr włosy; przed przyjazdem do kliniki spędził prawie godzinę, spacerując wzdłuż plaży.

Matylda leżała na szpitalnym łóżku, stolik obok niego zdobił wazon z bukietem kolorowych różyczek. Na kołdrze leżały książka i niewielki pluszowy niedźwiadek.

- Kim pan jest? - zapytała, rzucając mu przestraszone spojrzenie.

- Spokojnie, policja. Mam kilka pytań - powiedział, jednak nie przedstawił się ani ze stopnia, ani z nazwiska.

- Policja? Przecież powiedziałam już wszystko... - Matylda lekko uniosła się w pościeli i odłożyła trzymaną w ręce powieść.

- Bernard Minier? Mocna rzecz, rewelacyjna - przyjaznym tonem skomentował Jaromirski.

- Zna pan?

- Jasne. To jeden z moich ulubionych autorów.

- Mnie też się podoba, kryminał powinien być mroczny. - Dziewczyna posłała mu uśmiech i zapytała, czego chciałby się dowiedzieć.

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok jej łóżka.

- Na początek powiedz, czy według ciebie pobił cię Mateusz, czy jest szansa, że zrobił to ktoś inny?

- Oczywiście, że to nie on! Mówiłam im, ale mi nie wierzyli! Zobaczyli na nagraniu tatuaż i od razu wyciągnęli wnioski! Ale przecież taki sam ma jego kumpel Robert!

- Robert Rokosz ma alibi, był wtedy w innym mieście.

- I pan mu wierzy? - zapytała Matylda, krzywiąc się z bólu.

- Boli?

- Tak. Najbardziej dokuczają mi połamane zebra. Niby coś mi tu podają na ból, ale i tak...

- Przykro mi - powiedział Jeremi i był w tym szczery.

- Powinno panu być przykro. Wyglądam dziś jak zombi, a zazwyczaj bywam niezłą laską. - Mrugnęła do niego i znowu skrzywiła się z bólu.

- Widzę, że zasinienia na twarzy już schodzą.

- Opuchlizna też zeszła. Jutro mają mnie wypisać. I tak długo tu tkwiłam.

- Masz kogoś, kto się tobą zajmie?

- Jasne. Problem w tym, że boję się wrócić do domu - przyznała Matylda, a w jej dużych ciemnych oczach zaśniły łzy.

Jeremi pomyślał, że to przykre, bo chociaż starsza przyrodnia siostra raczej nie pałała do niej miłością, dziewczyna bardzo Renatę przypominała. Te same ciemne włosy, ten sam owal twarzy, ładnie wykrojone usta i wysokie kości policzkowe. Oczy też miały podobne. Matylda może nieco jaśniejsze, ale też piękne. Jak to zazwyczaj bywa z córkami, obie ewidentnie wdały się w ojca.

- Zatrzymaj się u znajomych - zasugerował Jaromirski. - Masz kogoś, kto cię przygarnie?

- Tak, koleżanka. Jutro po mnie przyjedzie. Czemu pan tu przyszedł? Nie wierzy pan swoim kolegom gliniarzom? Mówiłam im, że to nie mógł być Mateusz, ale nikt mnie nie słucha! On by mi tego nie zrobił, słyszy pan?! Polubiliśmy się, nawet bardzo...

- Z Mateuszem?

- Tak. Dość często się spotykamy, lubimy ze sobą rozmawiać. Zawsze chciałam mieć starszego brata i okazało się, że mam. Ufałam mu, dobrze się razem bawimy. Ktoś go wrabia!

Przysięgam!

- Masz pomysł kto?
- Nie wiem, pewnie jego wspólnik.
- Czemu?
- Bo jest o Matiego zazdrosny.
- Opowiedz mi o nim.
- O Robercie? Znam go dość przelotnie.
- A Mateusza?

- Blżej. Mówiłam panu, widywaliśmy się. Renata, jego, nasza siostra, mnie nienawidzi. Od początku się do mnie uprzedziła. Jest wściekła, że ojciec kupił mi dom, i gdyby mogła, wydrapałaby mi oczy. Ale Mati mnie polubił, dogadaliśmy się - zakończyła z uśmiechem.

- Dobra, czyli uważasz, że to Robert Rokosz znalazł sposób, żeby tamtej nocy niepostrzeżenie wrócić do Sopotu, włamać się do ciebie i ciężko cię pobić? Chcąc wrobić w to Mateusza, tak?

- Tak uważam. Ale nikt mnie nie słucha. Mateusz jest w areszcie, a ja boję się wrócić do domu i zostać w nim sama. Jeszcze niedawno miałam psa. Od dziecka marzyłam o nowofundlandzie i dostałam go od taty na urodziny. Wabił się Bosman, uwielbiałam go. Wyobraź sobie prawie siedemdziesiąt kilogramów czystej miłości. Był brązowy, taki mój niedźwiadek. Trzy miesiące temu wymknął się na ulicę i ktoś go potrącił - powiedziała Matylda. - Przepraszam, ciężko mi o tym mówić - dodała, ocierając płynącą po policzku pojedynczą łzę.

- Przykro mi. Pies to cudowny przyjaciel.

- Najlepszy - potwierdziła Matylda i krzywiąc się z bólu, sięgnęła po komórkę. - Pokażę panu zdjęcie.

Po chwili Jeremi obejrzał ponad dwadzieścia fotek olbrzymiego, bawiącego się na plaży psa.

- Fajny. Szkoda go - powiedział. - Jak doszło do potrącenia?

- Właśnie, jak doszło... Wtedy myślałam, że to był wypadek. Że listonosz nie zabezpieczył furtki i Bosman wymknął się na uliczkę, albo że ktoś inny ją otworzył. Ja na pewno ją zamknęłam, zawsze pamiętałam o psie. Zresztą Bosman rzadko biegał samopas, zazwyczaj siedział ze mną w domu albo na tarasie na tyłach. Ale tamtego dnia uczyłam się do wrześnieowej poprawki i zagapiłam się, a on... To sąsiad do mnie przyszedł i powiedział, że Bosman leży na jezdni cały zakrwawiony. Umarł mi na rękach, nie mogłam nic zrobić... Myśli pan, że ktoś celowo go potrącił? Że to możliwe?

- Wszystko jest możliwe - mruknął Jeremi.

- Kochałam tego psa. Był ostatnim prezentem od taty - powiedziała cicho Matylda.

- A twoja matka?

- Co z nią? - Momentalnie się nachmurzyła.

- Czemu nie zatrzymasz się u niej?

- Bo jej nie lubię. Zresztą z wzajemnością.

- Czemu?

- Czemu? A ma pan cały dzień? - Matylda gniewnie parsknęła i zerknęła w stronę drzwi. - Zaraz ma tu przyjść, więc niech się pan przygotuje na burzę z piorunami, a może nawet gradobicie.

- Aż tak?

- Owszem.

- Ale macie ze sobą kontakt.

- Mamy. Co nie znaczy, że się kochamy. Ma mi przynieść nocną koszulę na zmianę i coś do czytania, bo Miniera pewnie dziś skończę. Ja też o nią dbam, kiedy jest chora, ale na tym wymiana obopólnych przysług się kończy... A wracając do pana pytania: największy żal mam do niej o to, że tak późno powiedziała mi o tacie. Przez całe lata mnie okłamywała. Mówiła, że to jej dawny

znajomy, który wyjechał do Kanady i z którym nie ma kontaktu. Ale nie chciała nawet podać mi jego nazwiska. Nic, zupełna dezinformacja. I nagle wyjeżdża mi z tym, że jestem córką jednego z najbogatszych sopockich restauratorów, właściciela kilku galerii sztuki i koleś, który zbił majątek na giełdzie.

- Myślisz, że zrobiła to, bo się dowiedziała, że ma grubą kasę?

- No raczej! Ale tego akurat nie mam jej za złe, chociaż piętno nieślubnej córki nieco mnie uwiera. - Błado się uśmiechnęła i wzięła od Jeremiego swój telefon. - Cudny był, prawda?

- Fajne psisko - przyznał. - No nic, nie zabieram ci więcej czasu.

- No, bo jestem tu taaaaka zajęta. - Odłożyła telefon na koldrę i zerknęła w stronę drzwi. - Zawsze robię się nerwowa przed spotkaniem z matką. Dosłownie jakbym czuła, że ona się zbliża...

- Dasz sobie radę. - Jeremi wstał, odstawił na miejsce szpitalny taboret i zapytał Matyldę, czy ma coś do pisania.

- Nie mam.

- Dobra, to zapisz sobie mój numer od razu w pamięci swojego telefonu. Jeszcze przez kilka dni będę w Trójmieście. Gdybyś czegoś potrzebowała albo coś ci się przypomniało...

- Przez kilka dni będzie pan w Trójmieście? A później co? Myślałam, że jest pan z lokalnej policji, ale skoro nie jest pan od nich, to kim pan jest?! - zawołała momentalnie wytrącona z równowagi.

- Przyjacielem - powiedział. - Kimś, kto również nie do końca wierzy w winę Mateusza. I bez obaw, naprawdę jestem gliną. Tyle że nie stąd. Ale nie mów o tym nikomu. - Puścił do niej oczko i ruszył w stronę drzwi.

Otwierał je, kiedy zapytała, czy jej wierzy.

- Dopuszczam myśl, że możesz mieć rację.

- Dziękuję - szepnęła.

- Podziękujesz mi, kiedy się dowiem, kto cię tak urządził.

Był na korytarzu, kiedy z windy wysiadła wciśnięta w wąską bordową sukienkę matrona z natapirowanymi włosami i przerażającą tapetą na nalanej, opuchniętej od botoksu twarzy. Jest i pani mama, pomyślał rozbawiony.

Idąc do samochodu, zdał sobie sprawę, że spotkanie z Matyldą mocno go zaskoczyło. Renata opisała ją jako pustą, próżną, zapatrzoną w siebie puszczalską, która potrafi jedynie się stroić, bawić do białego rana w sopockich klubach, ćpać i lekką rączką wydawać krwawicę ich ojca, ale na nim dziewczyna zrobiła całkiem dobre wrażenie. Była miła, wrażliwa i miała w sobie coś kruchego. A przy tym lubiła czytać i posiadała całkiem fajny dystans do siebie, co też mu się spodobało. Dobrze świadczyło o niej również to, w jak miły sposób mówiła o przyrodnim bracie. Czyżby to Renata była w tej bajce podłą, złą jędzą? Jaromirski uśmiechnął się krzywo, otwierając nissana.

Lipiec 1998 r.

Zmierzchało, kiedy Hanka wślizgnęła się do garażu, wyprowadziła z niego rower i nie oglądając się za siebie, wyjechała na uliczkę. Tym razem nie zapytała nikogo, czy może wyjść, ale przecież nie była małym dzieckiem. Zresztą mama poszła do sąsiadki, z którą robiła przetwory, a ojciec znowu miał wrócić późno. Na myśl o nim spochmurniała. Była już na tyle duża, żeby zrozumieć, że małżeństwo rodziców jest dalekie od ideału. Ojciec wracał coraz później, a jeśli już musiał być w domu, snuł się po nim, odzywając się monosylabami. Z kolei mama stale popłakiwała po kątach i zupełnie przestała o siebie dbać. Nie malowała już nawet paznokci, chociaż zawsze o nie dbała, a któregoś dnia Hanka przyuważyła jej ohydnie zarośnięte, nieogolone pachy, które wyglądały naprawdę koszmarnie. Sama goliła je co rano, podobnie zresztą jak dziewczyny z jej klasy, które chciały się czuć modne i zadbane. Ale mama całkiem to sobie odpuściła, jakby nie zależało jej już na niczym, pomyślała Hanka, zjeżdżając z niewielkiego wzniesienia w drodze do centrum.

Artur czekał na nią tam gdzie zawsze. Siedział na otaczającym wesołe miasteczko kamiennym murku i jadł gofra.

- Hej! - Pomachała mu i cisnęła rower w trawę.*
- Hej - mruknął, dojadając ostatni kawałek słodkiego deseru.*
- Znowu żresz beze mnie?*

- Bo zawsze się spóźniasz.

- Musiałam poczekać, aż mama wyjdzie. Wiesz, że nie lubi, kiedy włączę się wieczorami.

- Nie włączysz się, tylko spędzasz czas ze mną. - Oblizał palce, puścił do niej oczko i zeskoczył z murku. - Masz ochotę na przejażdżkę? - zapytał, z nadzieją zerkając na diabelski młyn, ale Hance nie były w smak tego typu atrakcje.

- Nie. Przecież wiesz, że nie mam kasy - burknęła.

- Ojciec nic ci nie daje?

- Nie. A mama nie ma, bo ten skąpiec wydziela jej pieniądze.

- Kurde...

- Właśnie. - Hanka wskoczyła na murek i przez chwilę milczeli. W końcu on usiadł obok niej i objął ją ramieniem.

- Ale połączyć po lunaparku możemy, nie? Chodź, kupię popcorn.

- Gdy pociągnął ją za rękę, Hanka zeskoczyła z murku.

Byli przy jednej z karuzel, kiedy kątem oka zauważyła jakieś zamieszanie.

- Patrz! - Szturchnęła Artura. - Ktoś ich zaczepia - dodała, a jej chłopak odwrócił się w stronę kas i przez chwilę przyglądał się Wikingowi, który wyklócał się z jednym z miejscowych.

- To Zenek Malinowski, wyjątkowy młot.

- Walnął go, widziałaś?!

- No widzę i co? Może coś do niego ma?

- Chodźmy tam, zanim go pobije!

- A co? Zamierzasz stanąć w jego obronie? - zakpił Artur, jednak chwilę później ruszył w ślad za Hanką.

Mijając sprzedającego balony klauna kręcącego się przy kasach, chłopak parsknął śmiechem, ale zgromiony złym spojrzeniem poślany mu przez Hankę od razu spoważniał.

Kiedy podeszli bliżej, Malinowski z całej siły pchnął Wikinga,

który stracił równowagę i się przewrócił.

- Zostaw go! - krzyknęła stojąca obok Śnieżka, ale Zenek tylko zarechotał.

- Zostaw go! - Hanka podeszła do Malinowskiego i uderzyła go pięścią w ramię.

Syknął z bólu i odwrócił się zaskoczony.

- Co jest? Chcesz dostać w dziób, dziewczynko? - warknął, rozmasowując ramię.

- Nie zaczepiaj ludzi! - krzyknęła.

- Bo co? Pobijesz mnie? - Zenek roześmiał się, drapiąc się po nieogolonym policzku. - No co? Powiedz... - Nachylił się nad nią.

Cofnęła się, nie potrafiąc powstrzymać obrzydzenia, bo Malinowski cuchnął starym potem, piwem i czosnkiem, a zepsute i pożółkłe zęby, które szczyrzył, przyprawiły ją o mdłości.

- Spadaj stąd! - usłyszała męski głos i ktoś odepchnął Zenka, który wpadł na drewnianą budkę z biletami na karuzelę.

Hanka odwróciła się gwałtownie i zobaczyła młodego gliniarza Krzyśka Bugaja, z którym przyjaźnił się jej kuzyn.

- Dzięki - szepnęła, ale Bugaj nie zwracał na nią uwagi.

Pomógł wstać Wikingowi, który z wyrazem niedowierzania na twarzy ścierał z policzka krew, i spojrzał na Śnieżkę.

- Wszystko dobrze? - zapytał.

Skinęła głową i gwałtownie się zaczerwieniła. Hanka podejrzewała, że speszyło ją zbyt nachalne spojrzenie Krzyśka Bugaja, który z kciukami wsuniętymi za szlufki od skórzanego paska otwarcie się jej przyglądał, łypiąc również w jej dekolt.

- Chodźmy stąd. - Artur pociągnął Hankę pomiędzy budki z hot dogami, prażoną kukurydzą i oranżadą, a ona dała się co prawda wziąć za rękę, ale jeszcze raz się odwróciła, żeby zobaczyć, co się dzieje przy kasach.

- *Jak myślisz, czemu go uderzył?*
- *Skąd mam wiedzieć? - Artur wzruszył ramionami.*
- *Znasz Bugaja? - zainteresowała się.*
- *Z widzenia, bo co?*
- *Moja koleżanka się w nim kocha. Mówi, że jest jak ci amerykańscy gliniarze na filmach.*
- *Ale ty się chyba w nim nie kochasz?*
- *Nie. Dla mnie jest za stary. Przecież on jest po dwudziestce. - Skrzywiła się, zdrapując zdobięcy jej łokieć strup.*
- *No, chyba jakoś tak - powiedział Artur bez większego zainteresowania. - Ty, a widziałaś, jak się gapił na tę Cygankę? Jakby chciał ją pożreć wzrokiem.*
- *Bo mama mówi, że on jest pies na baby. Słyszałam, jak kiedyś rozmawiała z sąsiadką - rzuciła z uśmiechem. - I nie nazywaj jej Cyganką.*
- *To się nazywa dziwkarz, żaden tam pies. A Cyganką przecież jest.*
- *Kobiety to nie dziwki. I nie wiesz, czy jest Cyganką. Może ma taką urodę? - syknęła Hanka i Artur zdał sobie sprawę, że podpadł.*
- *Ty, a do kina byś nie poszła? W Mirażu znowu grają „Kilera”. „Cycki se usmaż”, pamiętasz? - zarechotał Artur, a Hanka się skrzywiła.*
- *Jesteś dziś jakiś dziwny - mruknęła, przysiadając na jednej z drewnianych ławek, na której ktoś postawił butelkę z niedopitą oranżadą.*
- *Czemu? Bo mam dobry humor?*
- *Bo mnie wkurzasz!*
- *To się nie wkurzaj. - Artur usiadł obok niej i objął ją ramieniem. - Nie gap się, ale idzie tu Bugaj. Twoja koleżanka*

pewnie zemdlałaby z wrażenia.

- Ale ja nie zemdleję - powiedziała Hanka, zerkając w stronę zbliżającego się do nich młodego gliniarza.

Kiedy ich mijał, puścił do niej oczko i omiótł wzrokiem jej szczupłe opalone nogi, a speszona Hanka gwałtownie się zaczerwieniła.

- Mówiłem? Pies na baby, a nawet na smarkule - wyszczerzył się Artur.

- Muszę już jechać - powiedziała, wstając.

- Teraz? Przecież ledwo przyszłaś. Chodźmy do lasu. Wiem, gdzie Wiking i Śnieżka zostawili dziś busa.

- Nie mogę. Muszę wracać! - powiedziała Hanka, ale Artur przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Nie musisz - wymruczał jej do ucha, kładąc dłoń na jej udzie, i po chwili wahania oddał mu pocałunek. - Pokażę ci fajne miejsce. Chodź. - Artur w końcu się od niej oderwał i zerknął w stronę murku, przy którym czekały ich rowery.

- Jakie miejsce?

- Zobaczysz.

- Daleko? - Hanka ostatecznie rozprawiła się z naderwanym strupem na łokciu i przygryzła usta, kalkulując w duchu, czy lepiej wracać do domu, czy może korzystać z uroków letniego wieczoru i dać się ponieść szaleństwu.

Ojca nie powinno jeszcze być, ponoć miał się zjawić w nocy. Matka mogła już co prawda wrócić od sąsiadki, ale jej od dawna się nie bała. Najwyżej się na mnie wydrze, wielkie mi coś, pomyślała.

Jadąc przez ciemny las, czuła się trochę nieswojo, ale Artur świetnie znał drogę i przyświecał trzymaną w ręku latarką, którą od zawsze nosił w swoim niewielkim plecaku.

- Daleko jeszcze? Bola mnie nogi - marudziła, kiedy dotarli w okolice bunkrów, minęli ponure fortyfikacje i jechali dalej wzdłuż ciemnej linii drzew.

- Jeszcze chwila! - krzyknął jadący przed nią Artur i zwolnił, żeby mogła za nim nadążyć.

Z domu, który chciał jej pokazać, została już tylko podmurówka, jedna na w pół zwalona ściana i szeroki kamienny komin.

- Co to za miejsce? - Hanka zdała sobie sprawę, że czuje się niepewnie pośrodku zarośniętej wysoką trawą polany, i obejrzała się przez ramię. - Paskudnie tu.

- Chodź! Zaraz ci opowiem, co się tu dzieło. - Omiótł ruiny snopem światła z latarki i złapał ją za rękę.

- Masz spocone dłonie. - Skrzywiła się, jednak nie wyrwała się z uścisku.

- Wiesz, kto tu mieszkał?

- Nie.

- Serio? Nie słyszałaś o domu weterynarza?

- Tym, w którym straszy? Coś tam słyszałam. - Hanka jeszcze raz obejrzała się przez ramię i przystanęła pośrodku polany. - Dalej nie idę!

- Cykor, cykor! - Artur pocałował ją w szyję i przytulił. - Chodź, opowiem ci bajkę.

- Bawi cię to, nie? Uwielbiasz mnie straszyć!

- Bawi mnie, że jesteś takim cykorem.

- A ty jesteś downem, który...

- Ćśśś! Słyszałaś? - Artur gwałtownie się odwrócił i poświecił między drzewa. - Ktoś tam jest! - szepnęła i przerażona Hanka zamarła. - Hej, robię sobie jaja! - krzyknął chwilę później.

- Pajac! - Kopnęła go w kostkę i ostrożnie stawiając kroki, wśród aksamitnej ciemności dotarła do swojego porzuconego

w trawie roweru. - Chcę wracać do miasteczka! I zapomnij, że jeszcze kiedyś wyciągniesz mnie w takie miejsce!

- Dobra, już dobra. Nie wkurzaj się. Wracamy do miasteczka. Ale najpierw ci opowiem, co się tu stało. - Artur objął ją w pasie i wyszeptał jej na ucho, że właśnie im się przygląda duch zmarłego weterynarza. - Patrzy na nas i ma na ciebie ochotę! Oblizuje się, schrupałby cię całą, ale...

- Przymknij się, co?! Ja naprawdę się boję! - Była bliska łez i w końcu Artur zamilkł.

- Dobra, wracajmy. Cykorzyca z ciebie.

- A ciebie palant! - syknęła, wsiadając na rower. - Poświeć, bo nic nie widzę! Albo daj mi tę latarkę i jedź za mną! - Wyrwała mu ją z rąk i nie czekając na niego, ruszyła w stronę wąskiej leśnej drogi.

Byli przy bunkrach, kiedy z daleka doszło ich ujadanie psa i Hanka się wzdrygnęła.

- Tu jest upiornie - szepnęła, ale jadący za nią Artur jej nie usłyszał.

Kiedy wyjechali na prowadzącą do miasteczka drogę, minęło ich ciemne auto, którego kierowca wolno ich wyminął i zjechał na pobocze. Hance zaczęły trząść się dłonie i zaschło jej w gardle. Była pewna, że nieznajomy chce ich zaczepić, ale on tylko opuścił szybę i zapalił papierosa. Pomyślała o tacie. On też często podróżuje po bocznych drogach, przeszło jej przez myśl i nieco się uspokoiła.

Dwadzieścia minut później, kiedy już dotarli w okolice wesołego miasteczka, a otaczające ich pulsujące kolorowe światła i neony rozproszyły jej lęki, Hance zachciało się śmiać z własnej hysterii. Nie potrafiła jednak nic poradzić na to, że od zawsze przerażał ją las nocą.

- Nie zabieraj mnie więcej w takie miejsca - powiedziała chwilę po tym, jak rzuciła rower w trawę i usiadła na murku.

- Chciałem ci opowiedzieć historię weterynarza, ale skoro nie chcesz...

- Teraz możesz gadać - zgodziła się łaskawie.

- Teraz nie ma odpowiedniego nastroju - mruknął Artur, siadając obok niej.

- Nie chcesz, to nie gadaj. - Wzruszyła ramionami.

Za ich plecami ktoś krzyknął, a kilka osób głośno się roześmiało.

- Pić mi się chce.

- Kupić ci oranżadę?

- Nie. Opowiedz o weterynarzu i wracam do domu - zdecydowała.

- Mieszkał tam tuż przed drugą wojną. Nazywał się doktor Włodzimierz Teodorczuk. Był szanowany, ludzie go lubili. Ale któreś nocy usłyszał w głowie głosy, które kazały mu zabić czworo swoich dzieci, żonę, teściową i psa. Zaczął od matki swojej żony. Wślizgnął się do jej sypialni i poderżnął jej gardło, a później tym samym nożem rozciął jej nocną koszulę, obnażył piersi i...

- Co zrobił?! Fuj! Jednak nie będę tego słuchać, to obrzydliwe! A ty jesteś dzisiaj wyjątkowo wkurzający! - Hanka zeskoczyła z murku i ignorując wołanie swojego chłopaka, wsiadła na rower.

Jadąc w stronę domu, zdała sobie sprawę, że musi być grubo po dwudziestej trzeciej, bo światła w przydrożnych budynkach przeważnie były pogaszone. Była na początku swojej ulicy, kiedy zauważyła stojącego przy latarni mężczyznę z papierosem w dłoni. Jego widok tak ją przeraził, że przez moment nie mogła oddychać. Mijając go, posłała mu harde spojrzenie, udając, że

wcale się nie boi, a on spojrzał na nią rozbawiony i cisnął w ciemność niedopałek. Do domu dotarła spocona ze strachu, rozdygotana i dziwnie na siebie wściekła. Czemu jestem takim tchórzem? - zastanawiała się, wychodząc z garażu. Tamtej nocy obiecała sobie, że z początkiem roku szkolnego zapisze się na taekwondo, chociażby po to, żeby więcej nie bać się stojących w ciemnej uliczce nieznajomych. Nie łudziła się, że z jej wzrostem i szczupłą sylwetką będzie miała szansę w walce z każdym dorosłym mężczyzną, ale dotarło do niej, że lepiej zrobić cokolwiek, niż beczynnie tkwić w miejscu i poddawać się własnym lękom.

15

Zaczęło padać, kiedy dojeżdżali do Gryfina.

- Gdzie się podziała złota polska jesień? - mruknął pod nosem Kiciuś, włączając wycieraczkę.

Siedząca na siedzeniu pasażera Hanka Piasecka nie odpowiedziała, tylko w milczeniu pisała esemesa.

- Coś taka ponura? - zapytał, zjeżdżając w stronę Iwaskiewicza, gdzie mieszkali rodzice porwanej Karoliny Lenart.

- Nic, martwię się Zuzą.

- Bo? - zdziwił się Kiciński. - Czy ona nie jest wciąż na etapie kucyków pony i różowych spinek do włosów?

- Chciałabym - prychnęła Hanka. - Uwierz mi, dzisiejsze trzynastolatki potrafią nieźle zaleźć rodzicom za skórę.

- Aha... Więc czym sobie nagrabiła?

- Ma chłopaka. Piętnastoletniego. - Hanka skrzywiła się. - I chociaż kategorycznie zabroniłam jej się z nim spotykać, zaczęła pewnie odpieprzać scenki z Romea i Julii.

- Kurwa, grubo. W takiej sytuacji pas cnoty to mało. - Kiciuś zaparkował przed jednym ze starych czteropiętrowych bloków i spojrzał na Hankę. - Ale może to całe ich chodzenie to tylko jakaś dziecinada?

- Sama nie wiem. Ostatnio nakryłam ich na naprawdę soczystym pocałunku - mruknęła Piasecka, rozpinając pasy.

- Nie zazdroszczę. Będziesz jej musiała mocno skrócić łańcuch - podsumował Kiciuś, wysiadając z samochodu.

- Skrócić łańcuch? - powtórzyła, parskając śmiechem.

- Żarcik taki, nie? - mruknął Wojciech.

Chwilę później, przepuszczając Hankę w drzwiach od klatki, dodał jeszcze, że w tej sytuacji musi mieć na młodą oko, zanim smarkuła naprawdę sobie nagrabi.

- Co ty powiesz? - skwitowała jego wywód, posyłając rozbawione spojrzenie.

- Co?

- Nic. Wyobraziłam sobie ciebie w roli ojca zbuntowanej nastolatki.

- Co w tym śmiesznego? Na pewno byłbym zajebistym tatuśkiem.

- Mówisz? - Piasecka wyglądała na nieźle ubawioną.

- Mówię. Co jest? Nikogo nie ma? - Kiciuś jeszcze raz wcisnął dzwonek i matka Karoliny Lenart wreszcie otworzyła drzwi, mnąc poszarpaną chusteczkę higieniczną.

Z pewnością przed chwilą płakała i Wojciechowi zrobiło się jej żal. Hanka z kolei zauważyła, że kobieta ma brzydko zaognioną egzemę na szyi, widoczny siwy odrost w ciemnych włosach i ogólnie sprawia wrażenie mocno zaniedbanej.

- Dzień dobry. Starszy sierżant Wojciech Kiciński i sierżant Hanna Piasecka - Kiciuś dokonał służbowej prezentacji.

- Proszę, niech państwo wejdą. - Wanda Kwiatkowska otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła ich do środka. - Kawy? Herbaty?

- Nie, dziękuję - powiedziała Hanka.

Kiciuś też podziękował i we trójkę usiedli w niewielkim, zagraconym pokoju.

- Męża nie ma? - zapytała Piasecka, przyglądając się modnej w czasach Peerelu meblościance, która królowała przy jednej ze ścian.

- Jest w pracy, nie mógł się wyrwać.

- Dobrze, to zacznijmy. Czy w życiu pani córki wydarzyło się ostatnio coś niepokojącego? - zapytał Kiciński, uruchamiając dyktafon. - Chciałbym nagrać naszą rozmowę, oczywiście nieoficjalnie, bo to nie jest żadne przesłuchanie. Zgadza się pani?

- Zgadzam się. Co się mam nie zgadzać? - rzuciła Kwiatkowska łamiącym się głosem i wybuchła płaczem. - Boże kochany, jak to możliwe, że ktoś ją zabrał dosłownie spod nosa męża? Przecież on tam był, naprawdę niczego nie słyszał?

- Spał. A obwinianie zięcia niczego pani nie da, niczego nie zmieni.

- A pewnie, że go obwiniam! Nigdy nie potrafił zadbać o rodzinę! Zarabia grosze i wiecznie taki ugrzeczniony! Proszę, dziękuję, oczywiście! A przez życie trzeba się łokciami rozpychać, taka prawda! - Kwiatkowska chlipnęła, wysiękała nos w wymiętoloną chusteczkę i ze szlochem zapytała, jak on mógł tak po prostu spać?

- Jeszcze nie wiemy, kto uprowadził pani córkę. Być może to ktoś, kto działał na czyjeś zlecenie, profesjonalista. Z takim człowiekiem mało kto miałby szansę. Nawet gdyby pan Dariusz się wtedy obudził, prawdopodobnie nie dałby rady obronić żony.

- Że niby Schwarzenegger ją uprowadził? - zachnęła się Kwiatkowska.

Hanka siedziała w milczeniu, obserwując matkę Karoliny. Nie polubiła jej, drażniło ją jej zachowanie. Ale nie miała zamiaru nikogo oceniać. Nie w takiej sytuacji.

- Córka nigdy nie miała romansu? - zapytał jak zawsze bezpośredni Kiciuś, a Wanda Kwiatkowska aż poczerwieniała ze złości.

- Romansu? Co pan tu w ogóle insynuuje?! Karolina kochała

Dariusza, zawsze była w niego ślepo zapatrzona... Nie wiem, co ona w nim widzi, ale z całą pewnością nie myślała o innych!

- A wrogowie? Miała jakichś?

- Niby jakich? To miła dziewczyna. Zawsze uśmiechnięta, uczynna, życzliwa.

- Patrzy pani na nią okiem matki. Proszę spojrzeć nieco z boku.

Gdy Hanka to powiedziała, Kwiatkowska posłała jej złe spojrzenie.

- Moja córka jest miłą, porządną dziewczyną - powtórzyła z naciskiem. - Dobrą matką, lojalną żoną i cudowną... Przepraszam... - Znow się rozszłochała i głośno wydmuchała nos.

- Przepraszam, ja dzisiaj jakoś kompletnie się załamalam...

- Doskonale panią rozumiem - powiedziała cicho Hanka.

- Naprawdę? Wątpię. - Kwiatkowska brzydtko się skrzywiła i zerknęła w stronę drzwi. - Cały czas czekam, aż odezwie się dzwonek i w progu stanie Karolinka, ale jej nie ma...

- A mężczyźni? - zapytał Kiciński. - Może miała jakichś adoratorów, ktoś nachalnie ją zaczepiał, nie mógł się pogodzić z tym, że jest szczęśliwa z innym? Byli chłopacy, sąsiedzi?

- Byli chłopacy? Nie, raczej nie. Radek, z którym chodziła, zanim poznała Dariusza, jest w Hiszpanii, a ci wcześniejsi dawno stracili z nią kontakt. Zresztą wszyscy są żonaci, a...

- To niczego nie wyklucza - powiedziała Hanka.

- Czyli nikt? Żadnego natrętnego adoratora? - naciskał Kicius i nagle matka Karoliny o kimś sobie przypomniała.

- A może i ktoś jest? Ale to było cztery lata temu...

- Co było cztery lata temu, pani Wando? - zapytała Piasecka.

- Córka pomagała nam wtedy w kwiaciarni. Przez ostatnie lata prowadziliśmy dwie, a tamtego lata otworzyliśmy trzecią. Karolinka lubi układać kwiaty, zawsze miała artystyczną duszę. -

Kwiatkowska blado się uśmiechnęła.

- I? Do rzeczy, pani Wando - zniecierpliwił się Kiciuś.

- No i był taki jeden, co się przy niej kręcił, ale to przecież żaden adorator. On upośledzony jest lekko, ten chłopak, mieszka z matką, chociaż teraz to już będzie miał jakąś czterdziestkę.

- Narzucał się jej tamtego lata?

- Łaził za nią, mamrotał coś, że jest zakochany. Karolinka była wściekła, wstydziła się przecież. Ludzie z politowaniem się uśmiechali, kiedy kradł z naszej wystawy kwiaty i wciskał jej w rękę, kiedy szła przez miasteczko. Pamiętam, że poszłam nawet do jego matki z aferą. Skoro nienormalny to niech w domu siedzi, nie? Ale on całe tamto lato się kręcił przy naszej kwiaciarni, czasem ze trzy godziny po prostu stał i gapił się na lokal. Dopiero kiedy postraszyłam jego matkę, że wezwę policję, zaczęła go lepiej pilnować i przestał przyłazić.

- Czyli chłopak jest upośledzony, tak?

- W jakimś stopniu na pewno. Ociężały, z wadą wymowy, nigdy nie pracował, skończył szkołę specjalną. Debil jakiś. - Kwiatkowska wzruszyła ramionami.

- Debil? Mocne słowo - rzuciła Hanka.

Chciała jeszcze coś dodać, ale Kiciuś kopnął ją w kostkę, jakby czuł, że zaraz może palnąć coś mało sympatycznego.

- Przestań - mruknął, kiedy Kwiatkowska szukała albumu z najnowszymi zdjęciami córki.

- Jak ten chłopak się nazywa? - zapytała Hanka, biorąc od niej album.

- Janusz Rudnicki. Mieszka z matką, dwie przecznice stąd. Ale on by jej przecież nie porwał, bo niby jak? On ledwo wodę w czajniku ponoć umie zagotować, a włamanie do letniego domku i wywiezienie jej samochodem? Nie, to bez sensu. Zresztą on

pewnie nigdy za kierownicą nie siedział...

- Dobra, czyli mamy ślepy trop.

- Chyba że nie działał sam? Miał jakichś szemranych kumpli? - zasugerował Kiciński, a Kwiatkowska momentalnie się poirytowała.

- A skąd niby mam wiedzieć? Nie łączę za nim przecież!

- Jasne. Skąd pani ma wiedzieć - powtórzyła z przekąsem Piasecka. - Będziemy się zbierać - dodała, czując, że niczego więcej od matki Karoliny Lenart nie wyciągną. - Dziękuję za zdjęcie. Roześlemy je do lokalnych mediów, będziemy działać - obiecała.

- Dobrze by było. Bo póki co, to moja córka przepadła, a policja wie tyle co nic - rzuciła Kwiatkowska z przekąsem, zanim zatrzasnęła za nimi drzwi.

- Urocza kobieta. - Kiciuś skrzywił się z niesmakiem.

Piasecka ujęła to bardziej dosadnie:

- Wredna stara pizda.

- Aż tak? - zarechotał Wojciech.

- A nie? Nie widziałeś, jak krzywo się na nas patrzyła? Jakby to była nasza wina, że jej najukochańsza córeńka wyparowała.

- Daj spokój, po co się nakręcasz? Ktoś uprowadził jej córkę, która w dodatku za parę tygodni ma rodzić. Puszczają jej nerwy i tyle.

- Nie, Kiciuś. Ona nie była zdenerwowana. Ona była pełna pretensji do całego świata.

- A dziwisz jej się?

- No dobra, po zastanowieniu nie, nie dziwię się. Ale przyznaj, że to wyjątkowo irytująca baba.

- Mało sympatyczna, fakt. Musiała gdzieś się zaszyć, kiedy Bozia urok osobisty rozdawała - mruknął Kiciński, wyjmując

z kieszeni kluczyki. - Nie zapytaliśmy jej o adres tego, jak go określiła, debila.

- Daj spokój, przecież to bez sensu. Karolinę Lenart porwał koleś, który mieszkał w domku naprzeciwko, jestem tego pewna. Pytanie tylko, dlaczego to zrobił. Ale na pewno nie był to żaden upośledzony dzieciak, który kilka lat wcześniej kradł dla niej kwiaty. Zresztą mamy ślady opon, a mieszkający z matką mężczyzna po szkole specjalnej raczej nie trzyma w garażu terenówki.

- Fakt, niezbyt to prawdopodobne - zgodził się z nią Kicius. - Właż, wracamy na komendę - dodał, otwierając dla niej drzwi od strony pasażera.

- Od kiedy zrobiłeś się taki szarmancki? - Mrugnęła do niego

- Od zawsze taki jestem. - Wojciech wyszczerzył się w szerokim uśmiechu, poczekał, aż Hanka wsiądzie, i zatrzasnął drzwi.

- A jej komputer? Znaleźli w nim coś ciekawego?

- No właśnie nic. Na Facebooka wchodziła raz na kilka tygodni, głównie po to, żeby wrzucić jedno czy dwa zdjęcia Gabrysi. Maili nie wysyłała do nikogo, jej skrzynka jest niesprawdzana od kilku tygodni i pełna spamu.

- Niepracująca matka szybko traci dawne kontakty z ludźmi z pracy - powiedziała Hanka.

- Właśnie. Znajomych miała niewiele, obracała się głównie wśród zaprzyjaźnionych małżeństw z sąsiedztwa, z którymi lubiła grillować na działce. Oziębłowicz rozmawiał dziś z jedną z jej przyjaciółek, która upierała się, że Karolina nie ma żadnych wrogów, a już z całą pewnością nie wdała się w żaden romans.

- To kto, do kurwy nędzy, wywiózł ją nocą w siną dal? - zapytała Hanka.

- Dobrze pytanie - powiedział Kiciński, zawracając na wąskiej

osiedlowej uliczce.

- Kwiatkowska gapi się na nas zza firany - zauważyła Piasecka, krzywiąc się. - Współczuję jej, ale Jezu, jak mi się ta baba nie spodobała...

- Bywa. - Wojciech wzruszył ramionami, zanim wrzucił dwójkę.
- Słuchaj, a jeśli rzeczywiście chodzi o dziecko? Jeśli porwał ją ktoś, kto chce ukraść noworodka? Ktoś, kto zamierza przetrzymać ją aż do porodu, a później...

- Nie kończ, Kiciuś. Jestem dziś wyjątkowo zmęczona całym tym cholernym światem, żeby jeszcze wyobrażać sobie złodziei noworodków. A handlarzy dziećmi przecież przymknęliśmy. Nie ma szans, żeby szajka się aktywowała. Nie w tak krótkim czasie.

- Myślisz?

- Na pewno by nie działali pod naszym nosem, nawet jeśli został ktoś, kogo nie zapuszkowaliśmy. Poza tym oni porywali młode uciekinierki, dziewczyny, których losem mało kto się interesował. Nie uprowadziliby młodej mężatki, to się nie trzyma kupy. I na pewno nie u nas. Nie po ostatniej fali aresztowań.

- Czemu? Wiesz, jak mawiają, że pod latarnią najciemniej - rzucił Kiciuś.

- Obyś nie miał racji.

- Nie mówię, że mam. Rozważam wszystkie opcje.

- Chyba czas lepiej się przyjrzeć mężowi.

- Przyglądamy mu się, Artek za nim jeździ.

- To dobrze. Dotarliśmy do miejsca, w którym nie możemy wykluczać nikogo i niczego - powiedziała Hanka.

- Zapnij pasy - upomniał ją Kiciuś.

- Dobrze, tato - skwitowała z uśmiechem i sięgnęła po zrolowany pas. - Słuchaj, a może to jednak ona za tym stoi? Może jej matka ma rację, gdy mówi, że Dariusz Lenart to nieudacznik,

który nie potrafi zająć się rodziną? Może Karolina zdała sobie sprawę, że niebawem urodzi drugie dziecko, i spanikowała?

- Ale że co? Nawiała, bo miała dość męża?

- Może znalazła lepsze opcje?

- I nie dałaby znać nawet matce?

- Może stara udaje? Może dobrze wie, gdzie jest jej córka?

- Nie sędzę - zaproponował Kiciuś.

- Wiesz, co najbardziej mnie zaskoczyło? To, że Kwiatkowska w żaden sposób nie starała się nam przypodobać. Rzadko rodziny zaginionych są opryskliwe dla policji, bo wiedzą, że w naszych rękach jest los ich bliskich. Ale ona była jakaś taka...

- Tak, była dziwna - przyznał Wojciech. - Ale jakoś nie mogę uwierzyć, żeby wiedziała, gdzie jest jej córka.

- Może masz rację. Kurwa, co za obłąd! Liczyłam na kilka tygodni spokoju po cholernej pełni sezonu, ale jak widać, letnicy jeszcze z nami nie skończyli...

- Mówisz, że byłoby lepiej, gdyby Lenartowie wybrali inny ośrodek?

- Inny wszechświat, cholera!

- Ale wybrali nasz. I musimy znaleźć Karolinę.

- Zgadzam się, powinniśmy. Oziębłowicz wpadnie w szal, jeśli odbiorą nam tę sprawę. Boże, biedna kobieta... My tu sobie gawędzimy w ciepłym wnętrzu twojego gruchota, a ją być może przetrzymuje jakiś szaleniec. - Hanka aż się wzdrygnęła.

- Gruchota? Wielkie dzięki - mruknął Kiciuś.

- No, mercedes klasy A to nie jest.

- Obrażasz moją toyotę? Wysiadaj! - Wojciech zjechał na pobocze i wyłączył silnik. - No wyłaż, mówię!

Hanka posłała mu pełne niedowierzania spojrzenie i po chwili wahania złapała za klamkę.

- Przestań, jaja sobie przecież robię. - Kiciuś przekręcił kluczyk w stacyjce i wrócił na szosę. - A że to rzęch, świetnie wiem. Nawet moja Gośka powiedziała mi ostatnio, żebym zmienił auto, bo wstyd się ze mną na mieście pokazać.

- A to stara blachara - radośnie podsumowała Hanka.

- Tylko nie stara, koleżanko.

- No, młoda to też już za bardzo nie jest. Mój rocznik - skrzywiła się Piasecka.

- Ty? Faktycznie leciwa z ciebie dupa.

- I kto to mówi? - mruknęła Piasecka, wydając z torebki telefon. - Oczywiście Zuza nie raczyła mi odpisać...

16

Karolina Lenart podniosła się z krzesła i podeszła do zakratowanego okna. Wychodziło na niewielki lasek, za którym był betonowy mur zwieńczony kolczastym drutem. Przez dłuższą chwilę przyglądała się drzewom; zachwycały ją kolory jesieni, uspokajały. Ale przecież tylko to sobie wmawiała, bo o spokoju nie mogło być mowy. Wiedziała, kto ją przetrzymuje, domyśliła się. Nie wiedziała tylko, jak to wszystko się skończy, i nagle poczuła tak wielką panikę, że niemal zwymiotowała. Za oknem mżyło. Zacisnęła palce na okiennej klamce, ale nie potrafiła jej przekręcić. Wróciła więc na krzesło i usiadła, starając się nie poddawać hysterii. Pokój był niewielki i niemal sterylny. Oprócz przymocowanego do podłogi krzesła, na którym siedziała, w kącie stała wąska leżanka, a za drzwiami była umywalka. W maleńkiej wnęce obok wejścia znajdował się sedes i biała metalowa szafka, na której leżał sprany beżowy ręcznik. Jej prywatne więzienie. Cztery na sześć metrów, białe ściany i otaczająca ją martwa cisza. Zerknęła na swoje dłonie. Odkąd ją tu zamknął, zdążyła już doszczętnie poobgryzać paznokcie i zdrapać resztki ciemnoróżowego lakieru. Podważanie go paznokciami było jedną z czynności, które na chwilę pozwalały jej zapomnieć o całym tym koszmarze.

Pomyślała o mężu i poczuła w sercu bolesny skurcz. Co powiedziała mu policja, zastanawiała się. Wmówili mu, że odeszła od niego do innego faceta? A może podejrzewali, że to Dariusz coś jej zrobił i zdołał ukryć jej ciało, zanim ich zawiadomił, że

zniknęła? A on? Uwierzył im? Bał się? Tęsknił? I co z Gabrysią, jej słodką maleńką dziewczynką? Jak jej wytłumaczyli nagłe zniknięcie matki... Starła się nie płakać. Nie, nie może się rozkleić, nie da im tej satysfakcji, obiecała sobie, gładząc się po brzuchu.

Nagle gdzieś na zewnątrz trzasnęły drzwi i na korytarzu rozległy się ciężkie męskie kroki. Karolina zamarła, przerażona wizją idących po nią porywaczy, ale ten, kto był pod drzwiami jej pokoju, minął go i poszedł dalej.

Chciało jej się pić i okropnie bolało ją w krzyżu, ale najbardziej niepokoił ją widok opuchniętych kostek. Dzieje się ze mną coś złego. Czy to normalne na tym etapie ciąży? – zastanawiała się zapatrzona w wirujące za szybą, lecące z poruszanych wiatrem drzew kolorowe liście. Położyła się chwilę później. Źle się czuła, wszystko ją bolało, a stres ostatnich dni sprawił, że nie potrafiła zebrać myśli, jakby jej mózg zamienił się w papkę. Ale może to też wina końcówki ciąży? Poduszka, którą miała pod głową, intensywnie pachniała kwiatowym proszkiem do prania, od którego ją mdliło, a szorstki koc, którym się okryła, przypomniawszy jej harcerskie obozy, na które jeździła w dzieciństwie.

Zaczęło się ściemniać, kiedy na moment przysnęła. Obudził ją szcęk klucza w zamku. Usiadła na łóżku, starając się nie panikować na widok mężczyzny, który ją tu przywiózł.

- Smacznego – powiedział, kładąc na szerokim parapecie tacę ze szklanką pomarańczowego soku i pełnym kanapek talerzem.

Po raz kolejny zaskoczyły ją spokój w jego głosie i obojętność, którą miał wypisaną na twarzy. Zupełnie jakby był uprzejmym hotelowym kelnerem, który wnosi do pokoju zamówiony przez nią posiłek.

Wstając, spojrzała mu w twarz.

- Chcę do domu - wycedziła Karolina. - Wypuść mnie, słyszysz?!

- Zamknij się albo wetknę ci w buźkę twoje skarpety - warknął Czarny.

- Nie zagrażam wam, nie rozumiesz tego? Nawet gdybym chciała, to wy przecież macie...

- Powiedziałem, zamknij się!

- Chcę rozmawiać z twoim szefem! Z tym ciemnowłosym przystojniaczkiem, który...

- Przykro mi, ale przystojniaczka nie ma w Polsce. A ty masz dodatkowe dni na zastanowienie się nad sobą. - Czarny uśmiechnął się złośliwie i ruszył w stronę drzwi.

- Prędzej czy później będziecie musieli mnie wypuścić - powiedziała cicho Karolina. - Nie zabijecie mnie przecież, do cholery!

- Taka jesteś tego pewna?

Nie odpowiedziała. Zagryzła wargi i w bezsilnej złości zacisnęła ręce w pięści. Przez chwilę miała ochotę złapać szklankę z sokiem i cisnąć nią w niego, ale wiedziała, że nie zrobi mu krzywdy, a tylko pogorszy swoją sytuację. Jezu Chryste, a jeśli jednak mnie zabiją? Jeśli takie rzeczy przytrafiają się czasem zwykłym ludziom, gdzieś tuż obok, przeszło jej przez myśl i znowu ją zemdliło.

Czarny zatrzymał się w drzwiach i oparł się ramieniem o framugę. Zauważyła, że gładko się ogolił i ułożył na żel gęste włosy, a znoszoną ciemną bluzę i dzinsy zastąpił tym razem niezłe skrojony czarny garnitur. Miał nawet krawat, co wydawało jej się niemal komiczne. Kolesi, który w środku nocy porywa ciężarną kobietę, nagle stawia się w pracy w garniturze i pod krawatem... Musi tu być kimś w rodzaju szefa ochrony. Specem od brudnej

roboty, gościem od paprania sobie rąk w imieniu szefa, pomyślała, podchodząc do okna.

Kanapki z pastą serową i papryką wyglądały całkiem apetycznie, ale na myśl o jedzeniu żołądek zacisnął jej się w supeł.

- Zapomniałbym... Nie powinnaś zostawać sam na sam z niebezpiecznymi przedmiotami. - Czarny uśmiechnął się złośliwie.

- Masz na myśli szklanę? - zapytała kąśliwym tonem.

- Szklanę, talerz, wszystko, czym możesz sobie rozharatać żyły.

- Naprawdę uważasz, że będąc w ósmym miesiącu, chciałabym się zabić?! - parsknęła.

- Nie zdążyłabyś, skarbie. Śledzimy każdy twój ruch. - Porywacz zerknął w stronę umieszczonej pod sufitem kamery z migającą na czerwono diodą i szeroko się uśmiechnął. - Ale mogłabyś narobić jakiegoś syfu, a my nie lubimy sprzątać.

- Wypuść mnie stąd - poprosiła cicho. - Błagam cię, chcę do domu. Co, jeśli zacznę rodzić?

- Przy odrobinie szczęścia tak szybko nie zaczniesz. No już, jedz, bo chcę zabrać te naczynia. Nie mam pół dnia, żeby cię niańczyć.

- Gdzie jest twój szef? Tak naprawdę? Chcę z nim rozmawiać! - Karolina wstała i ruszyła w stronę drzwi, ale Czarny kazał jej się cofnąć.

- Nie podchodź, bo mogę stać się nieprzyjemny - warknął.

- Chcę z nim rozmawiać, słyszysz?! Wszystko mu wytłumaczę, ja tylko...

- Wytłumaczysz mu? - Roześmiał się chrapliwie. - Przyznasz, skarbie, że na to już trochę za późno. Siadaj i jedz! Musisz teraz

podwójnie o siebie dbać, jak mawiają stare baby.

Wyglądał na prawie rozbawionego jej beznadziejnym położeniem, co sprawiło, że Karolina poczuła palącą złość.

- Zabijecie mnie, prawda? - wyszeptała. - Bo chociaż nie potrafię ogarnąć umysłem absurdu tej sytuacji, to wiem, że...

- Mówiłem, jedz! - Czarny podniósł głos. - I nie mam pojęcia, co z tobą zrobimy. Decyzje podejmuje szef.

- Jeszcze możesz mnie wypuścić. Gdybyś tylko pozwolił mi...

Nie dokończyła, bo Czarny przeszedł przez pokój, złapał za tacę i z nietkniętym posiłkiem w dłoni wyszedł na korytarz.

- Nie to nie! Nie mam czasu na te cyrki! - skwitował.

- Chce mi się pić! - krzyknęła.

Bez słowa zatrzasnął za sobą ciężkie metalowe drzwi i po chwili w budynku zapadła martwa cisza. Karolina wróciła na wąską leżankę i położyła się twarzą do ściany, chcąc ukryć swoje łzy przed czujnym okiem kamery. Zdradziły ją jednak ramiona, które drżały, kiedy się rozszłochała. Boże, czemu ja się w to wpakowałam? - zastanawiała się, samotnie leżąc w nadchodzących ciemnościach deszczowego jesiennego popołudnia. Czemu nie potrafiłam odpuścić, dać sobie spokój? - myślała, ale odpowiedzi nie nadchodziły.

Obudziło ją pragnienie. Usta miała wyschnięte na wiór, za oknem zapadła już głęboka aksamitna ciemność. Usiadła na łóżku, przez dłuższą chwilę walcząc z zawrotem głowy, w końcu wsunęła stopy w kapcie, w których ją tu przywieziono, i wstała.

W budynku panowała niczym niezmacona cisza, ale wiedziała już, że poczucie osamotnienia jest tylko złudzeniem. Byli tu, przyglądali się jej z pomocą kamery, siedzieli gdzieś tuż obok, może nawet za ścianą. Kiedy zaczęła się przechadzać po pokoju, by pobudzić krążenie, zawroty głowy znacznie się nasiliły. A jeśli

dodają mi coś do wody? – przeszło jej przez myśl. Nie miała jednak na tyle siły, żeby dłużej się nad tym zastanawiać. Wyglądała przez okno, kiedy dziecko radośnie zatańczyło w jej brzuchu. W tych dniach było wyjątkowo pobudzone, ale to akurat ją cieszyło. Lubiła czuć jego ruchy, nawet jeśli chwilami wiązało się to z lekkim dyskomfortem. Dzięki temu czuła, że wszystko z nim w porządku i że nie jest sama.

- Nie jestem sama – szepnęła, gładząc się po brzuchu.

Chwilę później dotarło do niej, że musi o nie dbać bez względu na to, w co się wpakowała. Musi spać, jeść, pić i robić to, co jej każą. Przecież za kilka tygodni urodzi. Nie wiedziała, czy stanie się to tutaj, czy w zupełnie innym miejscu, ale wierzyła, że ktoś gdzieś tam na górze pozwoli jej bezpiecznie przetrwać ten koszmar i wziąć na ręce nowo narodzone dziecko. Jej dziecko. Słodką istotkę, na którą z takim utęsknieniem czekała.

- Chce mi się pić! – krzyknęła, patrząc prosto w zawieszoną pod sufitem kamerę.

Woda pojawiła się po jakichś pięciu minutach. Ktoś otworzył drzwi, wsunął za nie dwie butelki mineralnej i szybko je za sobą zamknął. Nie zdążyła go zauważyć, nie miała nawet pojęcia, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Ale czy to miało jakieś znaczenie?

Renata wysiadła z bmw i szybkim krokiem ruszyła w stronę wejścia do klubu. W środku było jeszcze pusto, dochodziła czternasta, a stali bywalcy zjawiali się zazwyczaj znacznie później. Chciała jednak zobaczyć Roberta, przyjrzeć mu się jeszcze uważniej. Ostatnio podejrzewała coś, co bardzo jej się nie spodobało. Jednak ponure myśli rosły i pęczniały... Intuicja mówiła jej, że on w jakiś sposób wrabia jej brata w pobicie Matyldy, nawet jeśli nie było go wtedy w mieście. Zastanawiała się, czy ktoś uzdolniony graficznie mógłby narysować wierną kopię tatuażu jej brata na ręce wynajętego do brudnej roboty bandziora, kiedy z zaplecza wyszła jedna z młodych barmanek. Renata zdała sobie sprawę, że dziewczyna wygląda na wzburzoną i jest bliska łez.

- Hej, wszystko w porządku? - zagadnęła ją, ale minęła ją bez słowa i pognęła w stronę toalety dla personelu.

Co jest, do cholery, zastanawiała się Renata, wchodząc do dużego gabinetu, który jej brat dzielił ze swoim wspólnikiem.

- Cześć - powiedziała na widok rozwalonego za biurkiem Roberta Rokosza.

- Już wstałaś? Wcześniej jak na ciebie - rzucił drwiąco.

- Bardzo śmieszne - rzuciła, opierając się o parapet. - Czemu to dziewczę wyszło stąd prawie z płaczem?

- Bo utarg się nie zgadzał. Zasugerowałem jej korepetycje z matematyki, a ona się rozkleiła.

Nie wierzę ci, pomyślała Renata, siadając w jednym ze

skórzanych foteli. I wtedy to zauważyła, jeden detal, który zdradził, co tu przed chwilą zaszło. Robertowi wychodziła ze spodni koszula, a na jego biurku stały dwie niskie szklanki z resztką whisky. Musiał ją do czegoś zmusić, zrozumiała. Seks za pracę? Kurwa, to obrzydliwe nawet jak na niego, pomyślała.

- Pieprzyłeś się z nią? A może powinnam zapytać, czy ją zgwałciłeś? - rzuciła ostrym tonem.

Wstał z za biurka i posłał jej niewinne spojrzenie. Dobrze się maskował, bo na jego twarzy nie dostrzegła emocji. Była jak maska, obojętna i nieruchoma, nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

- Pytałam cię o coś! - podniosła głos.

- Nie muszę gwałcić kobiet. Same rozkładają dla mnie nogi. W końcu mam nocny klub, apartament w świetnym miejscu i maserati. - Znów do niej mrugnął.

- Wiesz, czasem na moment zapominam, jakim jesteś dupkiem, ale później...

Nie dokończyła, bo obszedł masywne dębowe biurko, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że przez wysokie obcasy niemal straciła równowagę.

- Ale lubisz, kiedy ten dupek ci wkłada, co? - warknął, wkładając dłoń między jej nogi. - Uwielbiasz się ze mną rznąć, z nikim nigdy nie było ci lepiej.

- Chciałbyś! - Roześmiała się, odpychając go.

- Co powiedziałaś?! - Złapał ją za włosy.

Spojrzała mu w oczy. Stał tak blisko, że niemal dotykali się nosami.

- Pytałem, co powiedziałaś?

- Mówię, że są inni, którzy też co nieco potrafią. - Uśmiechnęła się krzywo, a on mocniej zacisnął dłoń na jej włosach i przez

chwilę przyglądał się jej z nienawiścią.

W końcu ją puścił. Tracąc równowagę, poleciała na biurko i uderzyła się w rękę.

- Wypierdalaj stąd! Nie jestem dziś w nastroju do twoich teatrzyków! - warknął Rokosz, przyglądając się jej z drugiego krańca gabinetu.

- Bo co? Koka ci się skończyła i nie masz humoru? - zakpiła.

- Ty też niejedną kreskę wciągnęłaś przy tym biurku, z tego, co pamiętam - rzucił jej w twarz.

- Wieki temu!

- I co? Nagle odkryłaś Jezusa? Nie ćpasz, nie pijesz tyle co kiedyś, nie dymasz się z każdym, kto ci się nawinie? Wpadłem ostatnio na twojego byłego mężusia, wiesz? W Sopocie, w jednym z klubów. Był z niezłą dupą, ale ja nie o tym. Powiedział mi, że miałaś niedawno jakieś załamanie nerwowe. - Rokosz zaśmiał się chrapliwie i sięgnął whisky.

- Załamanie nerwowe będziesz miał ty, jak ci się dobiore do tyłka! Przeginasz, Robert, i świetnie o tym wiesz!

- Niby z czym?

- Ze wszystkim. Za dużo prochów, wódy, zabawy! Miałaś kiedyś ambicje, a teraz jesteś zwykłym ćpunem, któremu się wydaje, że jest królem Trójmiasta! - rzuciła mu w twarz.

- Więc jak to świadczy o tobie? - zapytał cicho, jakby uleciał z niego cały jego wcześniejszy gniew. - Dajesz dupy ćpunowi?

- Kiedyś cię kochałam i świetnie o tym wiesz. To dla ciebie zrujnowałam moje małżeństwo! - krzyknęła Renata.

- Bo się wzruszę! W tamtych czasach wciągałaś kokę na równi ze mną i dawałaś dupy każdemu, kto miał ochotę. Złote czasy, nie? Okres prosperity klubu, twoje cekinowe kiecki i ostre dymanie w kiblu dla personelu. Szampan lał się strumieniami, ty

niemal nie trzeźwiałaś, a twój mąż grzecznie chodził do szpitala na dyżury ratować ludzkie życie. Byliście z innej bajki, bejbi. - Wysączył ostatnie krople whisky.

- Dla ciebie go zostawiłam, ty chujku! - krzyknęła, potykając się o zrolowany dywan. - Mówiłam ci, kurwa, wynieś w końcu tę szmatę i kup coś nowego!

Roześmiał się.

- Jesteś urocza, kiedy się wściekasz - powiedział i chociaż dała mu w twarz, kiedy ją pocałował, nie przestawał.

Pchnął ją na sofę. Jej czerwona suknia podwinęła się w górę, ukazując szczupłe, obleczone siatkowymi pończochami uda, z lewej stopy spadł jej but.

- Przychodzisz tu z pretensjami, ale tak naprawdę chcesz tylko jednego - wysapał, przywalając ją swoim ciężarem.

Jednym szarpnięciem podarł na niej majtki i kolanem rozsunął jej uda. Szarpnęła głową, kiedy usiłował wsunąć jej do ust język, a on zacisnął dłonie na jej szyi.

- Lubisz to, prawda? Tę cienką granicę między życiem i oddechem a mrokiem śmierci - wyszeptał jej do ucha. - Ale kiedyś nie przestanę, dopóki na dobre nie znieruchomiejesz.

- Grozisz mi? - wycharczała, z trudem odrywając jego dłonie od szyi.

- W chwili obecnej? Nie. Teraz myślę tylko o rżnięciu - powiedział, rozpinając rozporek.

Jednak mimo że pomagał sobie ręką, jego penis smętnie zwisał, upokarzająco sflaczały, niezdolny do żadnej akcji.

- Co? Już ci nawet nie staje? - roześmiała mu się w twarz.

Nie odpowiedział. Poczzerwieniał z wściekłości, wstał, uderzając ją przypadkiem w nos, i z malującą się na twarzy furią zapiął rozporek.

- Przy tej małej nie miałem problemów - wycedził.

- Może. Ale ona z kolei nie wyglądała na rozanieloną, kiedy mijałam ją w korytarzu - zakpiła Renata, siadając na sofie. - Trzymaj się od niej z daleka, słyszysz?! Ona nie ma jeszcze dwudziestki. Zasługuje na kogoś lepszego niż ćpun, dziwkarz i dupek!

- Może lubi złych chłopców? - Robert wyjął z biurka butelkę whisky, nalał do szklanki i wypił jednym haustem.

- A może powinnam o tym z kimś pogadać? Molestowanie pracownic to obecnie bardzo drażliwy temat, nie sądzisz? - wycedziła Renata, podnosząc z podłogi to, co zostało z jej koronkowych majtek. - Wisisz mi sześć stówek.

- Niby za co?

- Za to! - podsunęła mu pod nos podarte koronki, a on złapał ją za przegub i przycisnął je sobie do nozdrzy.

- Zawsze wyśmienicie pachniałaś. Prawdziwa suka w rui - mruknął.

- To dobrze sobie ten zapach zapamiętaj, bo szybko go nie poczujesz - syknęła.

- Jeszcze zobaczymy. - Uśmiechnął się krzywo. - A tak właściwie to z czym dziś do mnie przyszłaś? - zapytał, kiedy zakładała znaleziony pod sofą but.

- Z niczym. Chciałam zajrzeć do klubu i tyle. To w końcu miejsce, które założył i sfinansował mój brat.

- Sam? - parsknął Rokosz.

- Z twoją niewielką pomocą. I pamiętaj, co ci powiedziałam! Trzymaj się z daleka od tej małej!

- Nie będziesz mi rozkazywać. Aż takiej władzy nade mną nie masz.

- Zobaczymy. - Sięgnęła po torebkę, wygładziła zmiętą suknię

i z płaszczem w ręce wyszła z gabinetu kochanka.

Podkomisarz Marian Oziębłowicz wydmuchał zaczerwieniony nos w chusteczkę, dwa razy kichnął i zaklął, pomstując na przekłete wirusy. Kiciuś, również mocno przeziębiony, rozkaszał się chwilę później, a Hanka Piasecka, która jako jedna z nielicznych nie złapała jeszcze grypy, usiadła nieco z boku i żując szałwiowe cukierki, przejrzała swoje notatki.

- Dobra, ludzie, zaczynamy! - wychrypiął Oziębłowicz, swoim zwyczajem, dla pozyskania większej uwagi, waląc pięścią w blat stołu. - Co mamy w sprawie zaginięcia Karoliny Lenart?

- Ni chuja - mruknął Kiciński i przez niewielką salę przeszła fala śmiechu.

- Bawi was to?! - warknął szef komisariatu.

- Bardziej frustruje - powiedziała Hanka.

- I powinno! Kobita na dniach rodzi, jej mąż z niewiedzy dostaje pierdolca, historia się rozeszła i ludzie patrzą nam na ręce, a my nic nie mamy?!

- Szefie, ale co...

- Jajco, Kiciński! Mówcie, co udało się wam ustalić! Dajcie mi cokolwiek, do kurwy nędzy! - wrzasnął Oziębłowicz, zanim znowu kichnął i sięgnął po chusteczkę. - Gorączka to pikuś, ale ten katar...

- Wiemy, że najprawdopodobniej ją uprowadzono. Kamera na jednym z mostów w sąsiednim miasteczku pokazuje ciemnego nissana i przypuszczalnie siedzącą obok porywacza Karolinę Lenart.

- Głupio z jego strony, że nie władował jej do bagażnika - mruknął jeden z posterunkowych.

- Kobietę w ciąży w bagażniku wozic? Ładny z ciebie dżentelmen - docięła mu siedząca obok Ewka i kilka osób się zaśmiało.

- Spokój! Macie pewność, że to ona? - zapytał Oziębłowicz.

- Raczej tak. Mąż ją rozpoznał, nam też się wydaje, że to ona, chociaż zapis z tych kamer...

- Wydaje się wam czy wiecie na pewno?!

- No chyba raczej ona. - Kiciuś podrapał się po gładko ogolonej czaszce i niepewnie łypnął w stronę Oziębłowicza. - Chłopacy mówią, że w jej komputerze nie znaleźli niczego podejrzanego. Jedno, co nas zastanowiło, to fakt, że dość często spotykała się z kobietami z forum o poronieniach.

- Jakiego forum? - zdziwił się Oziębłowicz.

- Forum to taka wirtualna rozmowa, gdzie...

- Wiem, co to jest, Kiciuś! Pytam, czemu o poronieniach? Przecież ona na dniach rodzi.

- Ale jakiś czas temu straciła dziecko - wtrąciła Hanka.

- No to gadają, wałkują pewnie jakieś stare babskie traumy, co to ma do rzeczy? - Marian Oziębłowicz nie wyglądał na zainteresowanego.

- Tak, ale tych kobiet jest tam mnóstwo i wszystkie...

- Wszystkie co? Poroniły? Dajcie mi coś lepszego, do kurwy nędzy! Na cito albo i szybciej! - warknął poirytowany szef komisariatu. - Bo zakładam, że te baby jej nie porwały?

- Może chciały jej ukraść dziecko? - rzucił ktoś z tyłu.

- Wyjątkowo dowcipni dziś jesteście. Róbcie sobie jaja, a ja będę musiał świecić oczyma przed Dariuszem Lenartem, który dzwoni co parę godzin i pyta, czy coś się zmieniło - mruknął

Oziębłowicz. - Kto gadał z jej przyjaciółmi? - zapytał po chwili, kiedy już znalazł nową chusteczkę i wysiąkał w nią nos.

- Ja. - Hanka podniosła rękę.

- I co?

- Właśnie nic. Szczęśliwa mężatka, żadnych afer w tle. Nie pije, nie zaniedbuje dziecka, jest świetną matką, kiedyś była bardzo cenioną nauczycielką. Żadnej depresji, żadnych wrogów, zero domowych awantur, pełna sielanka.

- To co się, kurwa, dzieje?! - zaklął Oziębłowicz.

- Udało nam się ustalić, że terenówka, którą zauważyliśmy na zapisie kamery z mostu, jest z wypożyczalni. Koleś wziął ją na lewy dowód.

- Super. Czyli nadal jesteśmy w czarnej dupie - skrzywił się Kiciuś.

- To mi wygląda na profesjonalną robotę. Ktoś zaplanował jej porwanie i ma wobec niej konkretne plany. Chodziło mu o nią, raczej nie jest przypadkową ofiarą - powiedziała Hanka.

- Skąd to wiesz? Skąd masz pewność? Może koleś lubi drobne blondynki? Może kręcił się po okolicznych ośrodkach wczasowych, szukając ofiary, i przypadkowo ją zauważył? - zasugerował Wojciech.

- I co? Włamał się do ich domku, żeby ją porwać mężowi spod nosa? Nie ryzykowałby aż tak, gdyby to miała być przypadkowa ofiara. Wybrałby łatwiejszy cel - upierała się Piasecka.

- Skąd wiesz? Może on lubi ryzyko? Może to go właśnie kręci?

- Nie kupuję tego - wtrącił Oziębłowicz. - Zgadzam się z tym, że tu nie chodzi o jakiegoś zboka, który się na nią napalił. On coś do niej ma. Tu chodzi o coś, o czym nie mamy pojęcia.

- Pytanie, o co? - mruknęła Hanka, sięgając po ostatniego szalwiowego cukierka.

- Ja mam coś jeszcze - odezwała się Ewa. - Rozmawiałam z jej siostrą, która przyznała, że Karolina Lenart ma za sobą dość wstydlivy epizod. To znaczy jeszcze wtedy nie nazywała się Lenart, ale...

- Do rzeczy! - ponaglił ją Oziębłowicz.

- Do rzeczy, okay. No więc jej siostra powiedziała, że Karolina tańczyła w pewnym klubie...

- Klubie? W sensie nocnym?

- Coś w tym rodzaju. To była ponoć przydrożna buda z piwem, tłustym żarciem i panienkami przebranymi za kowbojki, które w cekinowych stanikach i ledwie zakrywających pośladki białych dżinsowych spódniczkach lały gościom piwo. A Karolina tam tańczyła. Ta mordownia nazywała się American Boobs i...

- A czemu amerykańskie cycki, skoro rozbierające się panny były Polkami? - rzucił jeden z młodych gliniarzy i kilka osób zarechotało.

- Serio to jest twój największy dylemat?! - syknęła Ewa. - Kurwa, zaginęła kobieta w ciąży, a wy robicie sobie jaja?!

- Dobra, sorry - mruknął policjant, na którego Ewka naskoczyła, i w sali zapadła cisza.

- Czyli knajpa ze striptizem? - mruknął Oziębłowicz. - Czemu to wychodzi dopiero teraz?

- Mąż nie miał chyba o tym pojęcia. Karolina była na drugim roku, kiedy chcąc dorobić, zatrudniła się tam na jakieś pół roku.

- Matka też nie wiedziała? - zapytała Hanka kąśliwym tonem.

- Tego nie wiem. Ale która matka chce zdradzać takie szmatławe sekreciki z przeszłości własnej córki? - Ewa wzruszyła ramionami.

- W tym wypadku każda powinna! Przecież wszystko może mieć znaczenie, do cholery! - podniosła głos Hanka.

- No okay, ale nie zabijaj posłańca. To nie moja wina, że przejechaliście taki kawał drogi, a jej matka nie powiedziała wam wszystkiego - naburmuszyła się Ewa.

- Drogie panie, spokój. To nie czas na walkę kocic - sarknął Oziębłowicz. - Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

- Nie. Tylko tego, że tam tańczyła.

- Rozbierała się jak do rosołu czy tylko wywijiała tyłkiem w bieliźnie? - zainteresował się szef.

- Ponoć tańczyła topless. Ale ta knajpa od dawna nie istnieje. Dowiedziałam się, że jej właściciel zginął kilka lat temu w wypadku na parolotni, a całą tę budę zamieniono na bar szybkiej obsługi, głównie dla kierowców ciężarówek.

- Czyli kolejny ślepy zaułek - skrzywił się Kiciński.

- Niekoniecznie. Być może dorwał ją ktoś, kto w tamtych czasach obsesyjnie się nią interesował - zasugerowała Hanka. - Ktoś, kto zdążył już o niej zapomnieć i nagle rozpoznał ją w tłumie, przypadkiem na nią wpadając.

- Wtedy była ruda i znacznie pulchniejsza. Tak mi powiedziała jej siostra - wtrąciła Ewa.

- Świr, który miał na jej punkcie obsesję, i tak mógł ją rozpoznać - upierała się Piasecka.

- Dobra, przepytajcie Lenarta, może jednak coś wie.

- Jej siostra mówi, że on nie ma o tym pojęcia, ale...

- To się dowie! - warknął Oziębłowicz. - Do roboty, już! Nikt nowy nie dzwonił?

- Nie.

- Kurwa, co za syf! - wychrypiał podkomisarz, sięgając po chusteczkę.

- Mamy jeszcze coś - powiedziała Hanka.

- To mów, na co czekasz?! - huknął na nią Oziębłowicz.

- Jej matka nam powiedziała, że swego czasu Karolina Lenart miała stalkera. Koles' wystawał przed kwiaciarnią należącą do jej rodziców, kradł dla niej kwiaty, godzinami się na nią gapił, te klimaty.

- Co? Dajże spokój! Przecież już ustaliliśmy, że to był jakiś niedorozwój - mruknął Kiciński.

- Każdy trop może być ważny - upierała się Piasecka.

- Niedawno mówiłaś co innego.

- Teraz wy będziecie się kłócić?! - warknął Marian. - Skoro to jakiś niedorozwój, to chyba nie jeździ terenówką, nie?

- No tak, ale...

- To nie ma dyskusji! - uciął rozmowę Oziębłowicz.

Po odprawie Hanka zaparzyła kawę dla siebie i Kiciusia i pchnęła drzwi od pomieszczenia, które Wojciech dzielił obecnie z Jaromirskim.

- Masz. Na przeprosiny. - Mrugnęła do niego, kładąc kubek na pełnym papierów biurku.

- Dzięki. - Wojciech złapał kubek i skinął głową w stronę leżących na blacie kokosanek. - Częstuj się.

- Nie chcę, ograniczam cukier. Ostatnio pożarłam chyba z tonę krówek.

- Ograniczasz cukier? To co ci w życiu zostanie?

- Bzykanie - powiedziała Hanka i Wojciech parsknął śmiechem.

- Toś rymem rzuciła...

- Częstochowskim. Słuchaj, a jeśli ta sprawa jest jakoś powiązana z jej wcześniejszym poronieniem?

- Niby jak? Jej ginekolog ją porwał?

- Nie wiem, ale...

- Hanka, ja też, kurwa, nic nie wiem! - Wojciech upił kilka łyków kawy, głośno przy tym siorbiąc, i ze zniechęconą miną

przejrzał notatki. - Łudziłem się, że może ktoś się w końcu odezwie z żądaniem okupu, ale martwa cisza...

- Jakiego okupu? Przecież oni ledwo ciągną finansowo...

- To może faktycznie chodzi o dziecko? Może ktoś każe jej urodzić w zamknięciu, a później porwie noworodka, a ją wypuści?

- Albo wypuści, albo zabije. Nikt nie lubi zostawiać za sobą niewygodnych świadków.

- Kurwa, co za syf.

- Jesteśmy zupełnie bezradni, zauważyłeś? Utknęliśmy jak...

- Ty, a jeśli to jednak jej mąż? Wiesz, co mnie wtedy najbardziej zdziwiło?

- Co?

- Ten jego zaskakująco mocny sen. Kurwa, wyobraź sobie, że ktoś włamuje się do domku letniskowego, w którym jesteś ze swoim ślubnym, i co? Porywa cię, kiedy on sobie pochrapuje? Przecież musiało tam dojść do jakiejś szamotaniny, a ona, nawet będąc w zaawansowanej ciąży, nie dała się przecież wyprowadzić stamtąd bez walki...

- A może jednak? Mógł ją zastraszyć. Grozić, że zrobi coś córce albo zabije męża.

- I co? Potulnie z nim wyszła? Przecież to niedorzeczne!

- Może miała na gardle nóż? A może było ich dwóch?

- Nie, ślady wskazują na jednego sprawcę.

- Okay, jeden. Kurczę, Wojtek, nie wiem, co tam zaszło, ale musimy się trzymać faktów. Ktoś ją porwał z domku, w którym spędzała weekend, i do tej pory nie wiemy nic.

- I to są te fakty? Skąpe - zarechotał Kiciuś, sięgając po kokosankę.

- Zaczynasz tego zreć tyle, co kiedyś Bugaj.

- To z tęsknoty za jego gębą - powiedział Wojciech,

momentalnie pochmurniejąc.

- Mnie też go brakuje. - Hanka blado się uśmiechnęła i ruszyła w stronę drzwi. - Będę u siebie. Gdybyś na coś wpadł, daj znać.

- Jasne - mruknął Kiciński z pełnymi ustami.

19

Jeremi przystanął u podnóża Wzgórza Olimpijskiego, zerknął w stronę stoku narciarskiego i wszedł na kamienne schody wiodące w górę. Według przewodnika, który kupił dzień wcześniej, w okolicy znajdował się niewielki cmentarz wojskowy, który chciał zobaczyć. Na spacer po Górnym Sopotcie wybrał się pod wpływem chwili. Od rana poboлеwała go głowa i chciał się przejść, zanim zabierze się za swoje nieoficjalne i niestety nadal tkwiące w miejscu śledztwo. Wejście na cmentarz zobaczył po kilku minutach marszu usłaną kolorowymi liśćmi ścieżką. Zielony metalowy płot grodził niewielki plac, na którym zarośnięte krzewami stały mogiły poległych w walkach o Sopot. Jaromirski pchnął metalową furtkę i wszedł na teren cmentarza.

Tu spoczywa 646 żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy oddali życie w walce o wyzwolenie Sopotu w marcu 1945 roku. Cześć ich pamięci – przeczytał umieszczony na kamiennej płycie napis i spojrzał w twarz widniejącego na czarno-białej fotografii młodego żołnierza. Sześciuset czterdziestu sześciu chłopca na tym skrawku ziemi, pomyślał, rozglądając się po nieco zapuszczonym cmentarzyku. Pod głazem stało kilka wypalonych zniczy, ale rozmieszczone tarasowo betonowe nagrobki otaczały krzewy i rozrośnięte liściaste rośliny. Miejsce było podniosłe i upiorne zarazem, miało w sobie coś z horroru, a kraczące nad jego głową kruki dodawały szczypty grozy otaczającej go scenerii. Majestat śmierci wyzierał z każdego skrawka ziemi i Jeremi poczuł się przygnębiony. Leżeli tu zapomniani. Młodzi mężczyźni, prawie

chłopcy, których los przesądziła ponura dwudziestowieczna historia wojen i zagłady. Z dala od domów, skazani na wieczny odpoczynek pod obcym niebem, na cudzej ziemi, przeszło mu przez myśl.

Przechadzał się między mogiłami, starając się przypomnieć sobie litery rosyjskiego alfabetu, kiedy w kieszeni kurtki odezwała się komórka.

- Cześć, Wojtek - odebrał, uśmiechając się pod nosem na widok numeru Kiciusia.

Kiedy się poznali, nigdy by nie powiedział, że tak się stanie, ale od jakiegoś czasu naprawdę się dogadywali.

- Hej, Jaro - rzucił Kiciński z pełnymi ustami, a Jaromirski skrzywił się, słysząc w jego ustach nowe przezwisko, które ponoć nadano mu na komendzie. - Mam dobre wieści - dodał Wojciech i Jeremi dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, jak entuzjastycznie brzmi głos kolegi.

- Co jest? Gadaj. - Jaromirski ruszył w stronę uchylonej furtki, jeszcze raz spojrzął na pamiątkową tablicę z czerwoną gwiazdą i poszedł z powrotem w dół ścieżki.

- Mają go! - krzyknął Kiciński. - Mają tego skurwysyna, który zastrzelił Krzyśka!

- Żartujesz? Rewelacyjne wieści! Interpol go zgarnął? - ucieszył się Jeremi, bo chociaż nigdy nie poznał młodszego aspiranta Krzysztofa Bugaja, sprawa jego tragicznej śmierci mocno go poruszyła.

- Interpol? Nie, chłopie, lepiej! Koleś wacha właśnie kwiatki od spodu, wyobraź sobie! Jego doszczętnie spalone porsche znaleziono w okolicach Marbelli, a w nim zwęglone ludzkie szczątki. I właśnie bez cienia wątpliwości wykazano, że zwłoki należą do tego skurwiela!

- No, no. Czasem nawet to nasze podle życie bywa sprawiedliwe. - Jeremi gwizdnął z uznaniem i dodał, że to świetne wieści.

- Kurwa, czuję się tak, jakby mi kamień z serca spadł! Fakt, nie ja go dorwałem, ale pomyśl, jak podle ten skurwiel skończył!

- Cieszę się razem z tobą, Wojtek. Serio.

- Dzięki. Wielkie dzięki. Słuchaj, a kiedy ty wracasz?

- Za kilka dni.

- Jesteś na urlopie czy jak?

- Nie do końca. Powiem ci, jak wrócę - obiecał Jeremi.

- Dobra, jak wolisz. Muszę kończyć, mam robotę.

- Trzymaj się. I dzięki za dobre wieści! Jednego ścierwa mniej, to zdecydowanie pozytywny bilans dnia.

- A żebyś wiedział! Od rana siedzę za biurkiem i wyobrażam sobie, jak się uwędził, skwiercząc i wyjąc z bólu. Mam nadzieję, że żył, kiedy ten jego szpanerski wozik stanął w płomieniach. Jestem złym kołesiem, co? - Kiciuś chrapliwie się zaśmiał, bąknął szybkie „to cześć” i przerwał połączenie.

- Cześć - powiedział Jeremi do słuchawki i schował telefon do kieszeni.

Był na Mickiewicza, kiedy zadzwoniła Renata.

- Nie oddzwoniasz, nie masz dla mnie czasu - zaczęła z wyrzutem.

- Wybacz, byłem zajęty - mruknął.

- Znalazłeś już coś ciekawego?

- Nie chcę na razie o tym gadać. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby...

- Czasu?! Jeremi, mój brat gnije w areszcie!

- Wybacz, ale to akurat nie moja wina!

- Nie mówię, że to twoja wina! Mówię, że dobija mnie ta

sytuacja! Masz czas wieczorem?

- Nie wiem.

- Chciałabym się spotkać.

- Renata, albo działam, albo trzymam cię za rączkę! - odburknął mało sympatycznym tonem.

- Okay, rozumiem. Nie masz ochoty na spotkanie - syknęła i zanim zdążył cokolwiek dodać, rozłączyła się bez pożegnania.

Skrzywił się i schował telefon do kieszeni. Godzinę później, po dotarciu nad morze i spacerze wzdłuż plaży, przemarznięty i głodny wszedł do mieszkania.

Szukał makaronu w jednej z kuchennych szafek, kiedy zauważył róg zapisanej kobiecym pismem różowej kartki. Leżała złożona na pół, wciśnięta pomiędzy kraciaste kuchenne ścierki. Rozłożył ją i przebiegł wzrokiem pierwsze linijki czegoś, co wyglądało niemal jak staroświecki miłosny list:

Codziennie dziękuję losowi za to, że mogliśmy się poznać! Myślę o Tobie, jesteś w mojej głowie dzień i noc, nieustannie.

Na górze była data. Sopot, dwunasty marca 2019, w prawym dolnym rogu jedna pojedyncza litera. M. Jak Matylda. Ale czemu siostra miałaby pisać tak żarliwe wyznanie bratu? Przyrodniemu i niemal obcemu przy okazji, a jednak bratu...

- Ciekawe - mruknął Jeremi, odkładając różowy karteluszek na kuchenny blat.

Chwilę później odkrył jeszcze kilka podobnych liścików. Były w całym mieszkaniu powtykane w najprzeróżniejsze miejsca, od bielizniarki po wiklinowy kosz z książkami z kieszonkowej serii kryminalnej. Odkrywając kolejne liściki, Jaromirski zapomniał o głodzie i zabrał się za solidne przeszukiwanie mieszkania Mateusza. Po półgodzinie na kuchennym blacie leżało osiemnaście liścików z miłosnymi wyznaniem. Większość była

podpisana pojedynczą literą „M”, ale na trzech ostatnich widniało pełne imię: „Matylda”.

- Co jest, kurwa? - szepnął Jaromirski, układając dziewczęce wyznania w chronologicznej kolejności.

W ostatnim z listów Matylda pisała, że wciąż czuje na ustach słony smak jego skóry i nie potrafi już sobie wyobrazić nawet dnia bez niego.

No, no, miała romans z przyrodnim bratem... Czytał kiedyś artykuł o ludziach, którzy po latach odkrywali, że są spokrewnieni. I nagle wybuchało uczucie, którego nie potrafili ukierunkować. Silna fascynacja i radość z odkrycia kogoś bliskiego dawała złudne poczucie bliskości, a bywało i tak, że żyjące z dala od siebie rodzeństwo zamiast okazywać sobie braterską miłość, pod wpływem silnych emocji lądowało w łóżku. Jeremi nie do końca rozumiał ten mechanizm, chociaż oglądał przecież filmy i czytał książki z wątkiem kazirodczym w tle. Zazwyczaj dochodziło jednak do tego typu relacji między dziećmi skrajnie zaniedbanymi, z patologicznych rodzin, lub takimi, które szukały u siebie bliskości, gdyż były emocjonalnie zaniedbywane przez rodziców. Czy Matylda z Mateuszem mogli czuć się tak samo, zastanawiał się, przeglądając leżące przed nim liściki.

Nagle zobaczył coś, co kompletnie go zaskoczyło. Słowo „ściskam” napisane pismem, które gdzieś już wcześniej widział. To samo pękate „ś” z fantazyjnie zakreśloną kreską u góry, ten sam zawijas przy końcowym „m”. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, gdzie mógł widzieć podobne do tego pismo, aż go olśniło. Renata! Zostawiła mu liścik, kiedy się wprowadzał. I dałby głowę, że to ona napisała liściki podpisane rzekomo przez Matyldę. Czemu? Tego jeszcze nie wiedział. Nienawidziła jej, więc może chciała ją skompromitować w oczach brata, sugerując

mu, że siostra przyrodnia ma na jego punkcie chorą, kazirodczo-seksualną obsesję? A może chodziło jej zupełnie o coś innego. Najpierw jednak muszę się upewnić, czy to jej pismo, zdecydował, ruszając w stronę kosza na kuchenne odpadki. I dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że rano wyniósł śmieci, a razem z nimi ciśnięty od kubła odręcznie napisany przez Renatę liścik.

- Cholera - mruknął.

I chociaż na samą myśl chciało mu się rzygać, wiedział, że musi znaleźć tę cholerną notkę.

Dlatego podwinął rękawy starej ciemnej bluzy, założył najstarsze dżinsy, które i tak zamierzał niebawem wyrzucić, i zszedł na dół. Przy drewnianej altance mieszczącej kilka plastikowych kubłów na szczęście było pusto. Otworzył więc drzwi, wszedł do środka i stanął przy kontenerze, do którego rano wyrzucił śmieci. Niestety reszta lokatorów kamienicy na Chrobrego również nie próżnowała i worek, który cisnął na samo dno, przykrywały już inne worki.

- Kurwa - szepnął i starając się nie myśleć o unoszącym się wokół słodkawym smrodkiem odpadów, wskoczył do kontenera.

Na swój worek natrafił, dopiero kiedy rozerwał trzy inne, i upačkany pomidorowym przecierem wydobył spośród śmieci zmiętą kartkę z liścikiem od Renaty. Ta była żółta, ale poza tym zgadzało się wszystko. Pomimo zacieków po pomarańczowym soku i plamach z pomidorów, wyraźnie widział okrągłe, pełne zawijasów pismo Renaty. To samo, które widniało na różowych liścikach „miłosnych”.

- W co ty sobie ze mną pogrywasz? - rzucił pod nosem, wygrzebując się z kontenera.

Chyłkiem wymykał się z altanki, kiedy z kamienicy wyszła elegancka starsza kobieta z białym pudłem na smyczy. Mijając ją,

grzecznie się uklonił, w końcu chwilowo tu mieszkał. Posłała mu kwaśny uśmiech, jakby miała trudności z rozciągnięciem skóry na twarzy. Kolejna królowa botoksu, czyli z tyłu liceum, z przodu muzeum, pomyślał ubawiony, przyglądając się, jak wciśnięta w krótką wełnianą sukienkę i równie kusy płaszczyk zachęca psa, żeby wszedł do samochodu. Swoją drogą, biały pudel to chyba ulubiona rasa mieszkańców Sopotu, skwitował w duchu.

W mieszkaniu zrzucił pobrudzone ciuchy, wkopał je w kąpielnicę tuż przy pralce i wszedł pod prysznic.

Dochodziła osiemnasta, kiedy podzwaniając kluczykami od wypożyczonego nissana, zszedł na dół i wsiadł do samochodu. Do Oliwy dotarł kilka minut później i choć się nie umawiali, zadzwonił do drzwi Renaty. Sterczał przed furtką ponad pięć minut, jednak nikt mu nie otworzył, chociaż w oknach świeciło się światło. Miał odejść, kiedy zauważył jakiś cień w jednym z okien na górze. Renata kręciła się po pokoju, wymachując rękoma. Wyglądało to tak, jakby na kogoś wrzeszczała. Wtedy zauważył również mężczyznę. Z drinkiem w ręce Robert Rokosz wynurzył się z cienia i stanął w pełnym świetle tuż pod kryształową lampą.

- A jednak się z nim bzykasz, chociaż przedstawiłaś mi go w podłym świetle - mruknął Jaromirski, chowając się za żywopłotem.

Do samochodu dotarł skulony, mając nadzieję, że kłócąca się parka nie zorientowała się, że to on dzwonił do drzwi.

W aucie przesiedział ponad godzinę. Chciał sprawdzić, dokąd pojedzie wspólnik Mateusza, kiedy już wyjdzie od siostry kumpla, ale tym razem szczęście mu nie dopisało. Owszem, przez ponad trzy godziny udało mu się niepostrzeżenie śledzić Rokosza, jednak nie odkrył niczego ciekawego. Facet skoczył na siłownię, gdzie w pocie czoła pracował nad bicepsami, później zahaczył

o gdyńską galerię Riviera, gdzie zrobił szybkie zakupy spożywcze i pojechał do domu. Na Hryniewickiego przez chwilę pogadał z koleśkiem, który zaczepił go przy jego aucie, ale wyglądało to na zwykłą sąsiedzka pogawędkę, nic więcej. Przyglądając się im z samochodu, Jeremi na moment odwrócił wzrok i spojrzął w górę, na wznoszące się ku niebu dwie betonowe wieże Sea Towers. Ktoś mu kiedyś powiedział, że większość gdynian nie znosi tej budowli, ale jemu się podobała. Wieżowce mają w sobie coś z nowojorskich klimatów, pomyślał, zerkając na Roberta Rokosza, który właśnie pożegnał się ze znajomym i grzecznie wszedł do budynku.

- Czyli dzisiaj lipa - mruknął Jeremi, wycofując nissana.

Jechał Świętojańską, kiedy zadzwoniła jego komórka.

Matylda? Widok jej numeru zaskoczył go, ale i zaniepokoił.

- Cześć, co się dzieje? - zapytał, zdając sobie sprawę, że dochodzi dwudziesta trzecia.

- Cześć. Przepraszam, że do pana dzwonię... - zaczęła cicho.

- Coś się stało? - zapytał, zwalniając przed zmianą świateł. - I mów mi po imieniu, co? Rozumiem, że w twoich oczach jestem pewnie starszy niż węgiel, ale jednak będzie sympatyczniej tak mniej oficjalnie - zaproponował.

- Okay, dzięki, też wolę po imieniu. I nie, nic się nie stało. Po prostu wpadłam w panikę. Zatrzymałam się u koleżanki, ale ona musiała wyjechać do Warszawy, i siedzę sama w jej mieszkaniu. Pomyślisz pewnie, że jestem jakąś histeryczką, ale...

- Gdzie to mieszkanie? W Sopocie? - zapytał.

- W Gdyni, na Wzgórzu Świętego Maksymiliana. Wiesz, gdzie to jest?

- Mniej więcej. Chyba jestem w okolicy. Czekaaj, wrzucę w nawigację. Jaka ulica?

- Wyspiańskiego dwadzieścia trzy.
- Dobra, widzę, że jestem w pobliżu. Daj mi parę minut.
- Okay, tylko...
- Prowadzę. Dotrę, to pogadamy - wszedł jej w słowo.

Zaparkował na Moniuszki przed nowym zadbanym apartamentowcem i przebiegł przez pustą ulicę.

Matylda czekała na niego na betonowych schodkach wiodących na niewielki parking przed świeżo odnowionym dziesięciopiętrowym blokiem z wielkiej płyty.

- Podobno się bałaś, a teraz samotnie tu sobie sterczysz? - podkpiwał przyjaźnie.

- Teraz już nie. Zobaczyłam, jak parkujesz, i zbiegłam na dół - odparła z uśmiechem.

- Lepiej wyglądasz - zauważył.

- Cieszę się. Nie jest to co prawda najbardziej wyszukany komplement, jaki w życiu usłyszałam, ale dziękuję.

- Dobra, co się dzieje? - zapytał, kiedy weszli do klatki.

W windzie Matylda wcisnęła guzik oznaczony szóstką i oparła się o ścianę.

- Nic. Wpadłam w panikę. Boję się siedzieć sama w mieszkaniu, boję się wyjść... Mam wrażenie, że ktoś na mnie czyha, obserwuje mnie. Że on jeszcze nie skończył. Bo przecież wciąż nie wierzę, że to Mateusz...

- A jeśli to jednak on? - zapytał Jeremi.

Sam w to nie wierzył. Chciał tylko zobaczyć jej reakcję.

- On?! Mateusz by tego nie zrobił! Mówiłeś, że jesteś przyjacielem! - podniosła głos.

- Jestem. I nie krzycz, niektórzy już śpią.

- Też chciałabym spać, a sterczę na balkonie i gapię się w dół, lustrując wzrokiem ulicę - wyznała, otwierając przeszkłone drzwi

od wąskiego korytarzyka.

Mieszkanie otworzyła chwilę później i Jeremi wszedł za nią do środka.

- Kiedy już tu jesteś, czuję się trochę jak idiotka. Nie powinnam po ciebie dzwonić...

- Ale zadzwoniłaś. A skoro już jestem, to z tobą posiedzę.

- To może jesteś głodny? - zapytała, kiedy weszli do połączonego z kuchnią salonu.

- Jestem wściekle głodny.

- Świetnie się składa, bo nieźle gotuję. - Matylda puściła do niego oczko i wyjęła z lodówki jajka. - Masz ochotę na carbonarę?

- Zawsze.

- To zrobię. A ty powiedz, czego się dowiedziałeś.

- Niczego. Oprócz tego, żeby nie ufać Renacie.

- Serio? A wcześniej jej ufałeś? - parsknęła. - To żmija, nie wspominałam ci?

- Kiedyś się w niej kochałem - powiedział z uśmiechem, rozpinając bluzę.

- Serio? I jak mam ci teraz zaufać?

- Mówiąc „kiedyś”, mam na myśli naprawdę stare dzieje.

- I co? Złamała ci serce? - Wyjęła z szafki niewielki rondel i zabrała się do krojenia boczku.

- Była wtedy mężatką, a wszystko, co nas łączyło, było czysto platoniczne.

- Ojejku, a już się nastawiłam na jakąś soczystą historię.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Przeżyję. Wyjrzyj na zewnątrz? Zanim do ciebie zadzwoniłam, miałam wrażenie, że ktoś gapi się w moje okna.

- Kto?

- Jakiś facet. Stał po drugiej stronie ulicy przy tym nowym

bloku.

- Zerknę. - Jeremi wstał i wyszedł na niewielki balkon.

Ulica była jednak pusta. Rząd aut, czarny kot, żywego ducha.

- Nikogo - powiedział, wracając do salonu.

- Byłam pewna, że się tu gapi! Duży facet, zwalisty. Ogolony na łyso, w ciemnej sportowej kurtce.

- Może patrzył w inne okna? To wielka płyta. Dziesięć pięter, sporo mieszkań.

- Może - powiedziała cicho Matylda.

- Kiedy ostatnio widziałaś Mateusza? Przed tym, jak rzekomo cię pobił?

- Dwa dni wcześniej. Kupił mi storczyk, wpadł niezapowiedziany. Pamiętam, że się wzruszyłam. Wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć, że mogę o kimś powiedzieć „brat”. Bycie jedynaczką było do kitu... Zwłaszcza że wychowywałam się, nie znając ojca, a z matką zawsze miałam złe relacje. A wracając do Mateusza, tamtego wieczoru powiesił mi półkę, bo ja boję się nawet pomyśleć o wzięciu do ręki wiertarki, zjedliśmy zupę i obejrzelśmy film. Miałam na nogach skarpety od niego, takie śmieszne, w króliki, i to też było super. W końcu do kogoś należałam, jeśli rozumiesz, co mam na myśli - powiedziała Matylda, na moment odrywając wzrok od deski z boczkiem.

- Rozumiem.

- Cieszę się. - Posłała mu uśmiech.

Zjedli pół godziny później i zaczął się zbierać.

- Jest późno, postaraj się zasnąć.

- A zaśpiewasz mi kołysankę? - spytała wesoło, kiedy był w korytarzu.

- Uwierz mi na słowo, śpiewam raczej kiepsko - rzucił rozbawionym tonem.

- Wierzę. Nikt nie jest idealny - powiedziała cicho.

Zanim wyszedł, pocałowała go w policzek.

- Uważaj na siebie. A gdyby działo się coś niepokojącego, dzwoni bez względu na porę, okay?

- Zadzwoń - obiecała.

Idąc do auta, pomyślał, że jeszcze raz zajrzy do Renaty. To, że dochodziła północ, nie było żadną przeszkodą. Siostra dawnego przyjaciela była jak wampirzyca, zawsze lubiła nocne życie i rzadko kładła się wcześniej niż o drugiej.

Na miejscu okazało się, że przecucie go nie myliło - dom Renaty jako jeden z nielicznych w uliczce był rzęsiście oświetlony nawet teraz, tuż po północy. Miał wcisnąć dzwonek, kiedy pomyślał, że ją zaskoczy. Klucze miał w kieszeni. Komplet od mieszkania na Chrobrego, do którego ktoś doczepił dwa inne. A skoro Renata miała dostęp do apartamentu brata, on zapewne również swobodnie wchodził do niej, pomyślał. I bingo, oba klucze pasowały jak ulał. Wchodząc do jej domu, poczuł przyjemny dreszczyk emocji. Dawno nie robił czegoś tak idiotycznego. Ale znając ją, raczej się nie wkurzy. Prędej się na niego rzuci i wpije się w usta, żądając natychmiastowej porcji seksu. Poza incydentem w mieszkaniu Mateusza nigdy wcześniej z nią się nie kochał, ale domyślał się, że taka właśnie była - dominująca, żyjąca chwilą, narcystyczna i nienasycona.

- Renata?! - krzyknął, zamykając za sobą frontowe drzwi.

Odpowiedziała mu cisza. Ruszył w stronę rzęsiście oświetlonego salonu, zastanawiając się, czemu nie odpowiada. Kąpie się ze słuchawkami w uszach? Zasnęła pomimo włączonych świateł? Wyszła, zostawiając oświetlony dom? Znał kobiety, które nie lubiły wracać do ciemnych pomieszczeń, zwłaszcza nocą. Może pod płaszczkiem wyrachowanej modliszki i ona była

tchórzliwym dziewczątkiem, pomyślał z krzywym uśmiechem, schodząc po kilku kamiennych stopniach prowadzących do przestronnego salonu z kamiennym kominkiem.

Zobaczył ją chwilę później. Siedziała na sofie, była naga. Na głowie miała przezroczysty plastikowy worek, w ustach coś, co wyglądało na zrolowane koronkowe majtki.

- Kurwa! - Jeremi jednym susem doskoczył do niej i przyłożył palce do szyi, by sprawdzić puls, chociaż wystarczyło mu jedno spojrzenie na owiniętą plastikiem twarz, żeby wiedzieć, że na pomoc już za późno. - Kurwa mać, Jezu Chryste - wymamrotał, rozglądając się po salonie.

Na ławie stał kieliszek z resztką czerwonego wina, obok posrebrzana taca z uformowanym w kreski białym proszkiem. Jeremi nie musiał próbować, by wiedzieć, że to kokaina.

- Przykro mi, dziewczyno - powiedział, czując narastające wyrzuty sumienia.

Przecież dzwoniła do niego, chciała się spotkać, ale ją zbył. Może gdyby znalazł dla niej czas, wciąż by żyła? Ale nie, nie powinien tak myśleć. Sam już się domyślił, że ktoś działał z premedytacją. Zabił, upokorzył ją, odebrał jej życie z rozmysłem. To nie była kłótnia kochanków, chociaż oczywiście w pierwszej kolejności pomyślał o Rokoszu, którego widział w jej domu kilka godzin wcześniej. To celowe zabójstwo, usunięcie kogoś niewygodnego, pomyślał, zmuszając się, żeby na dłużej zatrzymać wzrok na twarzy martwej kochanki. Broniła się? Czy była tak otumaniona alkoholem i prochami, że ułatwiła mu zadanie? Zauważył, że ma złamany paznokieć i zakrzepłą krew w kąciку ust, jakby ktoś wymierzył jej cios pięścią w twarz, zanim owinął jej głowę plastikową folią.

- Dowiem się, kto ci to zrobił, słyszysz? - obiecał.

Wybierając numer policji, zaczął się zastanawiać, co właściwie im powie. Że przyjechał jako przyjaciel? A może powinien się przyznać, że prowadzi nieoficjalne śledztwo, by wyciągnąć z aresztu niesłusznie przymkniętego kumpla? Kurwa, co za syf, pomyślał, przechodząc do przedpokoju.

Policja pojawiła się kilka minut później, razem z nimi dwójka śledczych w cywilnych ubraniach, atrakcyjna młoda kobieta i czerwony na twarzy mężczyzna z zakolami.

- Aspirant Wioletta Grzywacz i starszy aspirant Jerzy Dąbrowski - przedstawili się. - Pan znalazł ciało?

- Tak. Aspirant Jeremi Jaromirski.

- O, dobry wieczór. - Grzywacz uśmiechnęła się raczej krzywo i zakładając lateksowe rękawiczki, zapytała, co do cholery robi na miejscu zbrodni.

- Wpadłem odwiedzić przyjaciółkę. Nie odpowiadała na dzwonek, a w domu się świeciło, więc otworzyłem drzwi kluczem.

- Skąd miał pan klucze od jej domu? Sypiał pan z nią, aspirancie? - zapytała Grzywacz, posyłając mu kolejne kwaśne spojrzenie.

- Klucze były razem z kompletem od mieszkania jej brata, w którym chwilowo się zatrzymałem - wyjaśnił.

Grzywacz zaczęła go wypytywać, gdzie pracuje i jaka jest jego rola w całej sprawie, później przewieziono go na komisariat, a kiedy z nim skończyli, dochodziła czwarta nad ranem.

Nagle pomyślał o Matyldzie. Co, jeśli rzeczywiście ktoś się wpatrywał w jej okna, zastanawiał się, idąc w stronę nissana. I chociaż ze zmęczenia ledwo patrzył na oczy, a głowa zaczęła pulsować, zwiastując nadchodzącą migrenę, wrócił na Wzgórze Świętego Maksymiliana i do siódmej rano warował przed jej klatką, siedząc na parkingu przed blokiem. Dopiero kiedy

z budynku zaczęli wychodzić ludzie z psami, młodzi rodzice i starsze małżeństwa, zdecydował, że póki co, nic jej nie grozi. Nie chciał jednak, żeby została tu sama, dlatego po chwili wahania wybrał jej numer.

- Tak? - zapytała wyraźnie wyrwana ze snu.

- Wybacz, jeśli cię obudziłem. Spakuj się, pojedziesz ze mną - powiedział.

- Dokąd?

- Do mnie. To znaczy do sopockiego mieszkania Mateusza.

O tym, że Renata nie żyje, wolał na razie nie wspominać. Nie tak, nie przez telefon.

Zeszła na dół kwadrans później. Włosy spięte w kucyk, na twarzy ani śladu makijażu, w ręce niewielka ciemnoróżowa walizka.

Wysiadł, wziął od niej bagaż, włożył go do auta i otworzył jej drzwi od strony pasażera.

- Wskakuj.

- Skąd ta nagła decyzja? - zapytała nieco kokieteryjnym tonem.

- Stęskniłeś się za mną?

- Bardzo - mruknął, obchodząc dookoła samochód.

- A tak serio, coś się stało? - zainteresowała się, kiedy wsiadł i sięgnął do zapięcia pasów.

- Dobra, i tak się dowiesz... Renata nie żyje - powiedział, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

Chwilę później był już pewien, że wyglądała na szczerze i boleśnie poruszoną.

- Co? To jakiś ponury żart? Okay, to prawda, nie znosiłam jej, ale... Jezu...

- Wiem. - Jeremi na jedną krótką chwilę położył jej dłoń na ramieniu, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce i wolno wycofał

w stronę ulicy.

Siedząca obok Matylda milczała, wciąż zszokowana zasłyszanymi wieściami.

- Boże, a jeśli Mateusz...

- Co z nim?

- A jeśli on też jest w niebezpieczeństwie? - szepnęła.

- Mateusz jest za kratami pobliskiego aresztu i wierz mi, wbrew temu, co się czasem widuje w filmach, to dość bezpieczne miejsce - zapewnił ją.

Wyjeżdżał na Piłsudskiego, kiedy zaczęła płakać.

- Ale jak? Czemu? Przecież ona...

- Matylda, postaraj się uspokoić. Wiem jak, nie wiem czemu.

Resztą zajmie się tutejsza policja.

- Wiesz jak?

- Wiem. Ale ty nie chcesz tego wiedzieć.

- Chcę! Oczywiście, że chcę!

- Nie chcesz - uciął dyskusję, starając się odpędzić wspomnienie wytrzeszczonych oczu Renaty, jej nagiego ciała, na którym zaczęły już wykwitać pierwsze zasinienia, i wepchniętych w usta koronkowych majtek.

Czemu ona? I kto za tym stoi, zastanawiał się, kiedy jechali w stronę Sopotu przez zakorkowaną Gdynię. Pierwszym podejrzanym był według niego Robert Rokosz, ale czy to nie byłoby za proste?

Lipiec 1998 r.

Siedzieli na piasku tuż obok siebie na starym frotowym ręczniku. Plaża jak okiem sięgnąć była pusta. Dochodziła dziesiąta, a tu, prawie trzy kilometry od miasteczka, rzadko kto się zapuszczał w środku tygodnia. Rowery zostawili na skraju wydm i opalali się, popijając kupioną za wspólną kasę oranżadę.

- To jest za słodkie - skrzywiła się Hanka, a jednak dopiła napój do końca.

Od upału była mocno spragniona, a palące słońce nie próżnowało.

- Skóra ci złazi - zauważył Artur, kiedy położyła się na brzuchu.

- Mogę? - Nie czekając na odpowiedź, pociągnął za jeden z półprzezroczystych płatków zbyt mocno opalonego naskórka.

- Spadaj - mruknęła Hanka.

- Obdzieram cię ze skóry - zaśmiał się Artur.

- Psychopata!

- Po prostu troskliwy facet. - Pocałował ją w zaczerwienione od słońca ramię i pogłaskał po pośladku. - Masz taki chudy tyłeczek.

- To chyba dobrze? - zapytała, sięgając po tanie ciemne okulary w plastikowych oprawkach.

- Chyba tak - zgodził się z nią. - Słyszałaś, co się wczoraj stało w mieście?

- Nie, ale pewnie zaraz mi powiesz?

- No jasne, że powiem.

- *To gadaj, skoro musisz. - Hanka, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, obróciła się na bok twarzą do Artura.*

- *Irek Zawadzki pobił się przed remizą z Tomkiem Wolskim o Aśkę Grełę.*

- *Serio? Dziecinada. - Wzruszyła ramionami. - A ona ma za duże zęby.*

- *No, nie tylko zęby ma duże - zaśmiał się Artur.*

- *Down z ciebie czasem - syknęła.*

- *No dobra, chyba się nie obraziłaś? Ty masz małe cycki, ale za to...*

- *Urosną - burknęła.*

- *Mnie się podobają.*

- *Nie widziałeś ich.*

- *Ale potrafię je sobie wyobrazić.*

- *Chciałbyś - parsknęła Hanka i odwróciła się do niego plecami.*

- *Ej, no nie bocz się, co? - Artur leciutko ukąsił ją w szyję i pogładził po obłazących ze skóry plecach. - Ale kiedyś je zobaczę? - zapytał i zanim zorientowała się, co robi, rozwiązał sznurek od góry jej kostiumu.*

Pisnęła, osłaniając piersi rękoma, a on zarechotał i pocałował ją w ramię.

- *Dobra, bez paniki. Leżysz tyłem do mnie, nawet ich nie zobaczyłem.*

- *Żałuj - syknęła. - I nie rób tego więcej! - Zawiązała troczek od kwiecistego stroju kąpielowego, wstała i ruszyła w stronę wody. - Pilnuj rowerów, idę popływać.*

- *Czego mam pilnować? Przecież nikogo tu nie ma - zauważył Artur, ale już nie słuchała.*

Chlapiąc i głośno się śmiejąc, wbiegła do wody, aż fale sięgnęły brzucha.

- Tylko się nie utop! - krzyknął za nią Artur.

- Nie bój żaby! - odkrzyknęła, wchodząc głębiej w morze.

Woda była przyjemnie chłodna, koła podrażnione od słońca ciało. Hanka przez chwilę pływała, później wróciła na ręcznik i wtuliła się policzkiem w plecy leżącego na brzuchu Artura.

- Myślałem o tym, jak to będzie, kiedy w końcu już to zrobimy - powiedział.

- To?

- Tak, TO.

- Mówiłam ci, że nie jestem jeszcze...

- Wiem, nie jesteś gotowa. Po prostu sobie to wyobrażam. Od tego na pewno nie zajdziesz - podsumował ze śmiechem.

- Idiota! - parsknęła, ale też musiała się roześmiać.

Kiedy położyła się obok, zarzucił jej na głowę swój podkoszulek.

- Żebyś udaru nie dostała, bo jeszcze zgłupiejesz.

- Za to tobie już to nie grozi - odgryzła się. - Zniknęli, zauważyłeś? - zapytała chwilę później.

- Kto? - wymamrotał z policzkiem wciśniętym w zasypany piaskiem ręcznik.

- Śnieżka i Wiking. Nie wiedziałam ich od paru dni.

- Pewnie wyjechali. Może trochę zarobili, kręcąc się po lunaparku, i pojechali dalej w Polskę? Jest środek sezonu, pewnie chcą zarobić.

- Szkoda. Uwielbiałam słuchać, jak on gra.

- Uwielbiałaś się gapić na nią.

- To też. - Hanka uśmiechnęła się.

- Może wrócą za rok?

- Chciałabym - powiedziała, a on obrócił się na bok, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Słono smakujesz. Piłaś wodę z Bałtyku?

- Ochlapałam sobie twarz - powiedziała, kiedy już oderwali od siebie usta. - Okropnie chce mi się pić. Wracamy do miasteczka?

- Już?

- A jak długo chcesz tu tkwić? Jest okropnie gorąco.

- No dobra, jak chcesz. Czekaaj, tylko chwilę popływam. - Artur wstał z ręcznika, pochylił się, żeby cmoknąć Hankę w pośladek, i biegiem ruszył w stronę wody.

- Czy ty mnie właśnie pocałowałaś w tyłek?! - krzyknęła.

- To jest miłość, rozumiesz?! - odkrzyknął.

Roześmiała się, usiadła na ręczniku i splotła długie jasne włosy w luźny warkocz. Kwadrans później jechali drogą w stronę miasteczka. Kiedy minęła ich ciężarówka, Hanka zaczęła się zastanawiać, co powie w domu. Wymknęła się zaraz po śniadaniu, nie mówiąc, dokąd jedzie. Teraz dochodziło południe i mama pewnie będzie wściekła. To, że były wakacje, nie znaczyło, że mogła się włóczyć. Rodzice zawsze trzymali ją krótko, co zazwyczaj ją wkurzało, a tylko czasem rozczulało.

- Pedałuj, pedałowuj! - ponaglił ją jadący za nią Artur.

- Chce mi się pić! - krzyknęła.

- W domu się napijesz.

- Czyli za jakieś trzy kilometry - marudziła. - Po cholereę pojechaliśmy tak daleko?!

- Żeby się przejechać! - odkrzyknął Artur.

- Przejechać się - mruknęła pod nosem.

Bolały ją łydki, piekły spalone słońcem ramiona i pobolewała głowa, pewnie od upału. Najgorsze było jednak pragnienie. W ustach zaschło jej na wiór, a zbyt słodka oranżada, którą wspólnie wypili, tylko pogorszyła sprawę.

- A wiedziałaś, że żona Józka Głęba zaszła z Ryśkiem Oleśnickim? - odezwał się Artur.

- A skąd ty wiesz takie rzeczy? - zdziwiła się Hanka.
- Podśluchałem, jak mama gadała z ojcem.
- Głęb ją bił, nie dziwię się, że poszukała sobie innego.
- No, ale jakoś od niego nie odchodzi?
- Może lubi życie jak z telenoweli? - skwitowała Hanka niezbyt zainteresowana tematem.

Jadźkę Głęb znała jedynie z widzenia. Kobieta była grubo po trzydziestce i zupełnie jej nie obchodziła. Jej mąż Józek bywał czasem w pubie Kapitan, gdzie przesiadywali z Arturem na zapleczu. Odkąd kuzyn jej chłopaka dostał tam pracę, zachodzili do knajpy dość często w nadziei, że uda im się wyżebrać kilka łyków piwa i podpatrzeć stałą klientelę portowej speluny. Ale w sumie Głębowie niewiele ją obchodzili. A już na pewno nie interesowało jej, z kim była w ciąży gruba i okrągła na twarzy Jadźka Głębowa.

- Widzimy się dziś wieczorem? - zapytał Artur, kiedy przystanęli na rozstaju dróg, gdzie zazwyczaj się żegnali i on jechał w stronę portu, do siebie, a ona do centrum, gdzie stał dom jej rodziców. - Przyjechać po ciebie czy widzimy się w lunaparku?

- Przyjedź.
- To cześć. - Artur skinął jej głową i ruszył w swoją stronę.
- Cześć - rzuciła w ślad za nim, ale on już pędził w dół ulicy, stojąc na pedałach, z tyłkiem wysoko nad siodełkiem i pochylonymi nad kierownicą plecami.

Wariat, pomyślała Hanka, patrząc za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem. Do domu dotarła kilka minut później, powtarzając sobie w duchu bajeczkę, jaką miała zamiar wcisnąć matce.

- Byłam u Beaty, szyłyśmy kieckę na urodziny jej siostry - powiedziała szeptem, odstawiając rower do garażu, jakby chciała przećwiczyć wymyślone naprędce kłamstwo. - Mamo, pić! Jest

jeszcze kompot?! – krzyknęła, wchodząc do domu.

Matka nie odpowiedziała, co w sumie ją ucieszyło. Pewnie jest u sąsiadki, pomyślała, nalewając sobie wody. Kompotu nie znalazła. Ze szklanką w dłoni swoim zwyczajem usiadła na parapecie, wystawiając nogi na zewnątrz przez otwarte na oścież kuchenne okno. Dopijała wodę, kiedy za pergolą z wiciokrzewem zauważyła coś dziwnego. Siedziała zbyt daleko, żeby dostrzec detale, ale wydawało jej się, że zza drewnianej konstrukcji obrośniętej kwitnącymi pnączami wystaje czyjaś łydka. Mama zasnęła w ogrodzie na takim słońcu, przeszło jej przez myśl, kiedy zeskakiwała z parapetu na zadbane trawnik. Matka leżała na wznak w dziwnej i niepokojącej pozycji. Włosy przestaniały część twarzy, oczy miała otwarte, patrzyły w lazurowe niebo nad jej głową.

– Mamo? – Hanka zatrzymała się obok niej, wciąż bardziej zszokowana i zaskoczona niecodziennym widokiem niż przestraszona.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że matka nie śpi.

– Mamo?! – Kurczowo ścisnęła szklankę, która rozpadła się na kawałki, kalecząc jej dłoń.

Ale nie czuła bólu, nie zwracała też uwagi na krew, która kapła na trawę. Widziała tylko sine wargi matki, jej martwy, nieruchomy wzrok i półotwarte usta, które zastygły w ostatnim oddechu.

– Mamo, wstań! Obudź się, proszę cię! – krzyczała, padając na kolana i szarpiąc zmarłą za rękę.

Sąsiadkę, która przybiegła, gdy usłyszała rozpaczliwe krzyki, i usiłowała postawić Hanke na nogi, odepchnęła i z płaczem przywarła do martwego ciała matki, wtulając się w nie jak dziecko.

- Mamo, obudź się - powtarzała, zanosząc się płaczem.

Ojciec pojawił się godzinę później. Blady, z podkrążonymi oczyma i przekrzywionym krawatem. Rzuciła mu się na szyję, chociaż nie tuliła się do niego, odkąd skończyła jedenaście lat, a on niezdarnie ją objął i pogłodził po plecach.

- Czemu? Co jej się stało? - wyłkała.

- Miała słabe serce, przecież wiesz - powiedział cicho.

- Nieprawda! Nigdy nie chorowała, nie powinna umrzeć! Była jeszcze młoda, była moją mamą! - krzyknęła Hanka, przysiadając na kamiennym murku.

Kiedy ją zabierali, schowała się w domu. Nie potrafiła patrzeć na tych obcych mężczyzn z ponurymi twarzami, którzy przyszli po mamę.

- Jesteś już duża, musisz być dzielna - powiedział jej ojciec tego wieczoru. - Mama chciałaby, żebyś jakoś sobie z tym poradziła.

- Nie wiesz, czego by chciała, bo nigdy cię tu nie było! - krzyknęła Hanka.

- Pracowałem, nie rozumiesz tego? - zapytał zmęczonym głosem.

- Czemu ona? - wyłkała Hanka. - Czemu nie stara Wiśniewska albo nie ta stara krowa nasza fizyczka?! Czemu mama?

- Wszyscy kiedyś umrzemy, takie jest życie - powiedział cicho ojciec.

- Nawet nie płaczesz - zarzuciła mu nienawistnym tonem.

- Mężczyźni nie płaczą.

- Nie kochałeś jej, prawda? Od dawna jej nie kochałeś!

- Nie mów bzdur, Hanula! Nie w dniu, w którym odeszła twoja matka!

- Mówię prawdę, tato! Nie kochałeś jej i nie kochasz mnie! - krzyknęła i chociaż ojciec usiłował ją zatrzymać, wybiegła w noc

i gnała przed siebie, aż dotarła na skraj lasu, gdzie upadła na ściółkę i szlochała otulona kojącą ciemnością parnej lipcowej nocy.

21

- Hanka? Hanka! Spadły mi okulary! - krzyknęła z salonu Teresa.

Schowała do lodówki pikle, które kupiła w drodze do domu macochy, i ruszyła z odsieczą.

- Proszę. - Podała Teresie okulary w niemodnych oprawkach i usiadła obok niej na starej, sfatygowanej kwiecistej sofie. - Co oglądasz?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - Hanka lekko się uśmiechnęła i podsunęła w stronę macochy talerz z upieczonymi przez siebie ciastkami. - Wyszły jakoś dziwnie, chyba coś pochrzaniłam z przepisem, ale dramatu nie ma - powiedziała, sięgając po jedno z ciastek.

- Złe nie są. - Teresa ugryzła ciastko i zapatrzona w ekran zapytała Hankę, co planują na święta. - Wyjeżdżacie gdzieś?

- Nie mam pojęcia. Jest dopiero październik. - Wzruszyła ramionami. - A nawet jeśli gdzieś pojedziemy, kolację wigilijną zrobię jeszcze w domu, przecież wiesz.

- Jeśli tylko ze względu na mnie, to się nie trudź - trochę zgryźliwie skwitowała Teresa.

- Nie tylko ze względu na ciebie, okay? - Hanka strzepnęła ze swetra kilka okruchów i wstała, żeby zaparzyć herbatę.

- Myślisz czasem o niej? - zapytała Teresa, która chwilę później o kulach dokuśtykała w ślad za pasierbicą do kuchni.

Hanna znieruchomiała, zaskoczona niespodziewanym pytaniem.

- Od lat o niej nie rozmawialiśmy - powiedziała cicho.

- No to pytam cię dzisiaj. - Teresa ciężko sapnęła i z ulgą opadła na krzesło.

- Nie chcę o tym mówić! - W głosie Hanny pojawiła się ostra nuta.

- Czemu? Mogłybyśmy czasem...

- Nie-chcę-o-tym-mówić! - wycodziła. - Przygłuchłaś po tych lekach?!

- Wybacz. Nie chciałam cię rozdrażnić, chociaż zauważyłam, że ostatnio stale chodzisz podminowana...

- Ciekawe czemu! - Cisnęła do zlewu łyżeczkę, którą przed momentem pomieszała obie herbaty, i posłała macosze złe spojrzenie. - Wszystko jest na mojej głowie, nie rozumiesz?! Praca, dom, Marek, fochy Zuzy, ty!

- No tak, ja... Kamień u szyi, który w spadku zostawił ci ojciec... Nienawidziłaś mnie przez całe lata, a teraz nagle robisz mi na kolację kanapki z tuńczykiem...

- Nie nienawidziłam cię, Teresa. Byłam po prostu smarkulą, która nie mogła się z pewnymi sprawami pogodzić.

- Nienawidziłaś mnie. Ale jakoś to rozumiem. - Posłała jej krzywy uśmiech i sięgnęła po tabletki. - Jedź już do domu, wyglądasz na wykończoną.

- Dzień jak co dzień - mruknęła Hanka, stawiając przed macochą kubek z ciepłą herbatą. - Od dawna nie jestem na ciebie wściekła i nie mam żalu. Było, minęło. Nie twoja wina, że życie mojej mamy tak się potoczyło, i nie twoja wina, że z wzajemnością pokochałaś mojego ojca.

- Nie moja? A czyja? - Teresa roześmiała się gorzko. - Przecież wiedziałam, że on jest żonaty, kiedy pierwszy raz poszłam z nim do łóżka. Wiedziałam, że ma ciebie, że dom, że żona, że nie powinnam... A jednak to, co było między nami, było silniejsze.

- Teresa, nie mam siły o tym mówić. Nie teraz. - Upiła kilka łyków herbaty i odstawiła garnuszek do zlewu. - Myć tych garów też nie mam siły. Poproś jutro opiekunkę, żeby ogarnęła kuchnię, w końcu za coś jej płacimy.

- Poproszę - odparła Teresa zmęczonym głosem.

- Pojadę już. Marek ma dziś wcześniej wrócić, może uda się nam zjeść razem kolację i obejrzeć jakiś film. - Na myśl o mężu lekko się uśmiechnęła.

- Jedź, poradzę sobie. Już nawet te kule tak mi nie przeszkadzają jak w pierwszych dniach.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Dobra, to jadę. - Sięgnęła po siatkę z niewielkimi zakupami, które zrobiła przy porcie, pocałowała macochę w policzek i ruszyła w stronę drzwi.

Do mieszkania dotarła kilka minut później. Czuła się wyjątkowo zmęczona i bolało ją gardło. W dodatku Marka nadal nie było, chociaż obiecywał wcześniejszy powrót, a naburmuszona córka ślęczała w kuchni nad zadaniem z matematyki.

- Cześć, Kluska. Co tam? - zapytała Hanka, zapalając dodatkowe światło nad stołem. - Ciemno tu miałaś.

- Spoko. I nie mów do mnie Kluska, ile razy mam ci powtarzać?

- mruknęła Zuza, nie odrywając wzroku od zeszytu.

- Jesteś głodna?

- Nie, jadłam chipsy.

- A zupę?

- Nie.

- Odgrzać ci?

- Nie.

- Okay, widzę, że więcej z ciebie nie wyciągnę. - Pocałowała

córkę w czubek głowy i dodała, że idzie pod prysznic.

- Spoko - rzuciła młoda i włożyła do ust końcówkę niemiłosiernie pogryzionego ołówka. - A, tato dzwonił. Jednak będzie późno.

- Świetnie - mruknęła Hanka, ściągając koszulkę.

- Ej, nie rób striptizu na środku kuchni!

- A co? Baby w staniku nie widziałaś?

- Sąsiedzi też cię zobaczą, bo rolety są w górze - powiedziała Zuza kąśliwym tonem.

- Coś cię dziś w dupcię ugryzło, córuś? - zapytała, ale młoda nie raczyła odpowiedzieć. - Dobra, już się przemykam. - Zamknęła się w łazience, zrzuciła resztę ciuchów i weszła pod prysznic.

Mydląc się, pomyślała o Marku. Dawniej przynajmniej kilka razy w miesiącu brali wspólny prysznic, ale ostatnio mąż wracał do domu styрани jak koń po westernie i nawet nie patrzył w jej stronę. Goląc nogi, usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się kochali, i wyszło jej, że w lipcu, po suto zakrapianym alkoholem grillu u Kiciusia.

- Ponad trzy miesiące temu - mruknęła, owijając włosy frotowym ręcznikiem.

- Słyszę, jak znowu do siebie gadasz! - rzuciła zza drzwi jej córka, która przechodziła korytarzem.

- Ty nigdy do siebie nie gadasz?! - odskrzyknęła Hanka rozbawiona jej uwagą.

- Nigdy! - wrzasnęła młoda, zanim trzasnęły drzwi od jej pokoju.

- Akurat... - Hanka uśmiechnęła się pod nosem i sięgnęła po brązujący balsam do ciała.

To, że jest jesień, nie znaczy, że dziewczyna nie może mieć lekko brązowych nóg, pomyślała. Nie, żeby zamierzała komuś je

pokazywać. Ostatnio na okrągło chodziła w starych spodniach khaki albo w spranych jasnych dżinsach, które dała jej córka.

Kilka minut później, kiedy odświeżona wyszła z łazienki, młoda poprosiła ją o stówkę na kilka kosmetyków.

- Weź sobie z mojej portmonetki.

- Super, dzięki! - ucieszyła się Zuza.

- Mam ochotę na grzanki, zjesz? - zapytała Hanka.

- Nie.

- A zapiekankę z podwójną ilością sera?

- Żeby mi podwójnie w dupę wszedł? Nie, wielkie dzięki.

- Od kiedy liczysz kalorie? - zdziwiła się Piasecka.

- Od kiedy urósł mi zad.

- Przecież jesteś szczupła.

- Jeszcze - rzuciła młoda, odkładając na komodę portmonetkę matki.

- Pamiętasz, jak piekłyśmy razem babeczki? Może w sobotę...

- Sorry, ale w sobotę idę z dziewczynami do kina - weszła matce w słowo i ze stówką w ręce zniknęła w swoim pokoju.

- Jasne, z dziewczynami - mruknęła Hanka, wyjmując z chlebaka kawałek podeschniętej bagietki.

Grzanki zjadła sama, córka nie chciała nawet jednej. Później wybrała numer męża, ale Marek nie odebrał. Wszyscy mnie olewają, pomyślała, samotnie tkwiąc za kuchennym stołem. Córka się ode mnie opędza, mąż od jakiegoś czasu stał się w domu gościem, a przyjaciele...

- Jacy przyjaciele? - szepnęła, skubiąc rąbek wyhaftowanego lata temu przez mamę obrusa, który był jedną z jej ukochanych pamiątek po niej. - Mam tylko męża, który mnie ignoruje, i córkę, której jestem potrzebna głównie do wypłacania kasy i robienia prania.

- Znowu gadasz do siebie! - krzyknęła ze swojego pokoju młoda, a Hanka ponownie skwitowała to uśmiechem.

- Chodź do mnie, Kluska! Dawno nie rozmawialiśmy!

- Nie mam czasu, sorry! - odpowiedziała Zuza, zanim włączyła dudniącą rapową muzykę.

Myła naczynia, kiedy odezwała się jej komórka.

- Hanka, słuchaj, będę jutro - usłyszała głos męża.

- Jak to jutro? - zdziwiła się.

- Tak wyszło, sprawy mi się tu nawarstwiły.

- A gdzie właściwie teraz jesteś?

- W Grudziądzu, miałem spotkanie z potencjalnym klientem i coś się...

- Kto się tam śmieje? Słyszę jakąś kobietę - przerwała mu Hanka.

- W telewizji, oglądam Comedy Central.

- Jesteś w hotelu?

- Tak, muszę tu zostać na noc.

- Marek, ale co się...

- Powiem ci jutro, teraz muszę jeszcze do kogoś zadzwonić - splawił ją mąż. - Pa, mała. Do jutra.

- Pa - odpowiedziała, ale w słuchawce była już cisza.

Odkładając telefon na komodę, poczuła się rozpaczliwie samotna. Jeszcze niedawno myślała, że ma udaną, kochającą rodzinę. I nagle się okazało, że czas spędza tylko w swoim towarzystwie, pijąc podkradane mężowi piwo, a później zasypia przed telewizorem z pilotem boleśnie uwierającym w udo.

- Mamo, w sumie to potrzebowałabym jeszcze tak z trzech dych, bo Ewelina mówi, że...

- Przed chwilą dałam ci stówkę - weszła w słowo córce, która zniecka pojawiła się w kuchni.

- Tak, ale Ewelina...
 - Zuza, więcej ci nie dam. Chcesz, to poproś ojca.
 - A widzisz go gdzieś? Bo ja ostatnio mam wrażenie, że częściej widuję pana Romana spod trójki niż jego.
 - Już nie bądź taka wygadana, co? A trzy dychy dam ci jutro.
 - Ale jutro będzie za późno, bo Ewelina mówi, że ten krem...
 - Krem? Po co trzynastolatce krem?
 - No nawilżający, nie? - Wyglądała na ubawioną matczynym pytaniem.
 - Nawilżający? W twoim wieku używałam wyłącznie kremu Nivea.
 - Tak, wiem, wiem. A zamiast pod pasek nosiłaś pewnie jakieś szmaty, jak prababcia podczas okupacji - zakpiła Zuza.
 - Bez przesady, aż w takim ciemnogrodzie nie dorastałam - burknęła Hanka urażona uwagą młodej, ale córka zdążyła się już ewakuować z kuchni.
- Skończyła zmywanie naczyń, kiedy Zuza zamknęła się z telefonem w łazience. Hanka miała ochotę zastukać do drzwi i zapytać młodą, do kogo dzwoni, ale wiedziała, że to raczej nie poprawi ich napiętych ostatnio relacji. Włączyła więc radio i słuchając informacji o karambolu na trójmiejskiej obwodnicy, podjadała otwarte przez Zuzę paluszki. Dopiero kiedy zjadła prawie pół paczki, zdała sobie sprawę, że znowu się obżera, i schowała je do szuflady.
- Mamo, muszę wyjść! - krzyknęła córka z przedpokoju i nie czekając na odpowiedź, złapała kurtkę.
 - Chyba żartujesz? O tej porze?!
 - No na chwilę, nie panikuj.
 - Zuza, mowy nie ma, żebyś teraz wyszła! - podniosła głos Hanka.

- No to patrz! - Młoda z kurtką na plecach i adidasami w dłoni wyslizgnęła się przez frontowe drzwi.

Hanka ruszyła w stronę przedpokoju, ale kiedy wyszła na klatkę, na wycieracze zastała już tylko bambosze krnąbrnej córki.

- Zuzka, wracasz tu zaraz albo pożegnasz się z kieszonkowym!
- wrzasnęła, wychylając się przez barierkę.

- *Whatever!* - odkrzyknęła młoda z pierwszego piętra i po chwili na klatce zapadła cisza.

Hanka zatrzęsnęła frontowe drzwi i usiadła w ciemnym salonie. Sposób, w jaki jej córka wyszła z domu, wstrząsnął nią i totalnie zszokował. Okay, od jakiegoś czasu młoda się stawiała, ale tak bezczelnej akcji jeszcze nigdy nie odstawiła. Musimy z Markiem zewrzeć szyki i ostro sobie z nią pogadać, pomyślała. W przeciwnym razie niebawem smarkula wejdzie nam na głowy. A tymczasem pożegna się z laptopem, zdecydowała Hanka, wchodząc do pokoju córki i podnosząc z biurka jej nowego notebooka. Owszem, czasem potrzebowała Internetu, żeby odrobić lekcje, ale to mogła zrobić przed wspólnym domowym komputerem. O pogawędkach z koleżankami, a nie daj Boże ze swoim chłopakiem, mogła zapomnieć. A jak dalej będzie fikać, pożegna się też z komórką, powiedziała sobie Hanka i od razu lepiej się poczuła. Nie była co prawda pewna, czy tak agresywna polityka zakazów i nakazów da jakiegokolwiek pozytywne efekty, ale wszystko było lepsze od bezczynnego przyglądania się kolejnym wyskokom zbuntowanej smarkuli.

22

Była szósta czterdzieści osiem, kiedy na kuchenną podłogę z brzękiem upadł niewielki rondel.

- Cholera - szepnęła Matylda, która próbując ogarnąć zabałaganioną kuchnię, narobiła hałasu i pewnie obudziła z pół kamienicy.

Ścierała sos, który rozchlapał się z rondla i zabrudził szafki, kiedy w kuchni, szeroko ziewając, pojawił się w Jeremi.

- Hej. Sorry, jeśli cię obudziłam. - Posłała mu skruszone spojrzenie i cisnęła do zlewu ścierkę.

- Jeszcze tam. - Ubrany w wymięty podkoszulek i czarne bokserki, Jaromirski palcem wskazał ominięty przez nią zaciek z pomidorowego sosu. - I już nie spałem - dodał.

- Ufff. - Matylda szeroko się uśmiechnęła, starła z kuchennej szafki resztę sosu i zapaliła światło nad kuchenną wyspą. - Masz ochotę na kawę?

- Jeśli zaparzysz.

- Leniwiec z ciebie - rzuciła wesoło.

- Po prostu chcę wziąć prysznic. - Wzruszył ramionami.

Kiedy wyszedł, dziewczyna zdała sobie sprawę, że ma na sobie kusą satynową koszulkę, i nagle poczuła się nieswojo. Owszem, często bywała w mieszkaniu Mateusza i zaczęła się już tu czuć niemal jak u siebie, ale swobodny poranek w towarzystwie przystojnego aspiranta Jaromirskiego to całkiem inna sprawa, pomyślała, włączając ekspres.

Zanim Jeremi wynurzył się z łazienki, zdążyła się przebrać

i spiąć włosy w kucyk. Pysznic może poczekać, zdecydowała.

- Dziwnie się czuję, mając osobistego ochroniarza. - Mrugnęła do niego, kiedy ubrany w beżową koszulkę polo i ciemne dżinsy pojawił się w kuchennej wnęce.

- Nie przyzwyczajaj się - powiedział rozbawiony jej uwagą i sięgnął po kubek z kawą. - Dzięki.

- Skąd ta twoja uroda? Wyglądasz nieco egzotycznie - spytała ciekawsko.

- Moja mama była Wietnamką.

- Była?

- Nie żyje.

- Przykro mi. - W oczach Matyldy pojawił się smutek. - Była w Polsce szczęśliwa? No wiesz, z twoim tatą? Musiało jej być ciężko. Daleki kraj, zupełnie inna mentalność, ostry klimat.

- Nie narzekała - uciął dyskusję.

Za matką tęsknił każdego dnia, myślał o niej, wspominał, ale nie lubił o niej rozmawiać z obcymi osobami, nie potrafił się otworzyć. Zresztą jak miałyby wytłumaczyć tej beztroskiej młodej dziewczynie, jakim piekłem bywało życie jego matki? Ojciec, oficer nawigacyjny na zbiornikowcach, pływał i miesiącami nie było go w domu. A kiedy wracał, wpadał w alkoholowe ciągi i stawał się agresywny. Nigdy jej nie bił, jednak urządzał karczemne awantury, wrzeszcząc na nią i wyzywając, a kiedy płakała skulona w kuchennym kącie, wychodził, trzaskając drzwiami. Opamiętał się dopiero po wypadku, jaki spowodował, prowadząc pod wpływem. Nikogo nie zabił, ale wjechał w stojący na skraju drogi dom i tylko cudem wyszedł z tego żywy. Jeremi pamiętał tamten dzień, brakowało tygodnia do jego pierwszej komunii.

Ojciec poszedł na odwyk, coraz więcej pracował i bywał

gościem w domu. Od wypadku nigdy więcej nie upił się na tyle, żeby stracić nad sobą kontrolę, ale małżeństwo jego rodziców było już martwe, wypalone. Gdy ojciec był w kraju, mieszkali pod jednym dachem i spali w jednym łóżku, a jednak sprawiali wrażenie obcych sobie ludzi, których ślepy los połączył przypadkiem i bez sensu. Mama marnie mówiła po polsku, przerastała ją chyba nauka. To też zawsze ojca złościło, chociaż sam wietnamskiego nie znał i nawet nie starał się go nauczyć. Czasem próbowali rozmawiać po angielsku, ale wychodziło im to jakoś tak... koślawo.

Jeremi świetnie pamiętał ulgę w wielkich ciemnych oczach matki, kiedy ojciec pakował się na kolejny rejs. I jego świetny nastrój, kiedy radośnie pogwizdując, opuszczał dom, zostawiając na jej głowie codzienne zmartwienia i opiekę nad dwoma synami. Kiedy wyjeżdżał, mama rozkwitała, jakby ktoś zdejmował jej z ramion ciężar. Śpiewała w swoim języku, rozpuszczała włosy, wpinając w nie kolorowe kwiaty, kupowała ukochane pralinki i tańczyła pośrodku niewielkiego salonu, kalecząc przeboje Ewy Bem, Maanamu i Urszuli. Uwielbiał, kiedy próbowała śpiewać po polsku, przekręcając słowa i ich znaczenia. Te chwile wspominał najchętniej. I jeszcze ich wspólne wieczory w pobliskim parku, wołowinę z patelni serwowaną z warzywami, którą podawała co piątek, placuszki z krewetkami, po które jeździła na drugi kraniec miasta, i zapach jej mocnych orientalnych perfum, którymi skrapiała się przez długie lata.

Wszystko to miał przed oczyma, gdy myślał o matce. A jednak nie chciał o niej mówić, nie potrafił. Bo myśląc o tamtych latach, czuł bezbrzeżny, wszechogarniający smutek. Bywała nieszczęśliwa, wiedział o tym, nawet będąc dzieciakiem. Tęskniła za rodziną, za swoim krajem, za tamtejszą kuchnią i siedmiorgiem

rodzeństwa. Czasem wydawało mu się, że ojciec wyrwał ją z korzeniami z jej życia, i miał o to do niego żal. Myślał, że to nie była miłość, tylko egoizm ojca, który zauważył ją podczas jednej ze swoich podróży, zauroczył się nią na jedną krótką chwilę i dla własnego kaprysu sięgnął po nią, jak zrywa się zachwycający egzotyczny kwiat. Tyle że nie potrafił o ten kwiat zadbać i matka wiedła z dnia na dzień, aż się rozchorowała i zmarła, a oni zostali w trójkę w swoim chłodnym męskim świecie – starszy brat, ojciec i on, Jeremi.

- Zamyśliłaś się – wyrwała go z zadumy Matylda.

- Wybacz, przypomniały mi się stare czasy.

- Złe wspomnienia?

- Mieszane. – Uśmiechnął się blado i dopił kawę. – Siedź dzisiaj w mieszkaniu, okay? Ja zaraz muszę lecieć, ale ty nie wychodź nawet na plażę.

- Chcesz mnie tu uwięzić? – zapytała kokieteryjnym tonem.

- Chcę, żeby nie dorwał cię żaden szemrany typ. I proszę, postaraj się nie zbagatelizować sytuacji! – rzucił ostrym tonem, którym chyba ją uraził.

- Dobra, bez spiny. Nie jestem idiotką – burknęła i z kubkiem kawy w dłoni ruszyła w stronę korytarza.

Kiedy Jaromirski wyszedł, wzięła szybki prysznic, zrobiła sobie śniadanie i z pilotem w dłoni usiadła przed plazmą, ale nie potrafiła się skupić na niczym, co tego ranka szło w telewizji. I nagle poczuła się jak w więzieniu, w pułapce własnego strachu. Muszę stąd wyjść, zdecydowała. Przejść się po plaży, zobaczyć ludzi, uwierzyć, że gdzieś dookoła toczy się jeszcze normalne życie, powiedziała sobie. Makijaż nałożyła, żeby ukryć resztki „zdobiących” jej twarz zasinień. Szminkę sobie darowała, nie dbała też o to, że włosy ma byle jak spięte, było jej wszystko

jedno. Dziewczyna, którą jeszcze niedawno była - zadbana, radosna i pewna siebie - zniknęła. Jej miejsce zajęła zaszczuta, przerażona panikara, której coraz bardziej nie lubiła.

Zamykając mieszkanie, rozejrzała się po pustym korytarzu, ale nic nie wzbudziło jej niepokoju. W pierwszej chwili chciała iść na tutejszą plażę, z apartamentu Mateusza było znacznie bliżej niż od niej. Jednak po chwili pomyślała o Gdyni. Tam się wychowała, w starym bloku na Oksywiu, w którym do dziś mieszkała jej babcia, i tam czuła się bezpiecznie. Gdynia była jej najukochańszym miejscem na Ziemi, oazą, do której uciekała, kiedy było jej źle.

W drodze na stację zaczepił ją młody mężczyzna. Zaszedł jej drogę zbyt nachalnie i poczuła się zagrożona. Ale on tylko chciał się dowiedzieć, którędy na molo. Wskazała mu drogę, wzięła kilka głębokich oddechów i szybkim krokiem dotarła na peron. Eskaemka podjechała od razu i o dziwo, była w miarę pusta. Matylda uśmiechnęła się pod nosem, wsiadając do obskurnego wagonu szybkiej kolejki. Odkąd ojciec kupił jej auto, nie musiała jeździć środkami komunikacji publicznej, a jednak tego dnia poczuła się znacznie pewniej wśród otaczających ją współpasażerów. Usiadła przy oknie, wciąż czujna i spięta, jakby spodziewała się, że jej oprawca wpadnie do wagonu i wywlecze ją na peron, żeby znowu ją pobić. Wiedziała, że to idiotyzm, a jednak panika ponownie zacisnęła palce na jej gardle. Może Jeremi miał rację? Może nie powinnam wychodzić z mieszkania? Ale czy w apartamencie Mateusza byłam tak do końca bezpieczna, zastanawiała się, obserwując mijane przez pociąg sopockie wille.

Byli w Orłowie, kiedy zamknęły się drzwi kolejki i usiadł obok niej dobrze zbudowany młody mężczyzna w pikowanej kurtce, a ona znowu się spięła. Już zawsze będę się bać obcych czy to

tylko chwilowe? – przeszło jej przez myśl. Wysiadła na Wzgórzu Świętego Maksymiliana i pieszo ruszyła w stronę nadmorskiego bulwaru. Na Piłsudskiego zauważyła dziewczynę, z którą kiedyś chodziła do liceum, ale nie była w nastroju do pogawędek, więc minęła ją, udając, że jej nie widzi. Na szczęście Marta jej nie rozpoznała. Szła, głośno paplając przez komórkę, i nie zwracała uwagi na otoczenie.

Była na Polance Redłowskiej, kiedy zaczął się jej przyglądać starszy facet z psem. Spierdalaj, pomyślała, odwracając się do niego plecami, ale chociaż jeszcze przed momentem miała ochotę na spacer po lesie, zawróciła i zeszła na plażę. Patrząc na lekko wzburzone morze, pomyślała o Mateuszu. Nadal tkwił w areszcie i nie było nikogo, kto podałyby mu rękę. Jeremi robił, co mógł, ale czy uda mu się odkryć, co tak naprawdę zaszło tamtej nocy? Sama też niewiele wiedziała. Jedno, czego była pewna, to fakt, że Mateusz jej nie zaatakował. Na wspomnienie napastnika drgnęła i obejrzała się przez ramię. Jego oczy wyzierające z czarnej kominiarki zdawały się zimne i obojętne. Godzinami analizowała wspomnienia. To, jak ją bił i kopał, nie mówiąc przy tym ani słowa. Jak nabazgrał na ścianie „QRWA” i jeszcze raz ją kopnął, zanim wyszedł. Jak zdemolował jej salon, czerpiąc wyraźną przyjemność z rozbijania kryształowych wazoników i niszczenia rzeczy, które z taką radością kupowała, gdy urzędowała otrzymany od ojca dom. Nagle pomyślała o Renacie. Nie powinna myśleć o niej źle, w końcu jej przyrodnia siostra nie żyła, a jednak nie potrafiła się pozbyć myśli, że być może to ona maczała palce w napadzie na nią. Nienawidziła jej. Zazdrościła jej więzi, jaka wytworzyła się między nią a Mateuszem, i gdyby mogła, pewnie wydrapałaby jej oczy. Ale ją też ktoś skrzywdził, więc może to jednak fałszywy trop, zastanawiała się Matylda, ruszając

bulwarem w stronę centrum.

Była na wysokości Kamiennej Góry, kiedy ktoś złapał ją za ramię. Podskoczyła przerażona, a chłopak, który ją zaczepił, zrobił głupią minę.

- Sorry, wziąłem cię za kogoś innego - bąknął, zaskoczony.

- Spadaj - syknęła, strącając jego dłoń ze swojego ramienia.

- I po co od razu tak ostro? Pomyliłem się, bywa - mruknął wyraźnie urażony.

Minęła go bliska łąz i usiadła na kamiennym falochronie. Mewy darły się nad jej głową, krążąc w poszukiwaniu pożywienia, a może po prostu kołując nad plażą. Ostatnio wyczytała, że są wszystkożerne. Jedzą glony, atakują mniejsze ptaki, mogą się pożywiać nawet szczurami. Skrzywiła się na tę myśl i włożyła ręce do kieszeni, bo dzień był chłodny i wietrzny. Zakładając kaptur, spojrzała na budkę z kawą i zdecydowała, że wypije tego ranka jeszcze jedną. Co lepszego miała do roboty? Z kubkiem w dłoni szła dalej, analizując w myślach ostatnie tygodnie. I nagle, gdy pomyślała o tym, czego nie powiedziała policji, dopadły ją wyrzuty sumienia.

Wpadli na siebie na molo w Orłowie. Kupowała loda, kiedy ją zagadnął. Prawdziwy przystojniak, totalnie w jej typie, a ona z nikim nie była związana, więc poszła na całość. Miał na imię Mikołaj, ciemne oczy, kilkudniowy zarost i ładne, szczupłe place. Noc spędzili u niej, rano zrobił dla niej śniadanie i obiecał, że zadzwoni, ale już nigdy się do niej nie odezwał. Wiedziała, że powinna, a jednak nie potrafiła powiedzieć o tym policji. Nie potrzebowała łatki kurewki, którą pewnie by jej przypięli. To takie niesprawiedliwe, pomyślała. Faceci cieszą się życiem, płynąc sobie przez nie o wiele bardziej bezrefleksyjnie, a my zawsze mamy wyrzuty. Więc przespałam się z przygodnie

poznany kolesiem, wielkie mi coś, skwitowała w duchu. Zresztą to nie mógł być on, nie mieściło się jej to w głowie. Był miły, wyglądał jej na wrażliwca, i nawet jeśli chamsko ją olał i nigdy więcej się nie odezwał, nie powinna go podejrzewać o coś tak podłego. A może jednak powinnam? – zastanawiała się, mijając Contrast Cafe.

Widok urokliwej tawerny obudził wspomnienia. To tutaj pierwszy raz spotkali się z Mateuszem, kiedy się z nią skontaktował po tym, jak już poznała ich ojca. Tutaj usiedli przy kawie i zapatrzeni w siebie studiowali swoje twarze, nie mogąc uwierzyć, że tak po prostu, po latach nieświadomości, nagle odkryli w sobie nie tylko siostrę i brata, ale i pokrewne dusze. Polubili się od razu, już wtedy, przy tamtej kawie poczuła z nim silną więź, prawdziwe pokrewieństwo. Zaczęli coraz częściej się widywać, tęskniła za nim, dzwoniła, zapraszała go do siebie, a on chętnie z zaproszeń korzystał. Zazwyczaj rozmawiali, opowiadali sobie o dzieciństwie, które minęło im w skrajnie odmiennych klimatach, albo oglądali filmy, które on przynosił na pendrivie. Czasem zabierali na spacer jej psa. Bosman również lubił Mateusza, od razu go zaakceptował. Smutne, pomyślała Matylda, patrząc w stronę morza. Kiedy się dowiedziałam, że mam rodzinę, ojca, przyrodniego brata i siostrę, szalałam ze szczęścia. Ale tato był już wtedy chory, Mateusza ktoś wrobił w coś ohydneho, a Renata nie żyje. Nie, żebym za nią tęskniła, a jednak myśl o tym, że więcej się nie zobaczymy, boli, pomyślała ze smutkiem. A najbardziej bolało ją to, że nadal nie dostała zgody na widzenie z Mateuszem. Tkwił w policyjnym areszcie jak jakiś bandzior, a ona nie mogła nawet tam pójść i go pocieszyć... I chociaż była pośrodku bulwaru, po prostu się rozplakała.

23

- To co? Za Bugaja! Niech mu ziemia... - Kiciuś uniósł kufel i stuknął się z Hanką Piasecką.

- ...lekka będzie! Za Bugiego! - krzyknął podchmielony Marian Oziębłowicz i rąbnął w kufel Kiciusia tak mocno, że zabrzączało szkło.

- I niech piekło pochłonie jebanego skurwysyna, przez którego Bugi wacha kwiatki od spodu! - wrzasnął Kiciński, usiłując przekrzyczeć dochodzącą z głośników smętną muzykę.

Hanka dopiła czwarte piwo i odmówiła, kiedy Wojciech chciał jej przynieść kolejne.

- Nie chcę, jestem pijana! - zaprotestowała.

- Pijana to ty dopiero będziesz! - zapowiedział jej Marian, po czym dyskretnie czknął i duszkiem dopił swojego browara. - Kiciuś, skocz po kolejne! - krzyknął i Kiciński ruszył w stronę baru.

Siedzieli w Kapitanie trzecią godzinę, oblewając definitywne zamknięcie sprawy Krzysztofa, i chociaż brzmiało to bezdusznie, gdy napomykali o mordercy Bugiego, to wszyscy zgadzali się, że cieszy ich śmierć tego ścierwa.

- Myślicie o nim czasem? O tym bydlaku, który spłonął w samochodzie? Kiciuś przyznał, że ma nadzieję, że koleś cierpiął. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie czuję tego samego - podsumowała Hanka.

- Głodna jestem! - Prokurator Nina Morawska odłożyła komórkę i sięgnęła po przyniesioną przez barmankę szklanę ze

słonymi paluszkami.

- To chodźmy coś zjeść! - zaproponował Oziębłowicz.

- Ja się odchudzam! - krzyknęła Gośka, ale szybko została przegłosowana i gdy tylko Marian wypił przyniesione przez Kiciusia piwo, całe towarzystwo ruszyło w stronę niedawno otwartej pizzerii Soprano.

W lokalu było pustawo. Usiedli przy dużym stoliku usytuowanym przy oknie i czekając na kelnerkę, przekrzykiwali się, rozmawiając o sprawie tajemniczego zniknięcia Karoliny Lenart.

- Widziałam wczoraj na mieście Arka Bugaja - odezwała się Małgorzata, zmieniając temat.

- I co, kotku? Nie za młody, żebyś zwracała na niego uwagę? - Rozbawiony Kiciuś pocałował swoją dziewczynę w szyję.

- Nie mówię, że wpadł mi w oko. Mówię, że go widziałam!

- I?

- I był pijany.

- Młody jest, to chleje. Takie czasy. - Wojciech wzruszył ramionami.

- Bawi cię to? Zataczał się, nie rozumiesz? - zachnęła się Gośka.

- Pogadaj z nim, pewnie brakuje mu ojca. - Oziębłowicz spowaźniał. - Szczyl jest w trudnym wieku. Ile ma dokładnie lat?

- Skończył szesnaście - mruknął Kiciuś, pochmurniejac.

- Sami widzicie, trudny wiek - skwitował Marian. - Kurwa, zgaga mnie rąbie - dodał, krzywiąc się.

- Za dużo wódki - zarechotał Kiciuś, ale nikt się nie zaśmiał.

- I kto to mówi? - Oziębłowicz łypnął na Wojciecha spode łba i skinął na młodą kelnerkę. - Słońce, przyniosłabyś mi szklanekę mleka?

- Oczywiście - odparła z uśmiechem.
- Mleko po piwie? Szefie, litości - rzuciła Piasecka.

Na co Marian odparł, wzruszając ramionami:

- Starość nie radość, dzieci...
- Że niby szef jest stary?
- Po pięćdziesiątce to już nie jest pierwsza młodość...

- Pięćdziesiątka to nowa trzydziestka - zażartowała Morawska i wszyscy się roześmiali.

- Nadrabiamy minami, ale humor coś marny - zauważył Kiciuś, kiedy czekali na zamówione pizze.

- Bo i okazja mało śmieszna. Co z tego, że ten skurwysyn się uwędził, skoro Krzysiek wciąż nie żyje? - powiedziała cicho Hanka.

- A co? Liczyłaś na to, że Bugi zmartwychwstanie? - zakpił Wojciech.

- Byłoby dobrze - mruknął Marian, biorąc od kelnerki szklanke z mlekiem. - Dzięki, kochanie.

- Kochanie? Kurwa, kiedy wy, faceci, oduczycie się zwracać do kobiet per „skarbie”, „kochanie”, „słońce” czy „kwiatuszku”? - zapytała Nina ostrym tonem, ale nawet krzykliwa zazwyczaj Gośka nie podjęła tematu i rozmowa przy stoliku ucichła.

Zjedli w milczeniu zatopieni we własnych myślach, i Marian zaczął się zbierać.

- Żołądek mnie napierdala, muszę coś zażyć. Ale cieszę się, że wznieśliśmy parę toastów za Bugiego, gdziekolwiek ten skubaniec teraz jest - powiedział, wręczając Kicińskiemu pięćdziesiątkę. - Zapłacisz za mnie?

- Jasne, szefie. - Kiciuś wziął od niego kasę, a Marian klepnął go w plecy i sięgnął po kurtkę.

- Chce mi się płakać - odezwała się Gośka, kiedy czekali na

rachunek. - Ta sprawa z Krzyśkiem jest taka koszmarna...

- Chcesz, to płacz. Mam chusteczki. - Morawska uśmiechnęła się do niej.

- Moja niunia nie będzie płakać, bo rozmaże jej się makijaż. - Kiciuś przyciągnął Gośkę do siebie i pogłaskał po głowie. - Krzyśkowi byś się nie spodobała z rozmazanym pod oczyma tuszem, kocie, a idę o zakład, że gdzieś się tu teraz kręci, skoro tyle razy wspomnieliśmy dziś jego imię.

- Myślisz? - Gośka lekko się uśmiechnęła, a Hanka zerknęła w ciemny kąt lokalu, jakby spodziewała się zobaczyć czającego się w kącie ducha Bugaja.

- To co? Jeszcze po jednym? - zapytał Kiciuś, kiedy całą czwórką wyszli przed pizzerię.

- Ja odpadam, jutro muszę być w formie. - Nina zerknęła na zegarek i pocałowała w policzek stojącą najbliżej Małgorzatę. - Dzięki, że daliście mi znać. Miło było się z wami spotkać.

- Dzięki, że znalazłaś czas. - Wojtek żartobliwie jej zasalutował i Smoczyca ruszyła w stronę najbliższego postoju.

- No to zostaliśmy w trójeczkę. Proponuję jeszcze kupić flaszkę, ja stawiam. Na co macie ochotę, moje panie? - zapytał Kiciuś, kiedy smagani porywami lodowatego wiatru tkwili przed wejściem do pizzerii.

- Weź jakąś smakową wódkę - poprosiła Gośka. - Pigwę albo malinę, co dostaniesz.

- Hanka? Będziesz to pić? - upewnił się Wojciech.

- Ja tak, ale co z tobą? - Uśmiechnęła się krzywo.

- Zostałem przegłosowany, zresztą słynę z tego, że wleję w siebie wszystko, co ma procenty. Dobra, czekajcie tu, skoczę do delikatesów.

Wrócił dziesięć minut później z cytrynowką pod pachą.

- Tylko taką mieli.
- Wszystko jedno.- Gośka wzruszyła ramionami.
- Kurwa, jaki ziąb - zakląła Piasecka.
- To może chodźmy do nas? - zaproponowała Małgorzata.
- Mam lepszy pomysł - powiedział Wojciech, oddając Gośce swoje rękawiczki.
- Czyli?
- Zobaczycie. To niedaleko.
- Kiciuś, ale co?
- Zobaczysz. - Podał Gośce rękę i szybkim krokiem ruszyli wzdłuż chodnika.
- Ty chyba żartujesz? - Kiedy skręcili w stronę cmentarza, Małgośka przystanęła i lękliwie obejrzała się przez ramię. - Nie wejdę tam po ciemku! Zresztą brama i tak już jest zamknięta.
- Brama zamknięta, ale ogrodzenie niskie - mruknął Kiciuś i wdrapał się na kamienną podmurówkę. - Dalej, dziewczyny! Nie jest wysoko! - zachęcał je entuzjastycznie.
- Kurwa, Wojtek! To nie jest śmieszne!
- Czemu? Za kilka dni Wszystkich Świętych, trzeba odwiedzić kumpla - rzucił Kiciński zza ogrodzenia. - Hanka, daj dobry przykład i wskakuj!
- Dobra, skoro już tam wlaźleś. - Hanka wspięła się na płot i zwinnie z niego zeskoczyła.
- Podrę sobie spodnie! - jęknęła Gośka, ale w końcu i jej udało się przeleźć przez wystające z kamiennej podmurówki metalowe sztachety.
- Poświećcie mi pod nogi, dobre kobiety, bo jak stłukę wódeczkę, to będzie płacz i zgrzytanie zębów. - Kiciński ruszył wzdłuż wąskiej cmentarnej alejki, a Gośka wyjęła z kieszeni iPhone'a i włączyła zainstalowaną w nim latarkę.

- Jeśli zobaczę tu jakiegoś ducha, to już nie żyjesz, Kiciuś - mruknęła Hanka, ruszając w ślad za nimi.

- Boisz się, co? Jeśli masz ochotę wesprzeć się na moim męskim ramieniu, to zapraszam - zarechotał Kiciński.

- Chyba chuderlawym ramieniu? - mruknęła Piasecka.

- Ej, jakiś biceps tam ma - wzięła go w obronę Gośka.

- Kurwa, to chyba nie ta alejka. - U rozwidlenia drózek Kiciński przystanął i podrapał się po głowie.

- Nie klnij na cmentarzu - syknęła Małgośka.

- A ty kto? Moja prababcia? - zachnął się. - Daj mi tę latarkę. - Wyrwał jej z ręki telefon i zaczął oświetlać pograżone w ciemnościach jesiennej nocy nagrobki.

- Upiornie tu - szepnęła Małgorzata.

- Z nami się boisz? - Hanka uśmiechnęła się do niej. - Ja znam taekwondo, a Kiciuś powali każdego upiora.

- Zastrzelę na miejscu!

- No, tylko gnata przy sobie nie masz - mruknęła Gośka, przystając obok wielkiego rodzinnego grobowca z białego marmuru.

- Dobra, to chyba tam! Pamiętam tego anioła z rozłożonymi skrzydłami - powiedział Kiciński i oddał Goście latarkę. - Świeć pod nogi, zanim tu wyglebię.

Alejkę, na której krańcu mieścił się grób Krzyśka Bugaja, znaleźli po kolejnych kilku minutach błądzenia po ciemnym cmentarzu.

- Za nic nie trafię z powrotem do bramy - szepnęła Gośka, ale Kiciuś lekceważąco machnął ręką.

- Prędzej czy później się stąd wydostaniemy - mruknął.

- Rano. - Hanka zaśmiała się nerwowo i pochyliła się, żeby strącić z nagrobnej płyty mokre liście. - Cześć, Bugi - powiedziała

cicho.

- Hej, chłopie. Pijemy dzisiaj twoje zdrowie! - Kiciuś zdarł z flaszki papier, w który owinęła ją sprzedawczyni, otworzył butelkę cytrynowki i upił kilka łyków. - Kurwa, jakie to babskie. - Wzdrygnął się, przekazując flaszkę Goście.

- Twoje zdrowie, Bugi - powiedziała Małgorzata, zanim przycisnęła usta do szyjki butelki.

- Gdziekolwiek jesteś. - Hanka uniosła flaszkę w geście pozdrowienia i pociągnęła z niej solidną porcję alkoholu.

- No to sobie urządziliśmy Zaduszki z Bugim. Szkoda, że nie wzięliśmy mu kawałka pizzy - odezwał się Kiciuś, przysiadając na grobie przyjaciela.

- O, pizzę na pewno by zżarł - z uśmiechem dodała Piasecka.

- Zwłaszcza z salami. Śmiejecie się, ale widzieliśmy niedawno z Goską kolumbijski film, w którym przyjaciele zmarłego koleśka obwożą jego zwłoki cadillakiem po mieście, zabierają je do nocnego klubu, podają truposzowi cygaro i nawet dziwka koło nich tańczy. Że niby takie ostatnie wspólne szaleństwo. Dobry film, nie, kocie?

- A co to było? - zainteresowała się Hanka, biorąc od Wojtka wódkę.

- „Rosario Tijeras” - powiedziała Małgośka. - Cokolwiek to znaczy...

- W Meksyku takie akcje?

- Nie, Kolumbia, mówię ci przecież.

- Oni mają zupełnie inną kulturę śmierci - powiedziała cicho Hanka, siadając obok Kiciusia.

- A pamiętacie, jak Bugi za dużo wypił w sylwestra i podpalił u nas firanki? - roześmiała się Gośka.

- Pamiętam, bo tamtej nocy się do mnie przystawiał i dostał ode

mnie w pysk – powiedziała Hanka.

- Skurwiel żadnej nie przepuścił – mruknął Kiciuś, a Małgośka zaczerwieniła się na wspomnienie pewnego pocałunku, który nigdy nie powinien się zdarzyć.

No, ale oboje byli wtedy z Krzyśkiem pijani, a ona pokłóciła się z Kiciusiem i...

- O czym myślisz? Cytrynówka ci źle wchodzi? – Wojtek czubkiem buta trącił jej zamszowy kozaczek i Małgorzata pochyliła się, żeby pocałować go w usta.

- O, romantyzm na cmentarzu – ze śmiechem podsumowała Hanka i wyjęła z kieszeni telefon. – Tymczasem mojego ślubnego bynajmniej nie obchodzi, gdzie i z kim się szlajam o tej porze – dodała z przekąsem.

- Ciesz się, dobrze sobie chłopca wychowałaś. Nie truje ci dupeńki i nie przeszkadza w dobrej zabawie – powiedział Kiciuś, wstając. – Kurwa, zimno w zad od tego marmuru...

- To jest lodowaty oddech śmierci – szepnęła mu na ucho Hanka i oboje parsknęli pijackim śmiechem.

Chwilę później, dla odmiany, Gośka zaczęła płakać i pociągając nosem, pogładziła czarno-białe zdjęcie na nagrobku Bugaja.

- Zawsze myślałam, że jeszcze tyle lat przed nami. Przecież Krzysiek od zawsze gdzieś się przy nas kręcił – powiedziała łamiącym się głosem.

- Spieszmy się kochać ludzi i jak to tam dalej leciało. – Kiciuś włączył latarkę w swoim telefonie i zarządził odwrót. – Bugi już pewnie odnotował naszą niezapowiedzianą wizytę i nie ma co tu sobie dłużej dup odmrażać. A ty nie bec. Wszyscy jesteśmy tu tylko na chwilę, jak kiedyś powiedział mój dobry kumpel.

- Szkoda tylko, że dla jednych ta chwila trwa do setki, a dla innych marnych parę lat – mruknęła Hanka. – Wierzycie

w reinkarnację?

- Nie - powiedziała Małgośka.

- Czasem - rzucił Kiciński.

- Czasem? To kim niby byłeś w poprzednim wcieleniu? - naskoczyła na niego Gośka.

- Twoim giermkim, o pani.

- Dobrze, że nie moim tampaksem - mruknęła Małgorzata i Kiciuś parsknął śmiechem.

- Takie świństwka wśród grobów? No, no, kocie. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

- Tylko się tu nie zaczynajcie migdalić, bo się poczuję jak piąte koło u wozu - rzuciła Hanka.

- Zawsze możesz do nas dołączyć. Trójkąciki są ponadczasowe - mruknął do niej Kiciński, skręcając w prowadzącą do cmentarnej bramy alejkę.

- Chciałbyś - powiedziały w tym samym momencie Hanka z Gośką i cała trójka głośno się roześmiała.

Flaszkę dokończyli za murem, ukryci przed wiatrem pod pustą o tej porze przystankową wiatą.

- Odprowadzimy cię do domu - zdecydowała Małgorzata, kiedy Hanka się z nimi żegnała.

- Sama trafię.

- W to nie wątpię, ale... - Wojciech lekko się zachwiał i wpadł na Gośkę. - Sorry, kotek. Procenty zaczęły działać.

- Pójdę sama, serio - uparła się Piasecka.

- Pieszko? To kawał drogi - zdziwiła się Małgorzata.

- Do was też nie najbliżej.

- Chyba że bierzemy wspólną taryfę.

- Nie, przejdę się. - Piasecka pocałowała Gośkę w oba policzki i przytuliła Kiciusia. - Dobry z ciebie przyjaciel - powiedziała.

- Dopiero dzisiaj na to wpadłaś? - Zaśmiał się i poprawił jej przekrzywioną czapkę. - Do jutra.

- Pa. - Pomachała im i szybkim krokiem, z rękoma wsuniętymi w kieszenie, ruszyła w stronę pobliskiej szosy.

- Jest późno. Nie powinniśmy puszczać jej samej - powiedziała Gośka.

- Nie jest chyba dzieckiem? - zachnął się Kiciński.

- Ale jest kobietą, a...

- Jest gliną, poradzi sobie - uciął dyskusję Wojciech, cisnął w krzaki pustą flaszkę po cytrynówce i objął Gośkę ramieniem. - To jak to było z tym twoim tampaksem? - Wyszczерzył się.

24

Karolinę obudziły ciężkie kroki. Ktoś wszedł do pomieszczenia, w którym od kilku dni ją przetrzymywano, i usiadł naprzeciwko leżanki, na której się skuliła, zanim zasnęła. Poznała go od razu. Szczepan Szauman, wysoki, ciemnowłosy trzydziestokilkuletni goguś z prestiżowym dyplomem Oksfordu w kieszeni. To z nim rozmawiała, kiedy tak ufnie zgodziła się na ich warunki. Idiotka, skrzywiła się na myśl o własnej głupocie, tymczasem on poluzował krawat i pochylił się w jej stronę.

- Który to miesiąc? Ósmy? Dziewiąty? - zapytał, wpatrując się w jej brzuch.

- A jakie to ma znaczenie? - syknęła, hardo patrząc mu w oczy.

Wzruszył ramionami i wygodniej rozparł się na krześle.

- Mam dla ciebie propozycję - odezwał się po chwili.

- Zamieniam się w słuch - wycedziła Karolina, starając się panować nad wściekłością, która dosłownie w niej kipiała.

- Wypuszczę cię stąd i wrócisz do domu. Co innego mógłbym zrobić? Ale zapamiętaj jedno: litość okazuję tylko raz. Piśnij komukolwiek chociaż słowo, a wiesz, co zrobię? Zajmę się twoim mężem i córką. Ona ma na imię Gabryśia, prawda? Jak myślisz, gdzie trafi po tym, jak już ją dorwiemy?

- Nie masz prawa mówić o mojej córce! - Karolina zerwała się z leżanki tak gwałtownie, że zakręciło jej się w głowie.

- Usiądź, opanuj się - warknął Szauman. - Na razie tylko sobie gawędzimy - dodał irytująco lekkim tonem.

- Ty dupku! Myślisz, że skoro masz grubą kasę, możesz mi

grozić?!

- A ty wierzysz, że możesz bezkarnie mi się stawiać? - zapytał z błakającym się w kącikach ust uśmiechem. - Nie powiedziałem ci jeszcze, co zrobimy twojemu mężowi, kiedy się nim zajmiemy. Wiesz, że na czarnym rynku stale brakuje organów, prawda? Jeśli mnie wkurwisz, z lubością będę się przyglądać, jak rozbierają go na części, przysięgam ci to. Wiedziałaś, że ludzka nerka jest pięćset razy droższa niż żołądek? - Jeszcze bardziej pochylił się w jej stronę, aż zatrzeszczało pod nim krzesło. - Sprzedamy każdy kawałek jego ciała, nic się nie ostanie. Wierzysz mi, prawda? - Uśmiechnął się, ale jego ciemne oczy pozostały lodowate. - Pytałem cię o coś! - warknął, podnosząc głos.

- Tak - szepnęła, blednąc.

Tak, wierzyła mu. Wiedziała już przecież, do czego jest zdolny.

- Mądra dziewczynka. A teraz słuchaj. Jeszcze dziś wrócisz do domu i wciśniesz mężowi jakąś bajeczkę. Powiesz mu, że musiałaś wyjechać i pomyśleć, że już go nie kochasz i potrzebowałaś chwili oddechu, że boisz się porodu, cokolwiek.

- Boję się porodu, więc upozorowałam własne porwanie? Co za brednie! - Roześmiała się ironicznie.

- Coś wymyślisz. Coś przekonującego. I pamiętaj, że dzieci obrzydliwie bogatych i pozbawionych skrupułów ludzi też czekają na przeszczepy, a ich rodzice zrobią wszystko, żeby je uratować - powiedział i ta ledwie zawołowana groźba dosłownie ją zmroziła.

Gabrysia! Boże jedyny, czy ona śni najgorszy koszmar swojego życia, czy on rzeczywiście właśnie jej powiedział, że jeśli ich nie posłucha, porwą jej córkę i oddadzą w łapy handlarzy narządów?

- Zbladłaś? Wyobraźnia działa na pełnych obrotach? Szkoda by było tej laleczki, prawda? - Szczepan Szauman odchylił klapę eleganckiej, szytej na miarę marynarki i wyjął z wewnętrznej

kieszeni złożoną na pół kolorową fotografię. – Piękna dziewczynka – powiedział, podając matce zdjęcie jej córeczki.

Karolina otworzyła usta, by wypuścić z nich wiązaną pod jego adresem, ale z jej gardła wydobył się jedynie cichy skrzek. Biorąc od niego zdjęcie, musnęła palcami jego dłoń i aż się zatrzęsała z odrazy.

– Jesteś bezdusznym potworem – wykrztusiła w końcu.

– Jestem biznesmenem – odparł z uśmiechem i wstał. – Czyli mamy jasność, tak? Przystajesz wtykać nos w nie swoje sprawy, a ja udaję, że nie nadepnęłaś mi na odcisk. Widzisz, może i jestem potworem, jak mnie nazwałaś, ale naprawdę nie chciałbym robić ci krzywdy, skoro jesteś w ciąży. Więc nie doprowadzaj mnie do ostateczności i pamiętaj, że znajdę cię wszędzie. Zawsze. Czy to jest jasne?

– Tak – szepnęła Karolina.

– Mówiłaś coś? Nie słyszę! – Uśmiechnął się złośliwie.

– Powiedziałam tak – odezwała się nieco głośniej.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. – Szauman bez słowa pożegnania ruszył w stronę drzwi i cicho je za sobą zamknął.

Kwadrans później przyszedł po nią Czarny, mężczyzna, który w środku nocy porwał ją z ośrodka wczasowego.

– Załóż to. – Cisnął na leżankę obszerny szary dres z grubego materiału i rzucił na podłogę reklamówkę, w której były za duże o dwa numery i nieco znoszone adidas. – Wybacz, że to nie kiecka od Prady. Improvizowałem.

– Naprawdę wierzysz, że wrócę do domu w tych łachach, pokażę się tak mężowi, a on uwierzy w bajeczkę, jaką mu wcisnę?

– zapytała Karolina.

Szybko jednak zrozumiała, że nie powinna z nimi pogrywać. Oni

mówili poważnie. Uciszy się albo skrzywdzą jej bliskich. Dlatego nie dodała już ani słowa i odwrócona plecami do Czarnego zaczęła się przebierać.

- Możesz zahaczyć o dom którejś z przyjaciółek. Odpocząć kilka godzin, przebrać się, zebrać myśli - zasugerował, kiedy szli w stronę parkującego w podziemnym garażu terenowego nissana, tego samego, którym ją tu przywiózł. To było niebezpieczne, samochód mógł być już namierzony, ale niedługo się go pozbędzie. - Właż. - Czarny otworzył bagażnik i skinieniem głowy powtórzył polecenie.

- Chyba żartujesz?! - zachnęła się, ale już złapał ją za ramię.

- Uwielbiasz mnie wkurwiać, co? - warknął i bliska łez Karolina z pomocą Czarnego wgramoliła się do bagażnika, starając się osłaniać dłońmi brzuch.

Kiedy zatrzasnął nad jej głową klapę, poczuła taką panikę, że przez chwilę nie mogła oddychać. Udało jej się jednak uspokoić. Już po wszystkim, powtarzała sobie, kiedy wyjeżdżali z garażu. Wypuszczą mnie, Boże jedyny, oni mnie wypuszczą!

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo jechali. Wysadził ją, a raczej wyjął z bagażnika w ciemnej uliczce i wcisnął jej w dłoń zmiętą pięćdziesiątkę.

- Na taryfę - mruknął, zatraskując klapę od bagażnika. - I pamiętaj, że następnym razem nie będzie już tak miło - dodał, zanim wsiadł do auta i odjechał, zostawiając ją samą w ciemnym zaułku.

Skuliła się z zimna i roztarła dłońmi ramiona. Miała na taksówkę, ale nie miała telefonu, z którego mogłaby ją wezwać. Drżąc z zimna, ruszyła w stronę głównej ulicy - nawet tu, stojąc pomiędzy kamienicami z zaniedbanymi elewacjami, słyszała szum samochodów i uliczny zgiełk.

Facet, którego poprosiła o pomoc, zbliżał się do pięćdziesiątki i miał dobre, jasne oczy.

- Przepraszam, czy mógłby pan dla mnie wezwać taryfę? - zapytała, zachodząc mu drogę.

Zatrzymał się i wbił zaskoczony wzrok w jej wydatny ciążowy brzuch.

- Jest zero stopni. Nie ma pani kurtki? - zdziwił się, wyjmując telefon z kieszeni wełnianego płaszcza w jodełkę.

- To długa historia - powiedziała cicho Karolina.

- Wejźmy do bramy, zanim mi tu pani zamarznie - zdecydował nieznajomy, kiedy już podał dyspozytorce adres i zamówił taksówkę. - Będą za siedem minut. Ciemnoszary volkswagen kombi.

- Dziękuję - szepnęła Karolina, a on zdjął płaszcz i narzucił jej go na ramiona.

- Pokłóciła się pani z chłopakiem? Co pani robi na tym ziąbie?

- Tak, pokłóciliśmy się i wybiegłam z domu, jak stałam - skłamała. - Ale wszystko jest okay, naprawdę - dodała, starając się być przekonująca.

- Jasne, nie wnikam. - Mężczyzna wyjrzał przez uchylone drzwi od bramy, jakby niecierpliwił się w oczekiwaniu na taryfę, i roztarł zmarznięte dłonie.

- Nie chciałabym, żeby się pan zaziębił - powiedziała z nikłym uśmiechem.

- Pani tym bardziej nie powinna złapać zapalenia płuc - odparł przyjaźnie. - Kiedy pani rodzi? Moja młodsza córka ma termin na za dwa tygodnie.

Karolina nie zdążyła odpowiedzieć, bo odezwała się jego komórka.

- Tak, kochanie, już jadę. Daj mi pół godzinki - powiedział do

słuchawki.

Kiedy podjechała taryfa, Karolina oddała nieznanemu płaszcz, podziękowała za pomoc i szybkim krokiem ruszyła w stronę czekającego na nią samochodu.

- Ma pani pieniądze? - zapytał facet, który jej pomógł. - To znaczy nie chcę być nachalny, ale...

- Mam. - Uśmiechnęła się blado, a on otworzył dla niej tylne drzwi.

Wsiadła i podała kierowcy adres Moniki, jedynej przyjaciółki, jakiej mogła w tej sytuacji zaufać.

Na miejsce dotarła dwadzieścia minut później. Otworzył jej Jacek, mąż Moniki, który na jej widok zrobił oczy jak spodki.

- Karolina? Dziewczyno, zdajesz sobie sprawę, jak się o ciebie martwiliśmy? - przywitał ją wyrzutem.

- Jest Monika? - odpowiedziała pytaniem.

- Tak, kąpie małą, ale...

- To zajmij się dzieckiem, bo my musimy pogadać - rzuciła ostrym tonem.

- No dobra, ale...

- Po prostu to zrób, Jacek! - krzyknęła Karolina.

Wtedy zauważył, że nie ma skarpetek i cała drży.

- Dobrze się czujesz? Mam wezwać policję, albo...

- Zawołaj Monikę - powiedziała zmęczonym głosem. - I nie wzywaj policji. Mamy z Dariuszem małżeńskie problemy, odwalilo mi i tyle.

- Ale jak problemy? Znaczy... Dobra, idę po nią. - Jacek zamilkł zgromiony jej spojrzeniem i została sama w korytarzu.

- Karola?! Kurwa mać, kobieto! Od paru dni nie śpię, nie jem i pałętam się po ulicach, rozwieszając twoje zdjęcia! Gdzie ty byłaś?! - krzyknęła Monika łamiącym się głosem.

- Pod Szczecinem, u znajomych.

- Pod Szczecinem?! Siedziałaś sobie pod Szczecinem, podczas gdy my odchodzimy tu od zmysłów?!

- Dariusz mnie pobił. Musiałam wyjechać, przemyśleć parę rzeczy, odpowiedzieć na pytanie, czy chcę jeszcze ratować nasze małżeństwo. Przepraszam, wiem, że nie powinnam tak zniknąć... Poprosiłam o pomoc znajomego, miało to wyglądać groźnie. Chciałam, żeby mój mąż się bał, żeby zrozumiał, że może mnie stracić. Chciałam do was zadzwonić, ale...

- Kurwa, co ty gadasz?! Nie wierzę, że zrobiłaś nam coś takiego! Wiesz, co my wszyscy przeżyliśmy?! Jacek, ja, twoja matka, przyjaciele! Karola, nie wierzę! - Monika usiadła u podnóża schodów i zaczęła płakać.

- Przepraszam. Byłam w marnym stanie, nie zastanawiałam się nad konsekwencjami - uparcie brnęła w kłamstwo.

Nad tym, w jakim świetle stawia Darka, mówiąc o nim tak podłe rzeczy, wołała się na razie nie zastanawiać.

- Przepraszam, kochana. - Niezdarnie, trzymając się poręczy, usiadła na najniższym stopniu schodów i pogłaskała przyjaciółkę po ramieniu. - Przepraszam.

- Nie gniewam się. Cieszę się, że cię widzę! Śniło mi się, że nie żyjesz! Że wyciągnęli cię z rzeki całą w wodorostach i miałaś taką nabrzmiałą twarz, a twój brzuch... Boże, nie wierzę! - Monika objęła Karolinę i wtuliła policzek w jej szyję. - Wiesz, jak cię kocham, wariatko. Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało!

- Też cię kocham - szepnęła Karolina, ocierając oczy.

- A Dariusz? Pobił cię? Przecież wy nigdy...

- Nie chcę o tym mówić. Uderzył mnie, pobił to za duże słowo. Mogę u ciebie zostać do jutra? Wziąć kąpiel, przebrać się w coś normalnego, ogarnąć się i uspokoić.

- Jak się tu dostałaś?
- Taryfą. Pożyczyłam kasę od znajomych.
- I tak po prostu u nich siedziałaś, kiedy szukała cię policja?
- Oni nie wiedzieli, że ktoś mnie szuka. Mają gospodarstwo agroturystyczne w dzikiej głuszy. Zero Internetu, nawet komórki nie mają zasięgu.
- Chryste, co za porębana historia! - Monika złapała Karolę za rękę i zacisnęła palce tak mocno, że aż zaboląło. - Nie rób mi więcej takich numerów, słyszysz? Właściwie po tym, co odpierdoliłaś, nie powinnam w ogóle się do ciebie odzywać!
- Masz prawo być wściekła - szepnęła Karolina.
- I jestem! Ale o tym jutro! Jacek, wysuszyłeś Madzi włosy?! Karola idzie pod prysznic! - wrzasnęła.
- Potrafisz przejąć dowodzenie, nie ma co - skomentowała Karolina.
- Ktoś musi ten chaos ogarniać - mruknęła Monika, wstając. - Masz, najpierw dzwoni do rodziców. - Wyjęła z bazy słuchawkę od telefonu i podała ją przyjaciółce.
- Dzięki. - Karolina wzięła od niej telefon i jej palce bezradnie zawisły nad jego klawiaturą. - Nie pamiętam numeru.
- Nawet stacjonarnego, do matki?
- Nawet.
- Dobra, najwyżej znajdę ją na Facebooku. Ty idź pod prysznic, ja zrobię coś do jedzenia.
- A policja? - zapytał Jacek, zjawiając się na schodach z opatuloną frotowym szlafrokiem trzyletnią Madzią.
- Co policja? - zapytała Monika.
- Szukają jej przecież, trzeba dać im znać, że się znalazła.
- Zadzwoń do nich - zdecydowała Monika. - Ten łysy dał mi swój numer na wypadek, gdybym sobie coś przypomniała.

Kiciński czy jakoś tak.

- Zadzwoń. Muszę się wykąpać. Pożyczysz mi jakieś ciuchy?

- Moja szafa twoją szafą - z uśmiechem odparła Monika, rzucając jeden z ich ulubionych tekstów ze studenckich czasów.

- Dzięki. - Karolina pocałowała przyjaciółkę w policzek, pogłaskała po ramieniu wyraźnie zaniepokojonego Jacka i zamknęła się w niewielkiej, pełnej dziecięcych zabawek łazience.

Przecierając zaparowane po kąpieli Madzi lustro, aż jęknęła na widok swojego odbicia. Ale to nic, to najmniejsze zmartwienie, powiedziała sobie, odkręcając kurek z ciepłą wodą. Rozsypała się dopiero pod prysznicem, stojąc w strugach gorącej wody i wciąż drżąc z szoku i wychłodzenia. „Wiedziałaś, że ludzka nerka jest pięćset razy droższa niż żołądek?” - przypomniała sobie słowa Szaumana i się wzdrygnęła.

- Posłuchaj, a może jednak powinnaś zadzwonić do Dariusza? - zasugerowała Monika, kiedy Karolina wyszła z łazienki. - Cokolwiek między wami zaszło, on na pewno odchodzi od zmysłów i chce wiedzieć...

- Zadzwoń na policję, oni mu powiedzą. I nie mów, że tu jestem. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć. Zrobisz to dla mnie? - zapytała Karolina, błagalnie patrząc na przyjaciółkę. - Nie mów mu, że u was jestem. Po prostu zadzwoń na policję i powiedz, że się do was odezwałam i wszystko jest okay.

- Jak wolisz, Karola. Przecież wiesz, że zawsze jestem po twojej stronie - powiedziała Monika.

- Dzięki, kochana. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna. I sorry, że zwałam się wam na głowę.

- Żartujesz? Chyba jeszcze nigdy tak się nie ucieszyłam na twój

widok. - Monika roześmiała się przez łzy, założyła kolorowy kuchenny fartuszek i zabrała się za przygotowywanie kolacji.

Krojąc warzywa na zapiekanekę, pomyślała, że coś jej w opowieści Karoliny nie gra, ale postanowiła nie naciskać przyjaciółki. Cokolwiek się stało, kiedyś pewnie jej o tym opowie. Teraz musi coś zjeść, założyć wygodne domowe gacie i odpocząć po wydarzeniach ostatnich dni.

Do starszego sierżanta Wojciecha Kicińskiego zadzwoniła z łazienki, kiedy Jacek z Karoliną jedli przygotowaną przez nią naprędce zapiekanekę.

- Karolina się ze mną skontaktowała - powiedziała, kiedy odebrał. - Karolina Lenart. Znalazła się i mówi, że wszystko jest okay. Miała jakieś przejścia z mężem, chciała na trochę zniknąć.

- Dobrowolnie? - zdziwił się Kiciński, którego ta wersja również kompletnie nie przekonywała.

- Tak mówi.

- Widziała się pani z nią dzisiaj?

- Tak, ale obiecałam jej, że nikomu nie powiem, gdzie jest.

- A gdzie jest? - zainteresował się Wojciech.

- No przecież mówię, że nie mogę...

- Proszę pani, ukrywanie takich spraw jest utrudnianiem śledztwa! Od kilku dni jej szukamy, a pani mówi, że nie powie, gdzie jest?! Co to, kurwa, za teatrzyk?! - warknął Kiciński.

- Przepraszam, ja...

- Jutro u pani będę i powie mi pani wszystko, czy to jest jasne? Jutro koło południa!

- Tak, ale...

- To do zobaczenia - rzucił przez zęby Kicius i rozłączył się bez pożegnania.

Sierpień 1998 r.

- Patrz! Smok Wawelski dla ciebie. - Artur rozpylił należący do Hanki lakier do włosów i podpalił opary zapalniczką.

Kiedy buchnął płomień, dziewczyna krzyknęła i uskoczyła w kąt pokoju.

- Zwariowałaś?!

- Jeju, może jednak się uśmiechniesz? - mruknął, odkładając lakier na komodę.

- Idź już - poprosiła.

- Ledwo przyszedłem. Mieliśmy się powłóczyć po mieście i zejść do Kapitana.

- Boli mnie głowa.

- Hanka, nie bądź taka. Wiem, że twoja mama umarła i...

- Nic nie wiesz, Artek! Nic, słyszysz?! - krzyknęła bliska łez.

- Dobra, przepraszam. Chciałem tylko...

- Idź już - powtórzyła.

- Dobra, jak chcesz. - Pochylił się, żeby pocałować ją w usta, ale uchyliła głowę.

Wyszedł przez okno, tak jak wszedł. Hanka szczelnie zasunęła firany i położyła się na łóżku. Od śmierci mamy minęło kilka tygodni, a ona nadal nie potrafiła się pogodzić z jej odejściem. Dlaczego tak nagle? Czy nikt nie mógł jej pomóc? Czemu ojciec nie jeździł z nią po lekarzach, skoro z jej sercem było aż tak źle? A może nikt nie przypuszczał, że wszystko skończy się tak

tragicznie, zastanawiała się, samotnie leżąc na łóżku. I nagle wszystko wydało jej się zupełnie bezsensowne. Całe jej dotychczasowe życie, szczeniackie uczucie do Artura, cholerny plakat z filmu „Bodyguard”, który dosłownie wyżebrała w kinie dwa dni przed śmiercią mamy – wszystko to wydawało jej się teraz idiotyczne. Mama odeszła, powtarzała sobie, nie potrafiąc wyobrazić sobie przyszłości bez niej. Kto będzie się z nią cieszył, kiedy zda maturę? Kto upnie jej włosy w dniu ślubu? Kto będzie rozpieszczał jej dzieci, pomagał im w lekcjach, kupował lody? Przecież nie ojciec... Na myśl o nim skrzywiła się. Od dawna nie potrafiła się z nim dogadać, mijali się obojętni na siebie, czasem niemal wrodzy. Był dla niej oschły, a jeśli nawet miał dobry humor i nazywał ją swoim pączusiem, tylko ją to irytowało.

– Mamusiu, dlaczego? – Rozplakała się.

Godzinę później usłyszała krzątającego się po kuchni ojca. Musiał wrócić z pracy i szukał czegoś do jedzenia.

– Hanka?! – krzyknął.

Nie odpowiedziała.

Nakryła głowę poduszką i z kolanami pod brodą leżała, mając nadzieję, że cały świat zniknie, a ona w końcu przestanie czuć ten tępy, wciskający się pod żebra ból.

– Haniu? – Ojciec bez pukania wszedł do jej pokoju.

– Co? – burknęła.

– Czemu leżysz po ciemku z poduszką na głowie? – zdziwił się.

– Żebyś się pytał – wymamrotała z policzkiem wciśniętym w piernaty.

– Posłuchaj, wiem, jak się czujesz, ale...

Cisnęła na podłogę poduszkę i krzyknęła wysokim, histerycznym głosem:

– Chcę, żeby mama wróciła, słyszysz?!

- Nie wygaduj bzdur, nie jesteś już dzieckiem! - zachnął się i usiadł na jej łóżku. - Mama nie żyje, odeszła. I prędzej czy później będziesz się musiała z tym pogodzić.

- Chcę, żeby wróciła - powtórzyła.

- Chodź, zjemy coś. Kupiłem szarlotkę.

- Nie jestem głodna.

- Przecież lubisz szarlotkę.

- Idź sobie.

- Nie wyjdę, dopóki ze mną nie porozmawiasz. - Ojciec pogłaskał ją po opalonej łydce i poprawił wywiniętą skarpetkę na jej stopie. - Hanula, czasem takie rzeczy się zdarzają. Takie jest życie, przecież wiesz.

- Chcę, żeby mama wróciła - powtórzyła ze złością i ojciec stracił cierpliwość.

- Dobra, jak wolisz. Możesz tu zalegać do końca świata i jeden dzień dłużej. A szarlotkę zjem sam - burknął, zanim wyszedł.

Udław się, pomyślała. Ledwo pochowaliśmy mamę, a on kupuje ciasto? Nie mogła w to uwierzyć, nie chciało jej się to wszystko pomieścić w głowie.

Godzinę później ojciec znowu wyszedł i została sama w ciemnym domu. Światło świeciło się jedynie nad kuchennym stołem, reszta budynku była pogrążona w mroku. Hanka zaświeciła lampę w salonie i z kubkiem mleka w dłoni usiadła na sofie. W telewizji nie było nic ciekawego, ale woląta gapić się w odbiornik, niż pogrążyć się we wspomnieniach.

Zasnęła koło dwudziestej trzeciej skulona na kwiecistej sofie w salonie. Obudziły ją omiatające okna samochodowe reflektory, czyli ojciec wrócił do domu. Podeszła do okna i zerknęła przez wąską szparę w lekko uchylonych zasłonach. Tak, to ojciec wrócił, ale nie był sam. W jego aucie siedziała blondynka, z którą już

kiedyś Hanka widziała go na mieście. Atrakcyjna i wysoka, o lodowatej urodzie wyniosłej piękności. Podobno razem pracowali, tak jej wtedy powiedział tato. Teraz jednak nie miała już wątpliwości, jaki charakter znajomości łączy tę dwójkę. Chyba przez kwadrans gapiała się na nich zza uchylonej firany, a złość dosłownie zżerała ją od środka. To, jak na siebie patrzyli, zaśmiewając się z czegoś w przytulnym wnętrzu samochodu. Widziała ich wyraźnie, na auto padało światło z ulicznej latarni. To, jak ojciec całował ją w rękę, patrząc jej głęboko w oczy, a ona co chwilę poprawiała misternie ułożone jasne włosy, wszystko to sprawiło, że zrozumiała. Oni ze sobą sypiają, a co gorsza, musieli to już robić wcześniej, kiedy jeszcze mama żyła. Stąd jej zaczerwienione oczy i popłakiwanie po kątach. Stąd stres, stąd świadomość, że stała się kimś zbędnym. Bo ojciec ją zdradzał, kiedy jeszcze żyła, pojęła Hanka.

Przed dom wybiegła z miotłą w ręku i nie zastanawiając się nad konsekwencjami, zaczęła nią walić w samochód.

- Co ty wyprawiasz?! - Ojciec wyskoczył z kombi i złapał ją za ramię.

- Mama jeszcze nie ostygła, a ty przywozisz tu inne baby?! - krzyknęła.

- Ucisz się i nie histeryzuj! - warknął. - Do domu! Ale najpierw przeprosisz Teresę.

- Chyba żartujesz?! - Hanka cisnęła miotłą na podjazd, obróciła się na pięcie i pognęła w stronę frontowych drzwi.

Była tuż przy nich, kiedy usłyszała jeszcze, jak ojciec przeprosza tę swoją natapirowaną flame, i aż zazgrzytała zębami z wściekłości.

Dwie minuty później pojawił się w drzwiach jej pokoju.

- Teresie zepsuł się samochód i ją podwożę, to wszystko -

powiedział.

Roześmiała się, a potem syknęła:

- Tato, ja już nie mam pięciu lat!

- Tak?! Taka jesteś dorosła?! To się zachowuj jak dojrzała kobieta! Mam prawo mieć przyjaciół, jak każdy! - huknął.

- Przyjaciół?! Ty z nią sypiasz! Myślisz, że jestem głupia?!

- Powiedziałem, ucisz się i przestań histeryzować! - warknął ojciec. - Uspokój się, słyszysz?! Nie życzę sobie takich scen pod moim dachem! - Oskarżycielsko wycelował w nią palec.

Wtedy zauważyła, jaki jest elegancki. Stał przed nią w nowej prążkowanej koszuli z zawiązanym na szyi jedwabnym krawatem, w skórzanych butach i ciemnych spodniach, które zakładał tylko na ważne okazje. Wypindrzony na tę swoją randkę, odpicowany jak fircyk w zalotach.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła. - Za to, że nie potrafiłeś kochać mamy, za tę babę i za to, jakim jesteś kłamcą! Jesteś kłamcą, słyszysz?!

Nie odpowiedział.

Wyszedł z jej pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Przebiegła do salonu i rzuciła się w stronę okna w momencie, w którym ojciec podszedł do auta. Ona wysiadła i paliła papierosa oparta o maskę kombi. Miała na sobie krótką, szafirową sukienkę i buty na wysokim obcasie. Hanka pomyślała, że wygląda jak prostytutka, i krzywo się uśmiechnęła, ale to nie złagodziło jej bólu i poczucia, że została zdradzona, oszukana i porzucona. Ojciec coś powiedział. Nie słyszała jego słów, ale domyśliła się, że tłumaczy się kobiecie z zachowania córki, kaja się przed nią, płaszczy. Teresa lekceważąco machnęła ręką i odgarnęła mu włosy z czoła gestem tak intymnym, że resztką wątplych wątpliwości Hanka rozviała się w jedną sekundę. Jej świeżo

owdowiały ojciec miał kochankę, teraz była już pewna...

26

- Posłuchaj, ten gliniarz, który u mnie był, kiedy zniknęłaś, chce z tobą pogadać - powiedziała Monika, stawiając na nocnej szafce drewnianą tacę z kawą i wysmienicie pachnącymi tostami.

Wyrwana z płytkiego, pełnego majaków snu, Karolina z trudem usiadła na łóżku i spojrzała na przyjaciółkę półprzytomnym wzrokiem.

- Która godzina? - wychrypiła, przeczesując palcami potargane po źle przespanej nocy jasne włosy.

- Dochodzi dziesiąta trzydzieści.

- Dziesiąta trzydzieści?!

- No tak. Trochę zasnęłaś, ale nie miałam sumienia cię budzić. Muszę wracać do małej, została w salonie. Zjedz coś, ubierz się i zjedź na dół. Ten Kiciński będzie tu za jakieś czterdzieści minut.

- Nie chcę z nim rozmawiać! - zaprotestowała Karolina. - I po cholere w ogóle do niego dzwoniłaś?! - wybuchła.

- Po cholere do niego dzwoniłam?! Dziewczyno, zdajesz sobie sprawę, ile osób było zaangażowanych w twoje poszukiwania?! Miałam siedzieć cicho i nie dać im znać, że się znalazłaś?! Przecież na to są pewnie paragrafy!

- Powinnaś siedzieć cicho, prosiłam cię o trochę czasu - powiedziała Karolina, czując, jak panika zaciska jej gardło stalową obręczą strachu.

Co powie temu gliniarzowi, kiedy się tu zjawi? On pewnie tak gładko nie przełknie wymyślonej przez nią bajeczki... Nie miała jednak wyjścia. Skłamała raz, musi kłamać dalej, zdecydowała,

sięgając po posmarowany marmoladą tost. Zjadła z zaskakującym jak na zaistniałe okoliczności apetytem, popiła zbożową kawą i po szybkim prysznicu założyła pożyczone od Moniki kwieciste legginsy i podkoszulek Jacka, bo tylko on mieścił jej zaokrąglony brzuch. Swoich ciążowych ciuchów Monika dawno się pozbyła – po ponad dwudziestogodzinnym traumatycznym porodzie zapowiedziała wszem wobec, że drugiego dziecka nie będzie.

Kiedy zeszła na dół, jej przyjaciółka prasowała, zerkając na bawiącą się córkę.

– Nie powinnam na ciebie naskakiwać, wybacz. O to, że zadzwoniłaś po tego glinę – cicho powiedziała Karolina.

– Nie przejmuj się tym. – Monika wzruszyła ramionami i sięgnęła po kolejną rzecz czekającą na prasowanie.

– Pomóc ci w czymś?

– Żartujesz? Siedź i odpoczywaj, bo jak się dzieciak urodzi, nie będziesz miała dla siebie nawet minuty.

– Nie przesadzaj. Przy Gabrysi nie było tak źle.

– Bo była małym aniołkiem. Miałaś najspokojniejsze niemowlę, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Nie to, co ta mała diablica i jej kolki...

– Fakt, Gabi zawsze była cicha i grzeczna. – Karolina uśmiechnęła się na myśl o córce i poczuła bolesną tęsknotę. – Powinnam zadzwonić do Darka. Przyjedzie po mnie, żebym dłużej nie siedziała wam na głowie.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? No wiesz, po tym, co mi powiedziałaś...

– Monia, nic takiego się nie stało. Darek pchnął mnie na ścianę podczas kłótni i tyle.

– Wczoraj mówiłaś, że cię uderzył.

– Lekko, ale...

- Lekko?! A można lekko uderzyć kobietę w ciąży?! - niemal wykrzyczała.

- Nie chcę o tym mówić.

- Szkoda. Myślałam, że sobie ufamy.

- Oczywiście, że sobie ufamy! Ja tylko... - Karolina nie dokończyła, bo ktoś zadzwonił do drzwi.

- Siedź, otworzę. - Monika wyłączyła żelazko i ruszyła w stronę korytarza.

Starszy sierżant Wojciech Kiciński okazał się szczupłym trzydziestokilkulatkiem z ogoloną na łyso głową i przenikliwym spojrzeniem.

- Miło panią widzieć całą i zdrową - powiedział, wyciągając do Karoliny rękę.

Pomyślała, że ma ładny głos, i lekko się zaczerwieniła. Co się ze mną dzieje, do cholery! - skarciła samą siebie, podczas gdy gliniarz sadowił się na sofie naprzeciwko niej.

- Rozumiem, że odnalazła się pani wczoraj?

- Tak, wczesnym wieczorem.

- A można wiedzieć, gdzie pani była przez ostatnie dni? - zapytał, nie spuszczając z niej wzroku.

- U znajomych, pod Szczecinem.

- Nazwiska?

- Nie powinnam chyba...

- Owszem, powinna pani.

- Nie chcę ich w to mieszać, nie rozumie pan? Niezapowiedziana zwałam się im na głowę, a teraz, po tym, co się stało, mogą mieć nieprzyjemności.

- Pani też może mieć nieprzyjemności, pani Karolino. Zaangażowaliśmy sporo osób w pani poszukiwania, zdaje sobie pani z tego sprawę?

- Tak, ale...
- Co się stało tamtej nocy? - zapytał Kiciński.
- Przyjechał po mnie znajomy.
- Nie dzwoniła pani po nikogo. Sprawdziliśmy zarówno telefon pani, jak i pani męża - oznajmił Wojciech.
- Ustaliliśmy to wcześniej, jeszcze przed naszym wyjazdem na tamten weekend.
- Czyli ustawiła pani ze znajomym swoje własne porwanie jeszcze przed wyjazdem z mężem? I ten rzekomy znajomy wyprowadził panią na jesienną mżawkę w samej nocnej koszuli i kapciach, z gołymi nogami, przy kilku stopniach na plusie, a wcześniej grzebał wytrychem w zamku, żeby otworzyć frontowe drzwi, radząc sobie bez klucza? - zakpił Kiciuś.
- Tak się umówiliśmy. Chciałam, żeby to wyglądało na porwanie.
- A można wiedzieć, po co cały ten cyrk?
- Miałam kryzys małżeński. Mój mąż... - Karolina urwała i spojrzała Wojciechowi w oczy. - Nie chcę o tym mówić i nie rozumiem, czemu mnie pan przesłuchuje. Znalazłam się i wszystko jest w porządku.
- Och, znalazła się pani. Kamień z serca - zakpił ponownie. - Tylko co ja mam napisać w raporcie? Bo to, że pani kłamie, wiemy oboje, prawda? Pani Karolino, jeśli ktoś pani grozi albo...
- Nikt mi nie grozi! - krzyknęła.
- Naprawdę? Bo na moje oko wygląda pani na mocno wystraszoną i zdenerwowaną, a cała pani opowieść kompletnie się nie klei. Okay, chciała pani dać nauczkę mężowi, ale bajeczka ze znajomym, który w środku nocy włamuje się do ośrodka wczasowego? Nie, tego na pewno nie kupię. Chyba że mamy do czynienia z jakimś Jasonem Stathamem z polskiej ziemi,

komandosem, który podejmuje wyzwanie dla zabawy, ryzykując przy okazji całkiem sporą odsiadkę? – kpił dalej Kiciński.

- Mówię prawdę – powiedziała cicho Karolina.

- Nie, wręcz przeciwnie. Ma mnie pani za ciężkiego idiotę, ale okay. Jeszcze wrócimy do tematu. Póki co rozmawialiśmy nieoficjalnie. Niebawem inaczej pogadamy – zapowiedział jej Wojciech mało sympatycznym tonem.

- Nie chce mnie pan chyba ciągać po komisariatach? – przeraziła się. – Przecież za kilka tygodni rodzę, poza tym...

- Kłamie pani, więc owszem, jeszcze się tym zajmę.

- Ale nie ma czym się zajmować! Wyjechałam z własnej woli i wróciłam! Przecież nic się nie stało! – Wyraźnie puściły jej nerwy.

- Tak? To może mi pani wytłumaczy, czemu pani znajomy, wypożyczając terenówkę, posłużył się kradzionym dowodem? To też była część waszego planu?

- Nie, ja... My nie... – Karolina zaniemówiła, a Kiciński krzywo się uśmiechnął.

- Przyjrzę się temu dokładniej, bo nie lubię, kiedy robi się mnie w wała. A póki co, miłego dnia. I proszę lepiej dobierać sobie znajomych – poradził jej, wstając.

- Napije się pan czegoś? – zapytała Monika, przysłuchująca się ich rozmowie.

- Nie, dziękuję. Muszę wracać na komendę, dość czasu już zmarnowałem na podróż tutaj. – Sięgnął po kurtkę i bez pożegnania ruszył w stronę przedpokoju.

- Nie uwierzył ci, w dodatku nieźle go wkurzyłaś – powiedziała Monika, kiedy już zamknęła za nim drzwi.

- Trudno. – Karolina wzruszyła ramionami, starając się nie okazywać, jak bardzo jest roztrzęsiona po spotkaniu z Kicińskim.

- Problem w tym, że ja też nie do końca ci wierzę...
- Przykre, ale przeżyję. Zadzwońię po taksówkę. Pożyczysz mi trochę kasy?
- Mówiłaś, że zadzwonisz po męża.
- Zmieniłam zdanie. Chcę najpierw jechać do rodziców - powiedziała Karolina, nie patrząc przyjaciółce w oczy.
- Jak wolisz...

Monika wyglądała na urażoną i Karolinie zrobiło się przykro. Nie chciała jej okłamywać, zawsze były wobec siebie szczere. Zawsze! Ale czy miała jakieś wyjście, skoro oni grozili jej rodzinie?

Kwadrans później Monika odprowadziła ją na chodnik i poczekała z nią na taksówkę. Żegnając się, pocałowały się w policzek, ale Karolina czuła, że ich przyjaźń została wystawiona na ciężką próbę. Monika też wyczuła, że kłamie, ale nie mogła jej przecież powiedzieć prawdy. Nawet kosztem tego, że koleżanka nigdy jej nie wybaczy...

Wstrząśnięty śmiercią Renaty, Jeremi postanowił wyjechać z Sopotu. Niczego nie udało mu się odkryć i właściwie nic nie działał, co wyjątkowo go przygnębiało. Nie dawała mu jednak spokoju myśl, że chociaż Robert Rokosz nie został zatrzymany przez policję w związku z jej śmiercią, to musiał mieć z tym wszystkim coś wspólnego. Tak podpowiadała mu intuicja. Przyjaciel i współnik Mateusza, a przy tym kochanek jego starszej siostry... Ten facet był blisko z obojgiem rodzeństwa, a już samo to rodziło podejrzenia, pomyślał Jaromirski, wychodząc spod prysznic.

Ubrał się szybko, zjadł polane resztką keczupu parówki i wyszedł z mieszkania, zastanawiając się, czy powinien jeszcze raz podjechać do Gdyni i mieć oko na wejście do apartamentowca Rokosza, czy może ostatni raz wybrać się do jego klubu. Dochodziła dwudziesta druga i wybrał klub. Jeśli koleś obecnie sam musi zajmować się biznesem, to właśnie tam powinien być, zdecydował, wsiadając do nissana.

Tym razem Papa Legba pękał w szwach. Gorączka sobotniej nocy dosięgła i ten kiczowaty lokal. Jeremi zamówił dietetyczną colę i przecisnął się przez zatłoczony parkiet w stronę jednej z łóż. Na miejsce siedzące raczej nie liczył, a jednak cuda się zdarzały. Na górze zagadnęły go dwie mocno pijane panienki koło dwudziestki i zaproponowały, żeby się do nich przysiadł. Z zaproszenia skorzystał bardzo chętnie. Dzięki temu miał widok na cały niższy poziom i nie rzucał się w oczy, samotnie spacerując

po knajpie.

- Hej, jak masz na imię?! - wrzasnęła ta, która siedziała bliżej niego.

- Bonifacy! - krzyknął.

- Serio? - wykrztusiła, prawie dławiąc się drinkiem.

- Serio. A na drugie Ildefons!

- Jaja sobie robisz, co nie? - zaśmiała się ta druga.

- Może. - Wzruszył ramionami. - Jesteście stąd?

- Ja z Rumi, a Gośka z Wejherowa - powiedziała ta, która siedziała obok niego.

- Często tu bywacie?

- Raz na miesiąc, czasem rzadziej. - Dziewczyna bawiła się wyjętą z drinka plastikową parasolką, wyzywająco patrząc mu w oczy. - Fajny jesteś. Wpadłeś tu sam?

- Z babcią - rzucił, lustrując wzrokiem bar.

Siedząc tuż przy przeszklonej ścianie łoży, widział wszystko jak na dłoni.

- Zgubiłeś kogoś? - zapytała ta druga.

- Babcię - mruknął.

- Dobra, palancie. Wypad z naszego stolika! - Dziewczyna wyraźnie się wkurzyła. - Idź się nabijać z kogoś innego!

- O, obrażalska jesteś. - Jeremi uśmiechnął się krzywo.

- Po prostu nie lubię debili - syknęła.

- To może powinnaś sobie poszukać chłopaka w bibliotece? - zasugerował, wstając.

- Dupek! - rzuciła w ślad za nim, ale on już nie słuchał.

W tłumie przy barze wypatrzył Roberta Rokosza i ruszył w stronę podświetlonych schodów wiodących w dół, bojąc się, że wspólnik Mateusza zniknie mu z oczu. Przyglądał mu się z bezpiecznej odległości, kiedy do Rokosza podeszła młodziutka

atrakcyjna blondynka i pociągnęła go w stronę wąskiego korytarza, w którym mieściły się pomieszczenia dla personelu. Jeremi oparł się o ścianę i udając, że gapi się na tańczące na parkiecie dziewczyny, cierpliwie czekał na rozwój akcji. Czterdzieści minut później Rokosz ponownie pojawił się przy barze, powiedział coś do jednej z barmanek i ruszył w stronę wyjścia z lokalu.

Wsiadał do maserati, kiedy Jeremi wymknął się na zewnątrz i z opuszczoną głową przebiegł przez jezdnię. Niestety i tym razem nie udało mu się przyłapać Rokosza na niczym niestosownym - współwłaściciel klubu grzecznie wrócił na Hryniewickiego i wszedł do Sea Towers. Jednak Jaromirski nie odpuszczał. Rozsiadł się w nissanie i obserwował zostawiony na ulicy wóz Rokosza. Wiedział, że kumpel Matiego ma garaż, dlatego podejrzewał, że Rokosz jeszcze tej nocy gdzieś pojedzie. Inaczej nie zostawiałby auta na ulicy, pomyślał. Tym razem również przecucie go nie zawiodło. Nie minęło pół godziny, jak przebrany w grubszą kurtkę Rokosz zjawił się przy swoim wozie.

- I jesteś, dupku - mruknął Jeremi, obniżając się na siedzeniu, żeby tamten go nie zauważył.

Ale Rokosz nie sprawiał wrażenia kogoś, kto czujnie się rozgląda. Wręcz przeciwnie, podzwaniając kluczykami, szedł chodnikiem i rozmawiał przez komórkę. Kiedy wsiadł do auta, jeszcze przez dłuższą chwilę trzymał telefon przy uchu, nie odpalając silnika. W końcu ruszył i skierował się w stronę placu Kaszubskiego. Jeremi jechał za nim, starając się zachować bezpieczną odległość. Kilka minut później wyjechali z Gdyni. Gmina Kosakowo, przeczytał na przydrożnej tablicy i zwolnił, bojąc się, że Rokosz go przyuważy. W Mechelinkach kumpel Mateusza zaparkował nieopodal molo, wysiadł z maserati

i przeciągnął się. Jeremi pojechał dalej, chcąc zaparkować w nierzucającym się w oczy miejscu, z nadzieją, że Rokosz nie zorientuje się, że jest śledzony. Ale wspólnik jego dawnego przyjaciela nie zwracał uwagi na otoczenie - oparty o maskę swojego szpanerskiego wozu, pisał do kogoś esemesa. Jeremi zaparkował nieco dalej i wysiadł z nissana. Noc był zimna i wilgotna, od morza wiało. Szedł wolno, ostrożnie stawiając kroki. Nie chciał uruchamiać latarki w telefonie, bo zwróciłby na siebie uwagę. Był kilkanaście metrów od moła, kiedy zorientował się, że na niewielki pobliski parking wjeżdża sportowy samochód. Nie widział twarzy mężczyzny, który z niego wysiadł. W ogóle niewiele widział. Tkwił wśród ciemności październikowej nocy i starając się nie rzucać w oczy, zerkał w stronę Rokosza. Mężczyźni podali sobie ręce i po krótkiej wymianie zdań wrócili do swoich samochodów. Jeremi przemknął w stronę nissana, mając nadzieję, że pozostał niezauważony, i zdecydował, że pojedzie za tajemniczym nieznanym. Rokosza nie było sensu śledzić, skoro pojawił się ktoś nowy.

Wyjeżdżał z Kosakowa, kiedy tamten gwałtownie przyspieszył. Jechał audi TT i Jaromirski zdał sobie sprawę, że wypożyczony nissan nie ma szans z takim wozem. Jednak chwilę później koleś zwolnił, przestając szarżować. Jeremi śledził go aż na Obłuże, gdzie tamten zatrzymał się przed zaniedbanym domem z krzywym płotem, wysiadł z samochodu i pchnął furtkę.

Kim jesteś? - zastanawiał się gliniarz, przyglądając się znikającemu we wnętrzu domu mężczyźnie.

Zanim odjechał, zapisał adres i dobrze się przyjrzał otoczeniu. Rano, po tym, jak złapał kilka godzin snu, wrócił na Obłuże i siedząc w samochodzie, patrzył w okna zaniedbanego domu. Koleś, którego nocą widział w Mechelinkach, wyszedł na

zewnątrz koło dziesiątej i wsiadł do audi. Miał na sobie tę samą kurtkę i sprawiał wrażenie kogoś, kto się spieszy. Jeremi jechał za nim aż do centrum Gdyni. Na Świętojańskiej śledzony przez niego młody facet zaparkował i wszedł do jednej z bram. Jeremi w pośpiechu znalazł wolne miejsce dla nissana i wybiegł z wozu.

Do bramy wszedł bez problemu, bo metalowa krata grodząca wejście do środka pozostała uchylona. Był na niewielkim podwórzu, kiedy za plecami usłyszał czyjeś kroki. Odwrócił się gwałtownie, ale napastnik był szybszy. Cios w głowę był na tyle mocny, że runął na beton, na chwilę tracąc świadomość. Kiedy się ocknął, przyjemniaczek z audi trącił go czubkiem buta i splunął na popękane płytki tuż obok jego policzka.

- Łazisz za mną?! - warknął.

- Ja? Człowieku, nie mam pojęcia, kim jesteś - skłamał Jaromirski, usiłując się podnieść.

Kolejnego kopniaka przewidział. Kiedy ujrzał podniesioną nogę, złapał za kostkę i napastnik stracił równowagę. Wtedy poderwał się z ziemi i doskoczył do niego, by wyrwać mu z kieszeni portfel. Ale facet już odzyskał rezon i walnął Jeremiego pięścią w nos.

- Kurwa! - zaklął Jaromirski, zalewając się krwią.

- Nie łaź za mną więcej, ciulu, bo następnym razem możesz skończyć z kosą w bebechach! - warknął nieznajomy i zniknął.

Jeremi odchylił głowę w tył, usiłując zatamować płynącą z nosa krew, i delikatnie ujął w palce skrzydełka. Chyba nie jest złamany, pomyślał, muskając opuchnięty nos. Kurwa! Do samochodu wrócił wściekły i jeszcze bardziej zniechęcony. Cokolwiek się działo, nadal błędził po omacku.

Wjeżdżał do Sopotu, kiedy nagle coś mu się przypomniało. Tatuaż! W momencie, w którym facet uderzył go w nos, lekko podwinął się rękaw od sportowej kurtki, ukazując fragment

kolorowego tatuażu. Jeremi nie miał pewności, ale to mogło być coś, co wyglądało na kawałek głowy smoka. A smoka mieli również na ręce Mateusz i Robert Rokosz.

Jeżdżąc bez celu po Sopocie, pomyślał o Mateuszu. Czy to możliwe, że Mati znał kolesia, który właśnie go pobił? I czy... Nagle Jaromirski aż zaklął, bo przyszło mu do głowy coś zupełnie bezsensownego, a jednak nie niemożliwego. Co, jeśli dawny kumpel Mateusza, Sebastian, wcale nie zginął sześć lat temu w wypadku? Co, jeśli Renata miała fałszywe informacje, okłamała go albo kolesz upozorował własną śmierć, żeby się ukryć? Powodów mogło być wiele, na przykład długi. Jaromirski podejrzewał, że zarówno Rokosz, jak i jego kumple obracali się w trójmiejskim półświatku i mieli różne znajomości. A gdy się wie, kogo poprosić o pomoc, można naprawdę wiele. Na przykład udawać martwego... A jeśli to z nim spotkał się w Mechelinkach Rokosz i jeśli to on na zlecenie Roberta pobił Matyldę, żeby w to wszystko wrobić Matiego, zaczynało to mieć sens. Może obaj chcieli przejąć klub i wyeliminować najważniejszego udziałowca? Za nocną napaść i ciężkie pobicie przyrodniej siostry Mateusz mógł dostać nawet parę lat. W tym czasie Robert Rokosz ze swoim wytatuowanym znajomym mogliby przejąć interes i robić, co im się tylko zamarzy. Czemu zginęła Renata? Nie miał pojęcia. Ale zakładając, że to robota Rokosza i jego kumpla, można by przypuszczać, że zaczęła im przeszkadzać. Sebastian oficjalnie był martwy, mógł więc pojawiać się i znikać jak duch. Pobił Matyldę, specjalnie eksponując taki sam tatuaż, jaki ma Mateusz, a później, zapewne na prośbę Rokosza, zabił Renatę...

Jaromirski wreszcie dodał dwa do dwóch. I chociaż taki scenariusz nadal wydawał mu się, delikatnie mówiąc, naciągany, nie potrafił przestać myśleć o tatuażu nieznanego kolesia.

Na Chrobrego wrócił kilka minut później i zaczął przetrząsać mieszkanie kumpla. Pudło z albumami znalazł po jakimś kwadransie. Było wciśnięte w głąb jednej z szafek. „Studniówka” – przeczytał, otwierając stary album z pozaginanymi rogami. I już widząc trzecią z kilkudziesięciu fotek, zdał sobie sprawę, że jakimś cudem, jakimś naprawdę niezwykłym fartem trafił w samo sedno. Sebastian siedział między Mateuszem i Robertem, wszyscy trzymali uniesione w górę kieliszki. Młodszy, szczuplejszy i roześmiany, trzech kumpli, z których obecnie jeden siedzi w areszcie, drugi buja się po mieście wziętym ponoć na kredyt maserati, a trzeci uknuł diaboliczny plan, to znaczy upozorował własną śmierć, i w ten sposób zniknął.

- Wygląda na to, że ktoś powstał z martwych... W tym kontekście nazwa Papa Legba nabiera prawdziwego smaczku. Klub pieprzonych zombi – mruknął Jaromirski, wydając z albumu zdjęcie trzech szkolnych przyjaciół. - Mam cię, gnojku. Kimkolwiek teraz jesteś, wpadłeś!

W połowie listopada gwałtownie się oziębilo, a wiszące nad miastem chmury wróżyły pierwsze opady śniegu. Jeremi, który wpadł do Sopotu na kilka godzin, pomachał do starego kumpla i wyszedł mu naprzeciw.

- Cześć, Adaś! Kopę lat. - Podał mu rękę, kiedy spotkali się przy wejściu na molo.

- Cześć. Kurwa, ale ziąb! Słuchaj, miałeś rację, skubańcu. - Adam Tomczyc, zaprzyjaźniony prokurator, klepnął go w ramię i pogratulował intuicji. - Po ekshumacji i sekcji, którą zleciliśmy, okazało się, że to nie zwłoki Sebastiana Karwowskiego spoczywają w jego rzekomym nagrobku. A wiesz, co jest najlepsze? Zamiast niego pochowano tam jakiegoś trzydziestokilkuletniego Azjatę, którego do dziś nie udało się nam zidentyfikować.

- Czyli jednak Karwowski upozorował własną śmierć... Kurwa, jak mu się udało odwalić taki numer? - Jaromirski z niedowierzaniem pokręcił głową i parsknął śmiechem na widok jednego z napisów na molo. - Lubię kurwy i chleb ze smalcem - przeczytał.

- Pod tym akurat się nie podpiszę, bo ani kurew, ani smalcu nie trawię - mruknął przemarznięty Tomczyc, podnosząc kołnierz eleganckiego wełnianego płaszcza. - A wracając do Sebastiana Karwowskiego. Otóż koleś ma kuzyna, który sześć lat temu pracował w zakładzie pogrzebowym. Resztę możesz sobie dopowiedzieć.

- Pochowali kogoś innego? Jak to wszystko przeszło?

- Chłopie, masz kasę, to dajesz radę. Poszło parę łapówek, kilka osób przymknęło oczy. Właśnie usiłujemy się do nich dokopać. W każdym razie Sebastian Karwowski posługuje się obecnie lewymi dokumentami. Kiedy go zgarnęliśmy, twierdził, że nie ma pojęcia, o czym mówimy. Upiera się, że nazywa się Grzegorz Górski. Ale ma pecha, bo DNA znalezione w domu Matyldy idealnie do niego pasuje. I zgadnij, co jeszcze...

- To on załatwił Renatę Kroll?

- Dokładnie. Oczywiście wciąż do niczego się nie przyznaje, ale ustalenie tego jest kwestią czasu. Natomiast Rokosz pękł od razu i śpiewa, aż miło. Potwierdził, że Karwowski żyje i ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem, natomiast usiłuje nam wmówić, że nie miał nic wspólnego z pobiciem Matyldy Kroll i zabiciem Renaty. Twierdzi, że Sebastian miał chorą obsesję na punkcie obu sióstr i zabił tę starszą, bo go odrzuciła. My jednak mamy powody, by sądzić, że robotę ustawił Rokosz. A teraz najlepsze, czyli motyw. Otóż Karwowski, znany obecnie jako Górski, od kilku lat krąży ponoć pomiędzy Trójmiastem a Amsterdamem, gdzie diluje, i dochrapał się pozycji całkiem grubej ryby. I to właśnie narkotyki były przyczyną ciągłych kłótni pomiędzy dawnymi przyjaciółmi. Mateusz nie chciał prochów w swoim klubie, ale Robert Rokosz i Karwowski planowali rozkręcić punkt sprzedaży i przyciągnąć do klubu okolicznych nadzianych ćpunów. Mateusz kategorycznie się przeciwstawił, więc wrobili go w pobicie Matyldy.

- Ale Mateusz wiedział, że Karwowski żyje? - zdziwił się Jeremi.

- Podobno nie. Miał do czynienia tylko z Rokoszem, to z nim się kłócił w kwestii przyszłości klubu.

- A Renata? Sypiała z Rokoszem, czemu kazał ją zabić? - zapytał Jaromirski, starając się nie myśleć o martwej siostrze

Mateusza, którą znalazł tamtej nocy w jej oliwskim domu.

- Jeszcze nie wiemy. Może też chodziło o jakiś rozłam w interesach, a może po prostu mu przeszkadzała? - Prokurator Tomczyc wzruszył ramionami i zapatrzył się w ciemnoszare wzburzone morze. - Dzięki, że dziś przyjechałeś. Zawsze lepiej się gada twarzą w twarz niż przez telefon.

- Dzięki, że zleciłeś ekshumację. Gdyby nie ty, Karwowski nadal radośnie udawałby truposza - powiedział Jeremi.

- Cwaniaczek, kurwa. Ale warunki do tego przekrętu miał idealne. Wychowany w bidulu, z nikim niezwiązany. Wmówił światu swoją śmierć, a sam zajął się dilerką w pięknym Amsterdamie. O tym, co odpierdolił, wiedzieli tylko jego kuzyn i Robert Rokosz.

- Życ, nie umierać, co? - Jaromirski uśmiechnął się krzywo. - Może ja też upozoruję własną śmierć i wylecę na Bahamy?

- Każdy by czasem chciał. Nagle zero kredytu, zrzęczenia żony, nudnych obiadków u teściów.

- Ile to już lat?

- Co? Mówisz o moim małżeństwie? Ponad sześć.

- Gratuluję, stary.

- A ty? Dalej kawaler?

- Zawsze. Ponoć jestem marnym kandydatem na ojca - rzucił Jeremi kąśliwym tonem, a przed oczyma stanęła mu twarz Anety.

- Nie każdy od razu musi mieć dzieci. Świat jest przeludniony - zażartował Adam. - Dobra, muszę się zbierać. Miło było się spotkać, nawet tak w przelocie.

- Dzięki, chłopie.

- To ja dziękuję. Sprawa Karwowskiego przyciągnęła sporo uwagi. Można powiedzieć, że dzięki tobie zapunktowałem na samej górze. - Tomczyc klepnął Jaromirskiego w ramię,

zartobliwie zasalutował i ruszył w stronę placu Zdrojowego.

Jeremi wystawił twarz do listopadowego słońca, które na moment wyłoniło się zza chmur, i przez dłuższą chwilę stał z rękoma w kieszeniach pikowanej kurtki, gapiąc się na widoczne w oddali statki. W końcu samotnie ruszył w stronę zejścia z molo, wypił kawę w kawiarni przy Monciaku i wsiadł do zaparkowanego w pobliżu dworca samochodu.

Dojeżdżał do miasteczka, kiedy zadzwonił do niego Wojciech.

- Ty, nie wyskoczyłbyś na piwo? Pogadać chcę - rzucił Kiciński w słuchawkę.

- Teraz? Muszę najpierw wrócić do domu i się ogarnąć, ale...

- Dobra, to gdyby co, będę w Kapitanie - wszedł mu w słowo Kiciuś.

- A stało się coś, czy po prostu szukasz kumpla do kieliszka?

- Nic się nie stało, tylko... Niedługo minie rok, kiedy Krzysiek...
Za parę dni... i jakoś nie mogę się pozbierać.

- Racja, to był koniec listopada.

- Właśnie. Ale dobra, wróć, ogarnij się, później pogadamy.
Cześć.

- Cześć. - Jeremi się rozłączył i zwolnił przed zakrętem.

Do Kapitana dotarł półtorej godziny później, zastając tam kompletnie pijanego Wojciecha, który z głową wspartą na ramionach drzemał przy jednym ze stolików.

- Wojtuś, wstajemy. - Szturchnął go, siadając tuż obok.

- O, cześć, Jaro. Dzięki, że wpadłeś - wymamrotał Kiciński.

- Sporo tego - zauważył Jaromirski, zerkając na ustawione na brzegu stołu kieliszki po czystej.

- Sam piję, to szybko w łeb wchodzi. - Wojciech wstał, zachwiał się i z powrotem runął na krzesło.

- Kawy z cytryną? - zapytała barmanka, zbierając z ich stolika

puste kieliszki.

- Mrówka, siadaj z nami - rzucił Kiciuś, śmiesznie przeciągając słowa.

- Wybacz, jestem w pracy. - Dziewczyna mrugnęła do niego.

- Daj nam dwie kawy - poprosił Jeremi.

- Rok, jak Krzyśka nie ma. Rok, kurwa - wymamrotał Kiciński, półprzytomnym wzrokiem wodząc po twarzach siedzących obok miejscowych rybaków.

- Chodź, odwiozę cię do domu - powiedział Jaromirski, kiedy Wojciech wypił kilka łyków kawy i mruknął, że chce mu się spać.

- Autem do pubu przyjechałeś? - Kiciuś czknął i wybuchł głośnym pijackim śmiechem. - Słuchaj, Jaro, a czemu ty właściwie nie pijesz?

- Mój ojciec pił, wystarczy.

- Każdy pije przecież, po to wódka jest. - Znow czknął i wpadł na jeden ze stolików.

- Gośka nie będzie zachwycona, kiedy wrócisz w takim stanie.

- Gośka, kicia moja słodka, sama też potrafi się napić. - Kiciuś machnął ręką, zdjął z wieszaka kurtkę i chwiejnym krokiem ruszył w stronę wyjścia z Kapitana. - Ona chłopów przepija czasem, kicia moja - dodał.

- Dobra, wsiadaj. A zarzygaj mi tapicerkę, to nie żyjesz. - Jeremi otworzył subaru i Wojciech władował się do środka.

- Słuchaj, a do tego Sopotu to po coś ty jeździł? - zainteresował się Kiciński, bez powodzenia usiłując zapiąć pasy.

- Daj, zapnę. - Jeremi przypiął kumpla i przekręcił kluczyk w stacyjce. - A o Sopocie ci powiem, jak wytrzeźwiejesz.

- Ale że co? Masz tam jakąś dupę czy...

- Na dupach świat się nie kończy.

- Oj, kończy się na dupeńkach, ja ci to mówię, hik! - Kiciuś

czknął i opadła mu głowa.

- Śpij, śpij - mruknął Jeremi, zjeżdżając w stronę miasteczka.

Kiedy pomagał Wojciechowi wygramolić się z samochodu, przed dom wyszła Gośka.

- Stało się coś? - przestraszyła się i w narzuconej na ramiona kurtce ruszyła w stronę furtki.

- Uchlał się i tyle. - Jeremi wzruszył ramionami.

- Wejdiesz? - zapytała.

- Nie dzisiaj.

- Szkoda. Pomógłbyś mi docucić Kiciusia - mruknęła.

- Poradzisz sobie. Znając go, to nie pierwszozna.

- Co racja, to racja. - Gośka uśmiechnęła się złośliwie i pociągnęła Wojciecha za rękę. - No chodź, łajzo!

- Idę przecież - wymamrotał.

- Ile on wypił?

- Nie mam pojęcia. Siedział tam sam.

- Dzięki, że go przywiozłeś.

- Zawsze do usług. Trzymaj się!

- Cześć. - Gośka przepchnęła zataczającego się Kiciusia przez furtkę i zatrzasnęła ją nogą.

Jeremi wrócił do mieszkania i wygrzebał z lodówki zapomniany jogurt. Zza ściany nie dochodziły żadne odgłosy i z ulgą pomyślał, że upiornej rodzinki nie ma w domu.

Na właścicielkę domu wpadł wieczorem, wracając z szybkich zakupów.

- Wyprowadzili się, kiedy cię nie było.

- Rodzinka z piekła rodem?

- Tak, razem z tym upiornym bachorem, który zabazgrał mi ściany. Klócili się w nocy, postraszyłam ich policją i kazałam im się wynosić do końca tygodnia. Spakowali się od razu, ale zanim

wynieśli swoje graty i na dobre się zabrali, zrobili mi karczemną awanturę. Gdy wspomniałam, że część kaucji muszę zabrać w ramach strat, nazwała mnie pazerną dziwką, a on walnął pięścią we framugę i darł się, że ich okradam.

- Przykro mi, Monika. Żałuję, że mnie nie było. Przy mnie z pewnością zachowałoby się potulniej.

- Pewnie tak. W każdym razie nie będziesz wysłuchiwał więcej wrzasków, a następnemu lokatorowi znacznie lepiej się przyjrzę, zanim wręcę mu klucze - obiecała.

- Co mogę powiedzieć? Cieszę się.

- Załatwiłeś wszystko? - zapytała.

- W sensie?

- No to, po co jeździłeś do Trójmiasta.

- Tak - powiedział, nie wdając się w szczegóły. - Wybacz, muszę schować do zamrażalnika mrożonki.

- Jasne. - Monika lekko się uśmiechnęła i zniknęła za drzwiami swojego salonu.

Na górze, kiedy już zamknął za sobą drzwi, wypakował zakupy i nalał sobie soku, wybrał numer Matyldy.

- Radzisz sobie jakoś? - zapytał, kiedy odebrała.

- Tak, jasne. Dziś dzwoniłam się z Mateuszem. Wspomniał, że lada dzień wybiera się w twoje strony.

- Wiem, gadaliśmy.

- A pies jest super! Nie spodziewałam się, że zrobisz mi taką niespodziankę.

- Czekał w schronisku specjalnie na ciebie. Ja tylko go stamtąd zabrałem. Wybrałaś już dla niego imię?

- Tak. Zorro.

- Nieźle. Brzmi obronnie.

- Właśnie - powiedziała Matylda. - Posłuchaj, wiem, że już ci

dziękowałam, ale...

- Przestań, nie po to dzwonię.

- Wiem. Odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś?

- Kiedyś na pewno - obiecał Jeremi, nie do końca pewny, czy uda mu się dotrzymać obietnicy.

- Zainstalowałam nowy alarm. No i Zorro śpi ze mną na górze.

- Jeśli nie czujesz się tam bezpiecznie, sprzedaj dom i kup coś mniejszego.

- Sprzedać dom od taty? W życiu! To już wolę umierać ze strachu nocami. Ale wymyśliłam coś naprawdę genialnego. Za tydzień wprowadza się do mnie koleżanka ze studiów. Razem będzie nam różniej.

- Niezły pomysł. Zaproście jeszcze jakiegoś kolegę, miejsca nie brakuje - podsumował Jeremi.

- Może, może... Muszę kończyć, bo Zorro chce na spacer.

- Pozdrów go ode mnie.

- Jasne, pozdrowię.

Kładąc telefon na stole, pomyślał o Mateuszu. Oczyszczony z zarzutów kumpel niedawno wyszedł z aresztu, co naprawdę go cieszyło. Bądź co bądź, jednak udało się mu pomóc. Szkoda tylko, że nie potrafiłem obronić Renaty, przeszło mu przez myśl i poczuł palące wyrzuty sumienia. Jej śmierć nie była jego winą, a jednak każdej nocy miał przed oczyma jej ciasno oblepioną plastikowym workiem martwą twarz...

Grudzień 1998 r.

Sypało od rana, świat otoczył szczelny kokon nieskazitelnej bieli. Mama zawsze kochała pierwszy śnieg, pomyślała, idąc wzdłuż szosy. Zadymka nasilała się z minuty na minutę i Hanka zrozumiała, że powinna ją przeczekać, zamiast samotnie wracać poboczem. Ale było już za późno. Mijające ją samochody zwalniały, bryzgając spod kół pośniegowym błotem, w końcu jeden z nich się zatrzymał i zjechał na pobocze kilka metrów przed nią. Przyspieszyła, widząc ciemnozieloną skodę felicję należącą do jej wąsatego sąsiada pana Henryka. Szczęśliwie zobaczył ją, jak idzie wzdłuż drogi, i chce ją podrzucić. Otrzepała ze śniegu kupione jej przez ojca relaksy i złapała za klamkę.

- Wsiadaj, zanim na dobre nas zasypie! - ponaglił ją pan Henryk.

Wsiadła, bąknęła „dzień dobry” i zapięła pasy.

- Ze szkoły? - zapytał, chociaż przecież widział, że ma ze sobą książki.

- Tak - powiedziała cicho, speszona jego towarzystwem. W ciasnym wnętrzu pachnącego sosnowym odświeżaczem samochodu poczuła się dziwnie niekomfortowo.

- To co? Muzyczka? - Sąsiad włączył samochodowy magnetofon i rozległa się głośna muzyka. - Bee Gees - mruknął, zwalniając przed zakrętem.

- Wiem, mój tato też ich słucha - powiedziała Hanka.

- Czytałem ostatnio o ich najmłodszym bracie. Będzie ponad dziesięć lat, jak umarł. Młody chłopak, żal. Miał zapalenie mięśnia sercowego czy inne cholerstwo - rzucił pan Henryk, a chwilę później zreflektował się, że przecież matka Hanki niedawno również zmarła na serce. - Wybacz, ja tylko mówię, że...

- W porządku - szepnęła. - Tato powtarza, że muszę się w końcu z tym pogodzić.

- Ale serce boli, co? - Sąsiad na chwilę oderwał wzrok od zaśnieżonej drogi i zerknął na skuloną na przednim siedzeniu dziewczynę.

- Boli - przyznała i w aucie zapadła krępująca cisza.

Do końca wspólnej jazdy żadne z nich nie powiedziało już nawet słowa. Hanka siedziała w milczeniu, zapatrzona w pracujące miarowo wycieraczki i wirujący wokół przedniej szyby śnieg, pan Henryk prowadził w skupieniu, zwalniając przed każdym bardziej zdradliwym zakrętem. Podwiózł ją przed sam dom, chociaż musiał przez to nieco nadrobić drogi.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się blado i zatrzasnęła drzwi wozu.

W domu było cicho, ponuro i chłodno. Ciężkie śniegowe chmury sprawiły, że dzień był szary i przygnębiający, a w pokojach i kuchni nie paliło się ani jedno światło.

- Mamo?! - krzyknęła Hanka, zdejmując kurtkę.

Często gdy wchodziła, wołała matkę, jakby przez tych kilka cudownych sekund od powitania miała nadzieję usłyszeć jej odpowiedź. Ale matka, gdziekolwiek była, milczała.

- Do kogo ty mówisz?! - usłyszała gniewny głos ojca. - Zostaw zmarłych w spokoju, mówiłem ci! - warknął na nią.

- Nie jesteś w pracy? - zapytała, wkopując w kąt przedpokoju oblepione śniegiem buty.

- Wziąłem wolny dzień, zaraz jadę po Teresę.

- A co? Kolejna romantyczna randka? - zapytała Hanka ostrym tonem.

- Nie. Przeprowadzka.

- O, twoja przyjaciółka zmienia adres?

- Owszem. Na nasz.

- Co? - Hanka była tak zaskoczona, że z trudem mogła oddychać. - Tato, co ty mówisz?! - krzyknęła.

- Mówię, że chcemy razem zamieszkać. Wybacz, że wspominam o tym dopiero teraz, ale nie chciałem żadnych scen i hysterii.

- Ale przecież nie ma jeszcze nawet pół roku, odkąd mama...

- Twoja matka nie żyje, a my się kochamy. Pogodzisz się z tym albo nie będzie ci tu dobrze - powiedział lodowatym tonem.

- Ona nie może się tu wprowadzić! A co z rzeczami mamy?! Z jej pokojem, z waszą sypialnią, z kuchnią?! To jest dom mamy! - krzyknęła Hanka.

- To mój dom - wycedził ojciec. - I żeby było jasne: żadnych scen. Teresa ma się z nami czuć dobrze, słyszysz?

- Nie zgadzam się na to! - Tupnęła.

- Nie ty o tym decydujesz. Wyniosłem część rzeczy twojej matki do garażu. Jej maszynę do szycia, harlequiny, buty. Mam nadzieję, że uszanujesz moją decyzję.

- Nie chcę jej tu! Nie chcę jej, słyszysz?! Ona nie może tu zamieszkać, nie zgadzam się! - Hanka rzuciła się na ojca z pięściami.

Dał jej w twarz. Pierwszy raz w życiu ją uderzył. Rozpłakała się i uciekła do swojego pokoju. Nie potrafiła w to uwierzyć, nie mogła! Zbliżało się Boże Narodzenie. Rok wcześniej mama siedziała z nimi przy wigilijnym stole, a teraz zasiądzie przy nim ta wiedźma?!

- Tato, proszę cię! - Ojciec szedł w stronę swojego samochodu,

kiedy Hanka wybiegła przed dom i zaczęła go błagać, żeby zmienił zdanie. – Co powiedzą sąsiedzi, jest jeszcze za wcześnie! – płakała.

– Ludźmi się nagle przejmujesz?! Wracaj do środka, zaziębisz się – nakazał i nie czekając na odpowiedź, wsiadł do auta.

Załomotała pięściami w przednią szybę, ale nawet na nią nie spojrzał. Wycofał i ruszył w dół uliczki, a ona, dzwoniąc zębami z zimna, w samym swetrze i dżinsach stała na podjeździe, zastanawiając się, co robi, kiedy ta kobieta przekroczy próg jej domu. Domu mamy...

Przyjechali dwie godziny później. Ona rozszczebiotana, w eleganckim futrze i modnych kozaczkach, ojciec szeroko uśmiechnięty, szarmancki i zauroczony. Przez jakieś pół godziny przynosili z samochodu jej rzeczy i kręcili się po mieszkaniu, w końcu otworzyli przywiezioną przez nią butelkę czerwonego wina i zasiedli w salonie.

– Hanka! Chodź się przywitać! – krzyknął ojciec, kiedy na palcach przemykała się do łazienki. – Nie będziesz się chyba przed nami chować?

Przystanęła i zagryzła usta w bezsilnej złości. Tymczasem Teresa wstała z sofy, odłożyła kieliszek na ławę i wyciągnęła do niej rękę.

– Zobaczysz, na pewno się zaprzyjaźnimy. – Uśmiechnęła się nieszczerze.

– Wątpię – rzuciła jej w twarz Hanka i chwilę później zatrzasnęła łazienkowe drzwi.

– Mówiłem ci, bez scen?! – Ojciec pojawił się w jej pokoju kilka minut po dwudziestej. – Lekcje zrobiłaś? Żebym znowu nie świecił oczyma na wywiadówce!

– Daj mi spokój – szepnęła.

- Nie dam ci spokoju, dopóki nie przywitasz się z Teresą. Czy ci się to podoba, czy nie, ona teraz tu mieszka.

- To niech sobie mieszka! Byle schodziła mi z drogi! - rzuciła Hanka, przeszywając ojca nienawistnym spojrzeniem. - To ty powinieneś umrzeć, nie mama! - dodała mściwym, kipiącym złością głosem.

- Bardzo mi przykro, że tak cię rozczarowałem - powiedział, zanim wyszedł z jej pokoju.

Do dwudziestej drugiej płakała wtulona twarzą w stary wełniany sweter mamy, który przyniosła z garażu razem z kilkoma innymi upchniętymi tam przez ojca drobiazgami. Później wstała, na palcach podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Z salonu dochodził głośny śmiech Teresy i jazgot włączonego telewizora - ojciec i jego kochanka musieli siedzieć na sofie i oglądać jakiś film. Hanka założyła sweter matki, spięła włosy w kucyk i na palcach przemknęła do korytarza. Kiedy w pośpiechu zakładała kurtkę, ojciec głośno się zaśmiał, a Teresa mu zawtórowała. Nienawidzę ich, pomyślała, zakładając relaksy.

Na ulicę Artura dotarła tak przemarznięta, że rozdzwoniły się jej zęby. Wymykając się z domu, zapomniała czapki i rękawiczek, a zgrabiące od zimna dłonie ledwo się mieściły w zbyt płtykich kieszeniach starej kurtki. W pokoju jej chłopaka paliła się nocna lampka, a Hanka wyobraziła sobie, jak Artur leży na brzuchu i kartkuje komiksy. Przeszła przez zasypany śniegiem trawnik i zastukała w parapet. Dwa mocniejsze uderzenia, jedno słabe i jeszcze raz to samo, ich tajny kod.

Przez chwilę nie działo się nic, w końcu jej chłopak podszedł do okna i się wychylił.

- Cześć, piękna! Dawno nie stukłaś w moje okienko - rzucił lekkim tonem.

- Możesz wyjść?

- Teraz? W sumie nie wiem...

- To możesz czy nie?

- Może ty wejdiesz?

- Nie chcę. Muszę się przejść i ochłoniąć - oznajmiła, choć z zimna ledwo mogła mówić, tak jej dzwoniły zęby.

- Dobra, czekaj, tylko coś na siebie zarzucę. - Artur przymknął okno i zniknął w ciepłym pokoju.

Hanka zerknęła w stronę salonu, w którym, sądząc po padającej z okien na śnieg niebieskawej poświacie, jego rodzice oglądali telewizję, i pozazdrościła Arturowi normalności. U mnie już nigdy nie będzie normalnie, pomyślała. Straciłam dom. Stałam się intruzem pod dachem obcej baby, która pewnie będzie sterować moim ojcem jak bezwonną marionetką... Poczula pod powiekami łzy. „Większość facetów to potulni pantoflarze, którzy tylko udają, że rządzą w domach”, usłyszała kiedyś słowa rozmawiającej z mamą sąsiadki i z czasem coraz częściej zdawała sobie sprawę, jak wiele w tym prawdy...

- Dobra, jestem. Będę miał przesrane, kiedy starzy odkryją, że nie ma mnie w pokoju, ale dla ciebie wszystko. - Artur wyslizgnął się z domu i trzymając się za ręce, puścili się biegiem przez zaśnieżony trawnik.

W okolicy portu dotarli objęci. Hanka trzęsąc się z zimna, on równie przemarznięty.

- Zajdziemy do Kapitana? Kazik powinien dziś być w robocie, może nam czegoś poleje - zaproponował Artur, rozcierając złodowackie dłonie Hanki.

- Chodźmy - zgodziła się, marząc o wejściu do dusznego, pełnego podpitych klientów pubu.

- Czekaj, zajdźmy od zaplecza, żeby Kazkowi się nie dostało, że

się tu kręcimy. Czasem zostawiają tylne drzwi otwarte. - Artur pociągnął ją na tyły Kapitana i wślizgnęli się do środka wejściem dla personelu.

- Jezu, jak zmarłam. - Przycupnęła na krześle z poszarpanym obiciem i wyciągnęła dłonie w stronę stojącego w kącie elektrycznego piecyka.

- Znam lepsze miejsce. - Artur pchnął drewniane drzwi w głębi pomieszczenia i zawołał Hankę. - Tu sobie przysiądź, a ja skombinuję coś do picia - dodał.

Weszła za nim do niewielkiego pomieszczenia, w którym stały: nieduży drewniany stół, dwa rozchybotane krzesła i tapczan z brązowym kwiatowym obiciem.

- Siadaj, zaraz wracam! Idę poszukać Kazka. - Zdjął kurtkę i cisnął ją na jedno z krzesel, ale przemarznięta na kość Hanka nadal siedziała w wierzchnim okryciu, dzwoniąc zębami z zimna.

Przyniesiona przez Artura wódka smakowała ohydnie i przez chwilę dziewczyna myślała, że zwymiotuje. Udało jej się jednak przełknąć dwa kieliszki i zrobiło jej się cieplej.

- Pokaż. - Artur usiadł obok niej na starej zapadającej się wersalce i ujął w ręce jej dłonie. - Zaraz będzie ci cieplej - dodał z uśmiechem.

Oparła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy, po raz pierwszy od dawna czując się błogo i bezpiecznie. Zza zamkniętych drzwi dochodziły pijackie śmiechy, brzęk szkła i muzyka country, którą ostatnio dość często puszczano w Kapitanie, ale tu, w niewielkim pokoju na zapleczu, było w miarę ciepło i przytulnie.

- Ona z nami zamieszkała - powiedziała Hanka cicho. - Kochanka mojego ojca.

- Co ty gadasz? Ma babsztyl tupet - rzucił Artur przez zęby.

- Nienawidzę jej! I ojca też! Nie chcę z nimi mieszkać aż do matury, nie dam rady...

- A jakie masz wyjście? - zapytał, gładząc ją po kolanie.

- Mam już tylko ciebie - szepnęła.

- Zawsze przy tobie będę, Haniu... Masz, wypij. Dokończymy flaszkę. - Nalał jej trzeci kieliszek, który z trudem przełknęła.

- Kuzyn ci to dał?

- Nie. Zwinąłem zza baru. - Wyszczерzył się w szerokim uśmiechu i dodał, że Kazka nie widział, a piwo leje jakiś młody barman.

- I możemy tu siedzieć?

- A czemu nie? - Wzruszył ramionami.

- Co, jeśli ktoś nas tu znajdzie?

- Nie znajdzie. Zresztą można zamknąć drzwi. - Wstał i przekręcił klucz. - I już. To tylko stary składzik, niczego tu nie ma. Możemy tu siedzieć do końca świata i jeden dzień dłużej.

- Kręci mi się w głowie - poskarżyła się.

- To się połóż.

- Nie chcę. Zatańcz ze mną. - Wstała, a Artur przyciągnął ją do siebie.

- Ładnie pachniesz - powiedział, wachając jej włosy. - Rozpuść je - dodał, a ona ściągnęła różową frotkę i kilka razy potrząsnęła głową, by nadać puszystość uwolnionym z kucyka jasnym włosom.

To ona pocałowała go pierwsza. Stała na palcach i musnęła ustami jego miękkie wargi.

- Mam tylko ciebie - powtórzyła, kiedy całował jej szyję, niecierpliwie rozpinając guziki jej kraciastej flanelowej bluzki.

- Zróbmy to - wyszeptał jej na ucho. - Teraz.

- Nie wiem...

Zawahała się, ale on już zdążył wsunąć dłonie pod jej koszulę

i objąć piersi.

Wahała się jeszcze przez moment, w końcu sięgnęła do jego paska i patrząc mu w oczy, rozpięła metalową sprzączkę. Zza drzwi dochodziło zawodzenie jednej z piosenek country, która śpiewała o odludnym rancho wśród skalistych gór i utraconej na zawsze miłości, kiedy oboje rozochoceni wypitym alkoholem i oszołomieni swoją bliskością zdzierali z siebie ubrania. Artur pociągnął ją na tapczan i nagi, w samych frotowych skarpetach, położył się na niej, całując jej piersi.

- Czekaj, ja... - zaczęła, ale nie pozwolił jej skończyć.

Wszedł w nią i chwilę później z cichym jękiem skończył w jej ciepłym wnętrzu.

- Już? - szepnęła zaskoczona, bo oprócz krótkiej chwili palącego bólu między nogami nie poczuła żadnych fajerwerków, o których czasem jej opowiadały starsze koleżanki.

- Przepraszam, nie byłem w stanie dłużej. - Artur uniósł się na łokciach i spojrzał jej w twarz. - Ale podobało ci się?

- Tak - skłamała, zastanawiając się, czy powinna wstać i pozbyć się nieprzyjemnej lepkości spomiędzy nóg, czy może leżeć w jego ramionach i udawać, że przeżyła najlepszy seks w swoim życiu.

Zresztą, jak dotąd jedyny...

- Kocham cię - powiedział, wstając.

- Ja ciebie też.

- Ubieraj się, zimno tu. - Podał jej stanik i koszulę, a ona wyjęła spod tyłka majtki i grube pasiaste rajstopy.

- Muszę iść siku.

- To idź. Tylko postaraj się nie rzucić w oczy. Krzywo tu patrz na nieletnich.

- Jak wszędzie - mruknęła, zakładając rajtki.

Na kwieciste obicie kanapy bała się spojrzeć. Dziewczyny

mówiły, że czasem po pierwszym razie jest dużo krwi. Ale z drugiej strony to nie mój problem i nie mój tapczan, powiedziała sobie, zapinając spodnie.

Kwadrans później wymknęli się z pubu i przedzierając się przez zadymkę, ruszyli w stronę jej domu.

- Masz klucz? - upewnił się Artur, a ona lękliwie spojrzała w stronę ciemnych okien sypialni ojca.

Jeśli mnie przyłapie, będzie niewesoło, pomyślała. Szybko jednak poczuła złość. A nawet jeśli, to co z tego? Skoro on mógł sprowadzić do domu tę wiedźmę, ona też może robić, co chce, buntowniczo stwierdziła w duchu.

- Cieszę się, że to zrobiliśmy - powiedział Artur, całując ją w usta.

- Nie wolno się całować na mrozie.

- Bo kto tak mówi? - zdziwił się.

- Ja. - Uśmiechnęła się i czubkiem nosa potarła jego lodowato zimny nos. - Idź już i nie zamarznij po drodze.

- Postaram się.

Chwilę później udało jej się niepostrzeżenie wślizgnąć do domu i cicho zamknąć frontowe drzwi. Ściągała buty, starając się poruszać bezszelestnie, kiedy z ciemnego salonu wyłoniła się Teresa z kieliszkiem wina w dłoni.

- Proszę, proszę. Jest prawie pierwsza w nocy, a księżniczka wraca pijana? - Kochanka ojca podeszła do Hanki i posłała jej krzywy uśmieшек. - Ale może nie powiem twojemu ojcu. Będziemy miały wspólny dziewczyński sekret, co ty na to?

- A ja na to: wynoś się z mojego domu! - rzuciła jej w twarz Hanka i głośno zatrzasnęła drzwi od swojego pokoju.

Rano tato nazwał ją głupią smarkulą i strasznie na nią nawrzeszczał, ale jego wybuch nie zrobił na niej żadnego

wrażenia. Nie kochała go już, nie ufała mu i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nawet jeśli wciąż był jej ojcem... Teresa przyglądała się im, sącząc kawę z porcelanowej filiżanki, którą kupiła mama. W eleganckim kwiecistym szlafrocisku, z przeciągniętymi czerwoną szminką ustami i rozpuszczonymi włosami, uśmiechała się krzywo w wyrazie triumfu, ale nie powiedziała ani słowa.

- Nie gap się na mnie! - warknęła Hanka, rzucając jej nienawistne spojrzenie.

- Co ty powiedziałaś?! - krzyknął ojciec, ale już nie słuchała.

Złapała kurtkę, buty założyła przed domem i wybiegła na mróz. Do wieczora kręciła się po porcie i centrum, od czasu do czasu wchodząc do sklepów i bram, żeby się ogrzać. Kiedy wróciła do domu, nie było ani ojca, ani jego flamy. Rano podsłuchiwała, że wybierają się do kina, i poczuła niekłamaną ulgę.

- Nie ma cię, wiédźmo - mruknęła, naciskając klamkę drzwi od sypialni, w której kochanka ojca spała z nim na szerokim małżeńskim łóżku, w którym jeszcze niedawno sypiała mama.

Niestety drzwi były zamknięte. Mama nigdy ich nie zamykała. Hanka uwielbiała siadać przy należącej do niej toaletce i skrapiać przeguby jej perfumami, jednak teraz nawet ten pokój nie należał już do niej. Teraz to było terytorium tej suki, która zniszczyła jej rodzinę.

30

Matylda kręciła się po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Mateusz, którego kilka dni wcześniej wypuszczono na wolność, zapowiedział się na osiemnastą, ale właśnie przesłał esemesa, że nieco się spóźni. Krążyła więc od okna do okna, nie mogąc się doczekać jego wizyty, a leżący przy kominku Zorro – prezent od Jeremiego – od czasu do czasu unosił łeb, z zaciekawieniem przyglądając się swojej nowej pani.

– Co? Też czekasz? Mam nadzieję, że od razu się polubicie. – Kucnęła i pogłaskała wilczura po łbie.

Dochodziła osiemnasta czterdzieści, kiedy zauważyła parkującego przed jej furtką Mateusza, i wybiegła przed dom. Wysiadał z samochodu, kiedy wyskoczyła na chodnik i rzuciła mu się na szyję.

– Cześć, mała! – Przyrodni brat podniósł ją i kilka razy okręcił dookoła.

– Tak dobrze cię widzieć – powiedziała z nosem wtulonym w futrzany kołnierz jego kurtki.

– Ciebie też. Co ty, becysz? – Postawił siostrę na chodniku i wytarł płynącą po jej policzku łzę. – Już dobrze, wróciłem do domu.

– Nic nie jest dobrze! Renata nie żyje, a ty...

– A ja się przekonałem, jacy potrafią być ludzie. Boże, strzeż mnie przed przyjaciółmi, z wrogami sam sobie poradzę – rzucił ostrym tonem. – Chodźmy do środka, nie masz kurtki. – Rozmasował siostrze plecy.

- Chodźmy. Tylko nie przestrasz się psa. Wabi się Zorro, Jeremi wziął go dla mnie ze schroniska.

- Jaromirski dał ci psa? - Mateusz uśmiechnął się.

- Tak, jest cudny!

- Zaraz zobaczymy. Mam nadzieję, że się na mnie nie rzuci. - Mrugnął do siostry i przepuścił ją w drzwiach.

- Jak się trzymasz? - zapytała, kiedy już brat przywitał się z wilczurem i usiadł na sofie. - No wiesz, chodzi mi o Renatę.

- Marnie. Pewnie trochę by mi ulżyło, gdyby w końcu wydali nam ciało...

- Trwa śledztwo, nie powinniśmy mieć żalu.

- Nie mam żalu. Mówię, że chciałbym już ją pochować.

- Przykro mi, że tak się stało. - Matylda usiadła obok niego i położyła mu głowę na ramieniu. - Wiem, że ją kochałeś.

- Oczywiście, że ją kochałem! Była moją siostrą. Co nie znaczy, że w powszednie dni się uwielbialiśmy...

- Policja mówi, że to jednak Robert Rokosz stoi za jej śmiercią. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to upiorne. Przecież oni byli razem - powiedziała cicho Matylda.

- Mieli romans. Burzliwy i raczej toksyczny. To nie to samo, co udany związek - stwierdził Mateusz.

- Romans, związek, jaka to różnica?! Zlecił temu swojemu udającemu umarlaka kumpłowi, żeby ją zadusił! Przyznał chociaż, o co chodziło?

- Nie, ale przypuszczam, że o klub. Po tym, jak udało mu się wsadzić mnie do aresztu, poczuł się bezkarny, a Renaty nie miał kto chronić. Tato nie żyje, ja tkwiłem za kratami, więc Rokosz zdecydował, że pozbędzie się nas obojga.

- Żeby zostać jedynym właścicielem klubu? O to mu chodziło? Poświęcił lata przyjaźni dla jakiejś tancbudy?!

- Już od dawna nie była to przyjaźń. - Mateusz się skrzywił. - Uczepił się mnie jak rzep psiego ogona i tkwiliśmy w tym układzie, nie bardzo wiedząc, jak się z niego uwolnić. Kiedy zakładaliśmy ten biznes, byłem pewny, że będziemy nieźle się dogadywać, ale później okazało się, że Robert ma do mnie żal. O to, że mam bogatego ojca i wyłożyłem większą część kasy. O to, że chcę mieć więcej do powiedzenia, bo jestem głównym udziałowcem. O to, że Renata zazwyczaj mnie wspiera, kiedy dochodzi do konfrontacji. Czasem tak sobie myślę, że przez ostatnie miesiące ona była z Robertem już tylko po to, żeby zachować nad nim resztki kontroli. I przypłaciła to życiem...

- Chyba się nie obwiniasz? O to, że zginęła?

- Trochę tak. Powinienem lepiej jej pilnować, przestrzec ją.

- Jak? Była dorosła i wiedziała, kim jest Rokosz. Miał powiązania z półświatkiem, robił ciemne interesy. Musiała się domyślać, że jest zamieszany w prochy!

- Jasne, że się domyślała. Sama też nie pogardzała koką i pigułkami, które regularnie jej załatwiał. - Mateusz lekko się skrzywił i pogłaskał psa, który trącił jego kolano nosem, domagając się uwagi.

- To czemu nagle ty czujesz się winny?! To ona ćpała i sypiała z gangsterem! - rzuciła podniesionym głosem.

- Nie chcę dłużej o tym mówić - uciął. - Jest zaskakująco ufny jak na psa ze schroniska.

- Podobno nie miał złego życia. Jeremi powiedział, że był tam tylko kilka dni. Jego właściciele zginęli w wypadku i nie miał kto go przygarnąć, ale był kochany i zadbany.

- Biedny Zorro. Same nieszczęścia dookoła, co? - Pogłaskał psa za uszami, a ten urywanie szczeknął.

W tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi, a siedząca

obok Matylda aż podskoczyła.

- Spokojnie, to tylko dzwonek. Siedź, otworzę. - Poklepał siostrę po ramieniu i wstał.

Po chwili wrócił do salonu z dużą bąbelkową kopertą w dłoni.

- Zamawiałaś coś? - zapytał.

- Nie.

- Otworzyć?

- Otwórz. I miejmy nadzieję, że to nie wąż. - Zaśmiała się nerwowo i zerknęła bratu przez ramię. - Nie ma adresu nadawcy?

- Nie. Dobra, otwieram. - Mateusz złapał leżący na ławie nóż, którym Matylda kroїła szarlotkę, i rozciął kopertę.

- Co to?

- Zdjęcia - powiedział, przyglądając się kopercie.

- Zdjęcia?

- Patrz. - Mateusz podsunął jej jedną z fotografii. - To z tamtej nocy, kiedy cię pobito. Ktoś z ukrycia sfotografował Sebastiana, jak wchodzi do twojego ogrodu.

- Skąd wiesz, że to z tamtej nocy?

- A bywał u ciebie kiedy indziej? - zapytał i nagle znieruchomiał. - O kurwa...

- Co? - Matylda zerknęła mu przez ramię i zbladła. - Czy to...

- Tak - powiedział cicho, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył.

W samochodzie, którym musiał przyjechać Sebastian, siedziała... Renata.

- Była z nimi w zmowie? To ona chciała, żeby mnie pobili? - wykrztusiła zszokowana Matylda.

- Nie chodziło o ciebie. Chcieli wyeliminować mnie. Wierzyłem, że Renata była wobec mnie lojalna, ale teraz widzę, że była w zmowie z nimi i świetnie wiedziała, że Sebastian żyje. Nie zginęła dlatego, że postawiła się Rokoszowi. Zginęła, bo zaczęła

mu przeszkadzać. Wykonała swoją robotę i się jej pozbył.

- Nie wierzę! Nie mogła być aż tak podła! Nie lubiła mnie, ale...

- Uwierz mi, mogła - powiedział cicho Mateusz, zanim podarł zdjęcia na strzępy. - Teraz rozumiem, czemu nie widziałem przed furtką samochodu kuriera, a chłopak wyglądał na przestraszonego. Oni chcieli, żebyśmy obejrzeliby to razem. Zapłacili komuś, żeby mi to dał, kiedy jestem u ciebie.

- Kto tego chciał, Mateusz? Robert i Sebastian siedzą! Komu zależało na tym, żebyś poznał prawdę o Renacie?

- Może tobie? - zasugerował.

- Co? - Matylda była tak zszokowana, że prawie odjęło jej mowę. - Co ty pierdolisz?!

- Może to ty zgodziłaś się na to pobicie? - Twardo na nią spojrzał. - A później przysłałaś mi te fotki, żebym wierzył tylko w jej winę, w to, że ona była w to zamieszana. Ciekawe, że dostałem je akurat tu, kiedy jestem u ciebie... Może udawałyście, że się nie znosicie, a za moimi plecami knułyście intrygi?! - niemal wykrzyczał.

Spokój, z jakim się pojawił w tym domu, nagle gdzieś zniknął. Snując swoje spiskowe teorie, Mateusz wyglądał jak obłąkany, jakby coś w niego wstąpiło...

- Ja zleciłam, żeby ktoś mnie pobił?! - krzyknęła Matylda. - I kto niby zrobił te zdjęcia, skoro Rokosza nie było w Trójmieście, a Sebastian włamywał się do mojego domu?!

- Nie wiem, może ktoś jeszcze z nimi był? Ktoś, kto nam te fotki podrzucił. Pomyśl sama, to w sumie układa się w całkiem niezłą historię. Ty i Renata dogadałyście się, bo chciałyście się mnie pozbyć. Dla klubu i kasy. Ona przyjechała tam z Sebą i czekała, aż on zrobi swoje, a później ty podniosłaś larum i to mnie zamknęli.

- Co ty pierdolisz?! Jak mogłabym zlecić coś takiego?! Połamali

mi żebra i ukruszyli zęba! Miałam całą twarz w siniakach, a ty twierdzisz, że ja to wymyśliłam?! Przecież od początku mówiłam policji, że to nie mogłeś być ty! - Zerwała się z sofy i oskarżycielsko wyciągnęła palec w stronę przyrodniego brata. - Czemu miałabym to zrobić?! No powiedz!

- Bo sypiałaś z Sebastianem i świetnie wiedziałaś, że on żyje. Bo chcieliście się mnie pozbyć, a ty planowałaś wejść z nimi w spółkę. Bo pobili cię niby mocno, ale nie aż tak, żebyś tego nie przeżyła. Bo to miało tylko źle wyglądać. Gorzej, niż było w rzeczywistości...

- Co ty pieprzysz, Mateusz?! Odwaliło ci?! Bo gadasz jak potłuczony! Naprawdę wierzysz, że zrobiłabym ci coś takiego?! - krzyknęła Matylda, tłumiąc łzy. - Nie sypiałam z Sebastianem, nawet go nie znałam! - broniła się.

- A z Robertem Rokoszem?! Może to nim dzieliłyście się z Renatą?! Zabawiałaś się z tym wiecznie naćpanym farbowanym lisem, no przyznaj!

- Nie, do cholery! Nie wierzę! Kurwa, nie wierzę, że przyszło ci do głowy coś tak ohydneho! Nie wiem, czemu Renata zleciła pobicie mnie, ani co tamtej nocy robiła pod moim domem, ale ja nie miałam z tym nic wspólnego, słyszysz?! Nie zleciłam tego, żeby cię wrobić! Cieszyłam się, że mam w tobie brata, ty idioto! - Wreszcie się rozplakała, ukrywając twarz w dłoniach. - Wynoś się stąd, ty dupku! - Rzuciła w niego poduszką. - Wynoś się i nie pokazuj mi się na oczy! Wierzyłam, że jest między nami prawdziwa więź, że mnie pokochałeś, a ty uważasz, że ja lecę na twoją kasę?!

- A nie lecisz? Radośnie wyciągałaś rączęta po wszystko, co dawał ci mój ojciec!

- Dawał, to brałam! A twój klub mam w dupie, nawet nie lubię

tam chodzić! Jesteś żałosny, słyszysz?! Bogaty chłopczyk, któremu się wydaje, że cały świat chce go okraść! Wynos się stąd! - wyłkała Matylda, a Zorro kilka razy szczeknął.

Mateusz wstał i sięgnął po kurtkę.

- Jedno mi się nie zgadza... Po co Renata jechała po pomoc do Jeremiego, skoro na rękę jej było to, że siedzę?

- Bo może nie miała z tym nic wspólnego, ty dupku?! Może tamtej nocy siedziała w aucie Sebastiana, nie mając pojęcia, że on mnie pobije! Może powiedział jej, że tylko chce ze mną pogadać albo coś zabrać z mojego domu! Może to oni władowali ją w cały ten syf, tak samo jak ty usiłujesz mi wmówić, że zleciłam coś, czego nie zrobiłam! To Rokosz i Sebastian chcieli cię wydymać, nie rozumiesz?! Nie znosiłam Renaty, ale nie chce mi się wierzyć, że miała z tym coś wspólnego! A ty jesteś ciężkim idiotą, Mateusz! - krzyknęła.

Nie odpowiedział. Cisnął na sofę kurtkę i w milczeniu ukrył twarz w dłoniach.

- Więc to nie ty? Możesz mi przysiąc, że nie miałaś z tym nic wspólnego?

- Żadna kobieta nie dałaby sobie tak zmasakrować twarzy, pajacu! Ale wiesz co? Nie zamierzam dłużej cię przekonywać, możesz wierzyć, w co chcesz!

- Przepraszam - powiedział cicho. - Wpadam w totalną paranoję. Nie wiem już, kto jest moim przyjacielem, a kto wrogiem.

- Owszem, odwała ci. I sorry, ale tego ci nie wybaczę - oznajmiła łamiącym się głosem. - Ktoś włamał się do mnie w środku nocy, na dobre odebrał mi poczucie bezpieczeństwa i pobił tak, że kilka dni spędziłam w klinice, a ty mi mówisz, że ja to zleciłam, bo byłam w zмовie z tymi bandziorami?! To jest

chore, Mateusz! Chce mi się rzygać, kiedy na ciebie patrzę, słyszysz?! Nigdy, przenigdy bym nie przypuszczała, że zarzucisz mi coś tak ohydneho! Płakałam każdego wieczoru, myśląc o tym, że siedzisz zamknięty w areszcie! Modliłam się do Boga, w którego nawet nie wierzę, żeby wszystko szybko się wyjaśniło, bo nawet przez chwilę nie wierzyłam w twoją winę i w to, że to ty mnie pobiłeś, aż tu nagle zjawiasz się w moim domu i mówisz, że uknułam jakiś porąbany spisek przeciwko tobie, by położyć łapę na twojej kasie?!

- Przepraszam. - Zaczął płakać, ale ona ani nie potrafiła, ani nie chciała go pocieszyć.

Czuła się upokorzona, zraniona i oszukana. Wierzyła, że ją kocha, traktuje jak siostrę i jej ufa. A on całkiem oszalał... Babcia zawsze powtarzała, że tam, gdzie są duże pieniądze, tam trudno o szczerą miłość i zaufanie. Nie wierzyła jej, drażniła ją taka mentalność, ale nagle zrozumiała, jak wiele w tym prawdy...

- Idź już - powiedziała cicho.

- Matyllda, przepraszam cię.

- Powtarzasz się.

Wstał, sięgnął po kurtkę i ruszył w stronę wyjścia. Wyszedł bez słowa, nawet na nią nie spojrział. Kiedy zamknęła za nim drzwi, wybuchła płaczem i osunęła się na podłogę. Jak on mógł?! Jak w ogóle mógł pomyśleć, że miała z tym coś wspólnego?! - zastanawiała się. Wtedy podjęła decyzję, i ta decyzja wydała jej się prosta i oczywista. Nie chce już tego domu, tego życia i przynależności do tej rodziny. Pomimo wdzięczności, jaką wciąż czuła do zmarłego ojca, jednak sprzeda tę willę i zacznie od początku w nowym miejscu, daleko od Sopotu i porąbanych rodzinnych relacji, w które wpadła, przyjmując prezenty i ciesząc się uwagą ojca. Pokochała Mateusza, był jej naprawdę bliski. A on

wbił mi nóż w plecy, pomyślała, tuląc się do psa, który trącił ją nosem i kręcił się wokół niej, jakby chciał ją pocieszyć.

- To nic, Zorro, nie przejmuj się - chlipnęła. - Po prostu komuś odjechało...

Robiła herbatę, kiedy Mateusz wrócił pod jej dom z bukietem róż i czekoladkami i kilka razy wcisnął guzik domofonu.

- Matylda, otwórz! - krzyknął zza furtki, kiedy wyszła na ganek.

Zarzuciła na ramiona kurtkę, podeszła do bramki i wpuściła go do ogrodu.

- Te kwiaty niczego nie zmienią - powiedziała, biorąc od niego bukiet. - Złamałeś mi serce.

Zaczął przeproszać i znowu się rozplakał. Był w totalnej rozsypce, całkiem się rozkleił. Przytuliła go i pogłaskała po głowie, ale wiedziała, że nie będzie umiała mu wybaczyć. Nie po tym, przez co przeszła.

31

Kiciński samotnie kręcił się po niewielkiej kuchni na komisariacie i pogwizdując, smarował pastą serową kromki chrupkiego pieczywa, kiedy do środka zajrzała Hanka Piasecka.

- O, tu jesteś, żarłoczna bestio. Malinowski się powiesił. Zbieraj zadek, bo Oziębłowicz już wszystkich pogania.

- Zenek Malinowski? - zapytał Wojciech, zanim wgrzył się w kanapkę. - Czekaj, tylko coś zjem. Nie wyjdę głodny na tę kurewską zadymkę. Środek, kurwa, listopada, a już sypie - zaklął, obkładając chlebek plasterkami cienko skrojonego konserwowego ogórka.

- Daj kawałek. - Hanka wychyliła się przez uchylone drzwi, zapewne by sprawdzić, czy nie przyłapie ich Oziębłowicz, a później sięgnęła po jedną z przygotowanych przez Kiciusia kromek. - Dobrze.

- Gośka zrobiła tę pastę, ostatnio nieco bardziej o mnie dba. - Wojciech mrugnął do Hanki i złapał ostatnią kromkę. - Dobra, chodźmy, zanim Marian tu wpadnie. Moim czy twoim autem? - zapytał, zakładając kurtkę.

- Twoim. Rano nie zdążyłam zatankować i jeżdżę na oparach. - Owinęła szyję szalikiem i zapięła kurtkę. - Byle do wiosny - mruknęła, kiedy szli przez parking wśród sypiącego gęsto śniegu. - Syn go znalazł. Nie byli ze sobą zbyt blisko, więc ponoć Zenek wisiał w stodole ze dwa tygodnie, albo i dłużej. Dobrze, że to nie lato, bo szybko byś wyrzygał te fikuśne kanapeczki.

- Ja nigdy nie rzygam - mruknął Kiciński, wyjeżdżając

z parkingu. - Mam żołądek jak ze stali.

- Zobaczymy. - Hanka lekko się uśmiechnęła i roztarła przemarznięte dłonie. - Nie wiem, co się ze mną dzieje, wciąż jest mi zimno...

- Może masz anemię?

- A może nie urodziłam się, żeby żyć na biegunie północnym?

- E tam, nie przesadzaj. Pamiętasz, jak szkolili nas w Szwecji? W tej cholerniej Skanii to dopiero był wypizdów.

- Nie przypominaj mi. - Podciągnęła zamek od kurtki i wyjrzała przez samochodowe okno. - Zasypie nas na amen, jeśli nie przestanie...

- To się okopimy i będziemy pić.

- Mnie coś ostatnio nawet wódka nie wchodzi - smętnie skwitowała.

Kiciuś na moment oderwał wzrok od szosy i spytał:

- Ty, ale chyba nie jesteś w tak zwanym stanie błogosławionym?

- Biorąc pod uwagę, że ostatnio prawie nie sypiam z Markiem? Zdecydowanie nie. Chyba że jestem nową Maryską, tą od Niepokalanego Poczęcia. Może ten stary na górze zdecydował, że Jezusek ma mieć siostrzyczkę albo braciszka? Z tym że jestem raczej marną kandydatką na bożą matkę, co?

- Przede wszystkim za starą. Ten anioł od zwiastowania chyba nie jest głupi i w młódki uderza. Wiesz, takie świeże, naiwne, jędrne - zarechotał Kiciuś.

- Pod warunkiem, że znalazłby taką, która jeszcze nie jest na tabletkach.

- Z woli bożej mogłaby je odstawić, co nie?

- Błuźnimy, kolego. Zamilcz, bo Bóg Ojciec się wkurzy i wylądujemy w rowie.

- Staruszek jest zajęty globalnym chaosem. Na to zadupie jego

boska ręka raczej nie sięga. - Wojciech zwolnił przed zakrętem i łypnął na Hanke. - Ale że co? Nie bzykacie się z Markiem? Fujara mu wysiadła już przed czterdziestką czy jak?

- Fujara mu działa. Problem w tym, że na mój widok jakoś mu się nie podnosi.

- Ślepy, kurwa, czy jak? Przecież z ciebie fajna laska.

- Dzięki, Kiciuś. Czuję się pocieszona. A dzisiaj chyba po prostu zaciągnę męża do łóżka.

- Koniecznie. Teraz rozumiem, czemu taka drażliwa czasem bywasz, koleżanko. Niewyżyta, moje ty niebożę.

- A ty niby taki wyżyty?

- Oczywiście. Ja regularnie podlewam moją Gosię. Niestety ostatnio zazwyczaj w przerwach na reklamy albo w środku nocy, kiedy nie zdąży zacząć gadać o tym, że nie teraz, bo akurat nie ogoliła nóg. Jakby mi to przeszkadzało, nie? - Roześmiał się.

- W przerwach na reklamy? Czyli też nie jest różowo...

- Prawie jedenaście lat razem, to i szau być nie może - rzucił Kiciuś filozoficznym tonem i zjechał w wiodącą pod las wąską drogę, na końcu której samotnie mieszkał Zenon Malinowski, sześćdziesięciokilkuletni denat, w ostatnich latach skonfliktowany z całą swoją rodziną i większością sąsiadów. - Jest już nasza Smoczyca - dodał na widok ciemnoczerwonej terenówki prokurator Niny Morawskiej, ale w jego głosie nie było złościwości.

- Zauważyłeś, jak bardzo nas wszystkich zbliżyła śmierć Krzyśka? Zaczęliśmy regularnie się spotykać, rozmawiamy ze sobą, poznajemy się. Przecież Nina zawsze trzymała się na uboczu... Nie przepadaliśmy za nią, a teraz z nami pije.

- Jej przypadek okazał się dla mnie zaskoczeniem stulecia, może nawet tysiąclecia. Miałem ją za zarozumiałą służbistkę, a to

światna babka – podsumował Wojciech, rozpinając pasy.

– Fakt, fajna. Taka do pogadania. – Piasecka uśmiechnęła się, wysiadając z samochodu.

Denat nadal był w stodole. Nieszczęśnik wisiał na jednej z najgrubszych drewnianych belek, a stołek, który wykopał sobie spod nóg, leżał nieopodal ciała.

– Cześć! – skinęła im głową Nina, a jeden z techników wyszczerzył się do Hanki, która od dawna mu się podobała, ale zaraz wrócił do pracy, zgromiony wzrokiem przez kręcącego się nieopodal Oziębłowicza.

– Hej – z uśmiechem odparła Hanka, zanim zadarła głowę i spojrzała na upiorną twarz wisielca oświetloną włączonymi przez techników lampami, po czym szybko odwróciła wzrok.

Spodziewała się, że będzie wyglądał jeszcze gorzej, ale i tak zrobiło jej się niedobrze. Może to idiotyczne, biorąc pod uwagę, że pracowała w policji, ale nie znosiła trupów. Przerazały ją zwłaszcza te, które odnaleziono po jakimś czasie w różnych stadiach rozkładu.

– Poświeć mi tu, Jureczku! – krzyknął ktoś za jej plecami i czmychnęła w kąt, starając się nie pałętać pod nogami pracujących techników.

W stodole było ciemnawo, co też ją cieszyło, bo nikt nie zwracał na nią uwagi. Zamieć na zewnątrz i ciężkie chmury spowijające niebo nie dawały wiele światła, ale wokół ciała widniał jasny krąg od reflektorów, w którym Malinowski wisiał niczym aktor na teatralnej scenie.

– Syn mówi, że ze dwa tygodnie tu wisi, albo i dłużej – rzucił Oziębłowicz, stając obok Hanki. – Takie teraz czasy, że starszych rodziców się zostawia na pastwę losu.

– Stary to on nie był. Ile miał? Z sześćdziesiąt trzy? – rzucił

Kiciński, który przeszedł w kąt stodoły w ślad za podkomisarzem.

- Nieważne, ile miał. Dwa tygodnie tu wisiał, zanim go Stefan znalazł!

- Nie gadali ze sobą, przecież wiesz. - Hanka wzruszyła ramionami.

- Dwa tygodnie to nie tak wiele. Czytałem ostatnio o wisielcu, którego ciało odkryto po trzynastu latach. Koleś wisiał na sośnie na wysokości dwudziestu kilku metrów, a w jego na wpół zmumifikowanym ciele wrocławscy naukowcy znaleźli gniazda os, pszczoł i wiewiórki - odezwał się Wojciech, przyglądając się przerzuconemu przez belkę powrozowi.

Był mocny i długi, więc najprawdopodobniej siła ciężenia spowodowała u Malinowskiego przerwanie rdzenia kręgowego, powodując o wiele szybszą utratę świadomości i zgon nieco łatwiejszy niż w przypadku uduszenia przy krótkim sznurze, pomyślał Wojciech, przypominając sobie oglądany niedawno dokument o rodzajach samobójstw.

- Gniazda wiewiórki w ciele samobójcy? Świat jest naprawdę popierdolony - mruknął Marian, przysiadając na jednym z pniaków tuż obok białej w niego siekiery. - Kurwa, jak mnie napierdalają plecy...

- Czemu popierdolony, szefie? - zdziwiła się Piasecka. - To świadczy jedynie o zdolności zwierząt do przetrwania i szukania różnych okazji do założenia gniazda. Przyroda jest po prostu pomysłowa.

- Przyroda jest pomysłowa, a my tu sobie gadu-gadu, pitu-pitu. Niech ktoś idzie porozmawiać ze Stefanem, na cito albo i szybciej. Siedzi w kuchni ojca, jest wstrząśnięty - rzucił Oziębłowicz.

- Dobra, my pójdziemy. Chodź, Hanka - zgłosił się na ochotnika Kicius.

- A wy zawsze w parze, jak grzeczne starszaki - zaśmiał się Marian.

- Co ja na to poradzę, że Piasecka żyć beze mnie nie może?

- Chciałbyś. - Szturchnęła Kiciusia w ramię, ale oczy jej się śmiały.

Stefana Malinowskiego znaleźli w brudnej i dawno nieremontowanej kuchni Zenona. Palił, samotnie siedząc za stołem.

- Cześć, Stefek - odezwał się Kiciuś, który był z nim na ty. - Ty ojca znalazłeś, tak?

- Ja - przyznał, gasząc niedopałek w szklance z resztą czarnej kawy.

- Kiedy ostatnio się widzieliście?

- Będzie ze trzy tygodnie. Wpadłem do niego pożyczyć drabinę, a dopiero dziś ją odwozłem.

- Czyli jednak ze sobą rozmawialiście?

- Tylko o gospodarce. Czasem coś mu tu ogarnąłem, ale rzadko gadaliśmy o czymś innym.

- Radził sobie jeszcze na tych wszystkich hektarach?

- Słabo. Raz, że wiek, dwa, że wódka. Czasem mu pomagało paru miejscowych, ale miał długi i ludzie nie chcieli już dla niego robić.

- Jak pan myśli, czemu się zabił? - zapytała cicho Hanka, siadając po drugiej stronie stołu.

- Przez wódkę. - Stefan lekko wzruszył ramionami, ale obojętność, którą chciał okazać, była pozorowana, bo w jego jasnych oczach błysnęły łzy. - Żal, nie? Niby rzadko gadaliśmy, ale zawsze to ojciec. Mama od lat nie żyje, a teraz on - dodał łamiącym się głosem, a Piasecka nakryła dłonią jego rękę.

- Przykro mi - powiedziała, a Stefan skinął głową, otarł łzy

i sięgnął po kolejnego papierosa.

- Wódka i brak perspektyw, to go pewnie do tego skłoniło. Ale nawet nie zadzwonił, nie chciał pogadać ani nic. Tylko ten sznur na szyję i na drugi świat...

- Nie może się pan obwiniać. To on podjął taką decyzję.

- A jeśli to nie on? - zapytał młody Malinowski. - Jeśli ktoś go zabił, pozorując cały ten teatrzyk?

- Jeśli ktoś go zabił, dojdziemy do tego. Ale na razie wszystko wskazuje na to, że sam sobie założył na szyję sznur i wykopał spod siebie krzesło.

- Miał wrogów, przecież wiecie. Konfliktowy był, zadziorny.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. Niemal każdy ma wrogów - powiedziała cicho Hanka.

- Będziemy cię musieli zabrać na komisariat. Oficjalnie przesłuchać, rozumiesz? - dodał Kiciuś.

- Jasne - mruknął Stefan, bawiąc się paczką cameli.

Do stodoły wrócili, żeby pogadać z Oziębłowiczem. Hanka weszła tam w momencie, w którym jeden z techników ściągnął brezent ze stojącego w kącie samochodu. Auto miało lakier przeżarty rdzą, spuszczone z opon powietrze i zakurzoną maskę, a jednak od razu je poznała.

- Boże - szepnęła, z niedowierzaniem wpatrując się w stojącego w kącie olbrzymiej stodoły kilkunastoletniego volkswagena busa.

- Oni wtedy nie wyjechali. Są tutaj...

Powiem mu o wszystkim, muszę mu powiedzieć, powtarzała sobie Karolina Lenart, wysiadając z taksówki. Nie dam się zastraszyć, nie mogę przez najbliższe lata oglądać się za siebie, zdecydowała.

- Długo tam pani zejdzie? Może poczekam? - zapytał taksówkarz, wydając jej resztę.

- Nie trzeba - powiedziała.

Kiedy wysiadła, przebiegła przez ulicę i zamiast do jednego ze szczecińskich komisariatów, weszła do prywatnego ośrodka zdrowia. Dopiero kiedy taksówkarz wykręcił i zniknął u wylotu uliczki, opuściła duszny budynek przychodni, uważnie się rozejrzała, przebiegła kilka metrów i pchnęła ciężkie drzwi komendy.

- Chciałabym rozmawiać z aspirantem Gądeckim - powiedziała znudzonemu dyżurnemu, który na jej widok odstawił na bok kubek z kawą i tłumiąc ziewanie, mruknął, że Janusz już tu nie pracuje. - Zapraszam. Zawołam kogoś innego. - Wstał, ale ona spanikowała.

- Nie, to nic takiego - wykrztusiła i zanim zdążył ją zatrzymać, wybiegła na ulicę.

Idiotka! Przecież nie może ryzykować życia męża i córki! Naprawdę przyjechała tutaj, żeby gadać z glinami? Nie, nie mogę nikomu powiedzieć, pomyślała, chowając się w jednej z bram. Stała tam przez dłuższą chwilę, drżąc z chłodu w rozpiętym płaszczu, który opinał się na ciężowym brzuchu. W torebce

odezwała się komórka, ale zignorowała ją. W końcu wyszła na zaśnieżoną ulicę i kuląc się z zimna, wślizgnęła się do kawiarni. Pijąc zieloną herbatę, myślała o mężu. Odkąd wróciła i powiedziała, że nie może rozmawiać o tym, gdzie była przez kilka dni, Dariusz nie odezwał się do niej ani słowem. Wyniósł się też z ich sypialni i samotnie śpi na wersalce w dużym pokoju. Nie chce jej znać. Ubzdurał sobie, że musiało chodzić o innego faceta, a ona nie potrafiła go przekonać, że żadne romanse czy erotyczne ekscesy nie mają nic wspólnego z jej zniknięciem. On wie swoje. Mijają się w mieszkaniu, nie patrząc sobie w oczy. On z zaciętą miną, wciąż na nią wściekły i ponury, ona uparcie milcząca. Dodatkowo dobija ją niemy wyrzut w oczach dziewięćdziesięcioletniego dziadka Dariusza, u którego mieszkają. Bardzo przeżywa ich małżeński kryzys, a ona nawet jemu nie może wyjaśnić, co tak naprawdę zaszło...

- Skusi się pani na kawałek ciasta? Polecam marchwiowe - z uśmiechem spytała ją młoda kelnerka.

- Nie, dziękuję.

- To może sernik?

- Dziękuję, herbata wystarczy. - Karolina spławiła dziewczynę i zerknęła w stronę panoramicznego okna kawiarni.

Wciśnięci w grube puchowe kurtki i opatuleni szalami ludzie za szybą wyglądali na przemarzniętych, poirytowanych, zmęczonych bądź zakatarzonych, a jednak zazdrościła każdemu z nich normalności. Oni właśnie szli w stronę swoich domów, gdzie nie musieli znosić pełnych wyrzutów spojrzeń i nacisków.

- Powiesz mi, gdzie byłaś, albo to koniec naszego małżeństwa! - krzyknął Dariusz dzień wcześniej, kiedy prasowała ubranka Gabrysi. - Słyszysz mnie, Karolina?! Zdajesz sobie sprawę, w jakim świetle mnie stawiasz?! Na pewno stałem się

pośmiewiskiem! Szukała cię policja, znajomi rozwieszali ulotki, a ty zniknęłaś na parę dni i nie chcesz powiedzieć, gdzie byłaś?!

- Policji powiedziałam.

- Co?

- Że się pokłóciliśmy i chciałam parę rzeczy przemyśleć.

- Super! Może jeszcze cię pobiłem?! - warknął Dariusz, a ona skuliła ramiona.

- Tak powiedziałam Monice. I błagam, przestań mnie nękać. Nie mogę ci powiedzieć, gdzie byłam - szepnęła.

- Musisz, do cholery!

- Nie mogę, Darek. - Rozplakała się, ale łzy, które zawsze zmiękczały mu serce, tym razem nie zrobiły na mężu najmniejszego wrażenia.

Wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, i do wieczora posyłał jej złe, niemal nienawistne spojrzenia. Wtedy właśnie zdecydowała, że pogada z Januszem Gądeckim. Poznała go kilka lat temu przez wspólnych znajomych i wydawał się jej godny zaufania. Nie miała tylko pojęcia, że on już tam nie pracuje, i nie wiedziała, gdzie go szukać. Na Facebooku go nie było, a angażować w to wszystko znajomych nie chciała.

I oto siedziała w głośnej, zatłoczonej kawiarni, zastanawiając się, czy będzie umiała dalej żyć tak, jakby nic się nie stało. Na widok kobiety w ciąży, która posłała jej promienny uśmiech, poczuła palące wyrzuty sumienia. Co, jeśli ona też to zażywa, pomyślała. Lek był w sprzedaży od dwóch lat, powszechnie dostępny i przepisywany. Ona miała z nim do czynienia w fazie testów. Zgodziła się być królikiem doświadczalnym z dwóch powodów. Zapewniono ją, że pigułki nie będą miały złego wpływu na płód, no i świetnie jej zapłacono, a wtedy akurat rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy. Firma farmaceutyczna, której

właścicielem jest Szczepan Szauman, twierdziła, że sprawdza jedynie odsetek kobiet, które po zażyciu miewają niewielkie dolegliwości układu pokarmowego i zawroty głowy. Karolina czuła się świetnie, przyjmowała pełną dawkę i nie działo się nic złego. Dopóki nie poroniła... Zapewniono ją wtedy, że utrata ciąży nie miała nic wspólnego z pigułkami, które testowała na sobie i dziecku, a ona bardzo chciała im wierzyć. Jednak szybko się okazało, że trzy młode kobiety, które poznała podczas testów, również straciły ciążę, a tego typu przypadków było coraz więcej. Wtedy zaczęła działać w sieci, skrzykując inne młode matki. Po roku było ich prawie sto, ale koncern nadal szedł w zaparte, twierdząc, że niecałe sto poronień na tysiące testujących lek kobiet to niewiele. I to „niewiele” najbardziej ją wtedy rozsierdziło, jakby dziecko, które utraciła, było tylko jednym ze słupków w ich durnych statystykach. Działała więc, rozmawiała z dziewczynami, spotykała się z nimi, zrobiła z tego swego rodzaju krucjatę. A któreś nocy, działając pod wpływem silnego wzburzenia, napisała maila do Szaumana:

Nie jestem lekarzem. Nie jestem biologiem ani farmaceutą, ale nadal twierdzę, że z produkowanymi przez Waszą firmę tabletkami dla ciężarnych jest coś nie tak. Rozmawiałam z wielu ludźmi, w tym i z aptekarzami, i domyślam się, że najprawdopodobniej ich zażywanie wyzwała silne skurcze mięśniówki macicy, co powoduje przedwczesny poród bądź poronienia. Rozmawiałam również z dziesiątkami kobiet, które są pewne tego samego. Wprowadziliście na rynek lek, który u szokująco dużego odsetka matek kończy się obumarciem płodu, przedwczesnym porodem bądź utratą ciąży w jej pierwszych miesiącach! Wiele razy prosiłam, żebyście wycofali te tabletki albo przeprowadzili dodatkowe testy, ale jestem ignorowana.

A na koniec zagroziła:

Dlatego piszę jeszcze raz – wycofajcie z rynku tę truciznę, albo pójdę z tym do mediów!

Wcześniej pisała maile do działu handlowego, marketingu i kilku współpracujących z firmą naukowców, ale zbywano ją. Wiadomość do Szaumana była tą, która ostatecznie ich rozsierdziła. To wtedy uznali, że muszą działać, i porwali ją w środku nocy z ośrodka, w którym spędzała z mężem weekend. Postanowili ją zastraszyć i ostrzec, że mogą znacznie więcej i nie zawahają się, żeby skrzywdzić ją i jej bliskich.

A teraz siedziała zdana tylko na siebie, bliska łez i wykończona, nie mając pojęcia, co dalej. Nie dać się zastraszyć i powiedzieć komuś o tym, co robi koncern, czy udawać, że to nie jej sprawa i milczeć, zastanawiała się, wściekła na siebie, że czuje palące wyrzuty sumienia z powodu cudzych grzechów. To w końcu nie ona rzuciła ten syf na rynek i nie przez nią kobiety tracą dzieci. A jednak jej milczenie pozwala im działać dalej. Z drugiej jednak strony wiedziała już, do czego są zdolni, i podejrzewała, że porwanie z domku wczasowego to pikuś w porównaniu z tym, co mogą jej zrobić, jeśli nie będzie milczeć. Dlatego rano wyrzuciła trzymanego u koleżanki starego laptopa, pozbywając się śladów wirtualnych korespondencji, i ukryła na strychu wydruki kilku najważniejszych rozmów i wniosków, nad którymi pracowała przez ostatnie miesiące. Przestraszyła się. Nie o siebie drżała, ale o Dariusza i Gabrysię. Czy ci bezduszni dranie naprawdę są zdolni do czegoś tak potwornego? Mogą ich porwać i oddać w ręce handlarzy organami? Może nie. Ale przecież ludzie codziennie znikali, przepadali bez śladu. Wystarczy chwila jej nieuwagi i przepadnie Gabrysia. Wystarczy pusta ulica i zero świadków, a ktoś śmiertelnie potrąci jej męża. Nie, nie może

dłużej sobie z nimi pogrywać, już dość. Straciła poprzednią ciężę, wykończyła się nerwowo i naraziła bliskich na niebezpieczeństwo. A to wszystko na nic. Przecież oni się jej nie przestraszą. Mają na swoich usługach świetnych prawników i naukowców, a na firmowych kontaktach grube miliony. Szauman to syn niemieckiego biznesmena i operowej śpiewaczki. Matka Polka, ojciec Niemiec, świetny start w życiu, studia w Oksfordzie, gruba kasa. Jak wygra z kimś takim bez pieniędzy, bez wsparcia prawnego, zdana tylko na siebie? Muszę milczeć, nie mam innego wyjścia, powiedziała sobie, wychodząc z kawiarni. Zresztą czemu to ja mam działać, narażając siebie i swoją rodzinę? Wiele kobiet domyśla się, co się dzieje, ale żadna z nich się nie wychyla. Boją się, mają więcej instynktu samozachowawczego niż ja...

Do domu dotarła godzinę później śmiertelnie zmęczona.

- Mamusiu, a ty już się nie zgubisz? - zapytała ją Gabrysia, kiedy robiła dla niej kakao.

- Już się nie zgubię, córeczko.

- Poproś mamusię, żeby powiedziała nam, gdzie była - burknął Dariusz znad gazety.

- Gdzie byłaś, mamusiu? Panowie policjanci cię szukali!

- Wiem, kochanie. Mamusia musiała wyjechać na kilka dni i nie mogła do was zadzwonić.

- A czemu?

- Kochanie, już nie zniknę, obiecuję. - Przyciągnęła Gabrysię do siebie, a dziewczynka wtuliła policzek w jej ciężowy brzuch.

- Dzidzius się rusza! - zachwyciła się, ale Dariusz nawet na nią nie spojrział.

- Darek, błagam cię, porozmawiaj ze mną - poprosiła godzinę później, wślizgując się do łazienki, w której mąż brał prysznic.

- Daj mi spokój - burknął, kiedy podeszła do otwartej

prysznicowej kabiny, wyciągnęła rękę i pogłaskała go po plecach.

- Przysięgam ci już przecież, że nie chodzi o innego mężczyznę.

- To o co chodzi?! Bo chyba nie pracujesz dla CIA, co?! - krzyknął.

- Nie, chociaż to mogłoby być ciekawe. - Uśmiechnęła się blado.

- Bardzo, ale tylko na filmach.

- Darek, kocham cię. Jesteś dla mnie wszystkim. Ja...

- Już ci mówiłem: powiesz mi, gdzie byłaś, albo to koniec naszego małżeństwa! I nie łudź się, że blefuję! - rzucił przez zęby.

- Nie kochasz mnie już?

- Kocham cię, Karolina! Ale nie potrafię żyć z myślą, że zniknęłaś na kilka cholernych dni i nie chcesz mi powiedzieć, gdzie byłaś!

- Nie mogę ci powiedzieć, nie rozumiesz?! - krzyknęła.

Przecież wiedziała, co by było, gdyby się dowiedział. Kazałby jej działać, rozdmuchałby sprawę, poleciałby z tym wszystkim do mediów bez względu na koszty, nawet narażając własną rodzinę. Bo zawsze taki był - szlachetny idealista, dla którego wszystko w życiu było czarne albo białe. Tak, on by z pewnością nie schował głowy w piasek, tylko by działał! Ale ona za bardzo się bała, żeby mu wyznać, co się stało. Nie, nie może. Nie potrafi...

- Darek, zrozum. Nie mogę ci powiedzieć - szepnęła, ocierając łzy.

- W takim razie wybaczone, nie mamy o czym rozmawiać. - Zerwał z haczyka kąpielowy ręcznik, wytarł się i znacząc stare linoleum mokrymi śladami stóp, wyszedł z łazienki, zostawiając Karolinę samą.

Kilka dni później zaczęła rodzić. Wody odeszły jej o czwartej nad ranem, kiedy wstała, żeby iść do łazienki. W klinice, w której

czekał na nią jej ginekolog, wisiała reklama tabletek, których w ogóle nie powinno być na rynku, a z niej uśmiechała się piękna i promienna brunetka w zaawansowanej ciąży.

- Niech cię szlag, skurwysynie - syknęła Karolina zgięta wpół z bólu, z obrazem krzywego uśmiešku Szaumana w głowie.

- Zaraz podamy znieczulenie. A na męża lepiej nie kłąć, jeszcze się obrazi. - Ginekolog przyprowadził podniszczony inwalidzki wózek i pomógł jej w nim usiąść.

- Nie mówiłam o mężu - szepnęła, ale lekarz już jej nie słuchał.

Zagadnął przechodzącą korytarzem atrakcyjną pielęgniarkę i po krótkiej wymianie zdań głośno się z czegoś zaśmiali.

33

- Jesteś pewna, że coś ci się nie pomyliło? Może to nawet nie ich samochód? - Oziębłowicz nie wyglądał na przekonanego, kiedy Hanka Piasecka powiedziała, że znaleziony w stodole Zenka Malinowskiego pomarańczowo-beżowy volkswagen bus należał do pary młodych włóczęgów, która nagle zniknęła tamtego lata, kiedy była piętnastoletnią smarkulą.

- Był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy rok, świetnie pamiętam tamto lato, bo całymi dniami włóczyłam się po miasteczku z moim ówczesnym chłopakiem! - upierała się Hanka.

- Całymi dniami z chłopakiem, no, no - gwizdnął jeden ze stojących obok policjantów.

Hanka posłała mu lodowate spojrzenie i niemal wykrzyczała:

- Szefie, oni tu są, czuję to!

- Skąd ta pewność? Może sprzedali Zenkowi samochód, zanim się stąd wynieśli? Może potrzebowali kasy i opchnęli mu busa, a sami wyjechali pekaesem? - spekulował Marian.

- Nie wyglądało na to, jakby chcieli wyjechać. A już na pewno nie sprzedaliby tego auta! Podróżowali nim, spali w nim, poza tym...

- Piasecka, zwolnij. Znaleźliśmy w stodole samobójcy zakurzonego i przerdzewiałego rzęcha, który nie widział pewnie drogi od kilkunastu lat, a ty twierdzisz, że mamy tu szukać ciał?! To niedorzeczne! - Oziębłowicz rozmasował żołądek i dodał coś o pierdolonej zgadze, która nie daje mu żyć.

- Dobra, zrobmy inaczej. Przejrzę bazę zaginionych, sprawdzę,

czy ktoś pasuje do tamtej dwójki, a jeśli się okaże, że wtedy zniknęli, poszukamy ciała. Czy tak może być? – poddała się Hanka.

- Jak najbardziej – zgodził się z nią Marian.

- Dzięki, szefie.

- Podziękujesz mi, jeśli do czegoś się tu dokopie – skwitował Oziębłowicz, po czym łyknął tabletkę i przepił ją wodą. – Pieprzona zgaga – znów zaklął, krzywiąc się paskudnie.

Hanka wróciła na komendę i szybko odkryła, że miała rację. Późnym latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku zgłoszono zaginięcie Huberta Marcina Ignaciaka i Ilony Agnieszki Sójki, studentów toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, którzy ostatnio byli widziani w okolicach ich miasteczka.

- Jak to możliwe, że nie wpadłam na to wcześniej, żeby przejrzeć te dane? – mruknęła do siebie Hanka, drukując niewyraźne fotografie zaginionej dwójki.

- Szefie, mam! – Z wydrukami w dłoni wpadła do gabinetu Oziębłowicza, który akurat popijał ciepłe mleko, pewnie na zgagę...

- Pokaż. – Marian wziął od niej wydruki i zapatrzył się w zdjęcie młodego mężczyzny. – Hubert Marcin Ignaciak. Wiek w dniu zaginięcia dwadzieścia dwa lata, wzrost metr osiemdziesiąt jeden, oczy jasne, znaków szczególnych brak – przeczytał cicho, po czym zatrzymał wzrok na fotografii Ilony Sójki. – Piękna dziewczyna. Szkoda by było, gdybyśmy to ją znaleźli w stodole Malinowskiego...

- Jest jeszcze coś, szefie – powiedziała Hanka, przysiadając na jednym z krzeseł.

- Co? – mruknął Oziębłowicz, wciąż zapatrzony w fotografię Ilony Sójki. – Przepiękna dziewczyna – dodał, zanim chrząknął

zażenowany swoją zbytnią wylewnością.

- Tamtego lata, jakiś czas przed ich zniknięciem, Zenek Malinowski zaczepiał ich w lunaparku.

- A ty skąd to wiesz?

- Bo tam byłam!

- A miałaś wtedy ile? Trzynaście? Czternaście lat?

- Piętnaście. I świetnie pamiętam tamtą scenę. Zenek był podpity i zaczepiał Huberta Ignaciaka. Wtedy jeszcze oczywiście nie miałam pojęcia, że on tak się nazywa. My z Arturem nazywaliśmy go Wikingiem.

- Z Arturem?

- Moim pierwszym chłopakiem - wyjaśniła Hanka, lekko się czerwieniąc.

- I co? Malinowski zaczepiał tego koleśia? To może jeszcze o niczym nie świadczyć...

- Szefie, serio?! - Hanka podniosła głos. - Zaczepiał go i pchnął. Dopiero kiedy Krzysiek Bugaj kazał mu się odpieprzyć, to się uspokoił. Nie rozumie pan, komisarzu, że to się układa w jedną całość?!

- Nie podskakuj, Piasecka. Za bardzo mnie rąbie zgaga, żebyś mi tu jeszcze pyskowała - warknął Marian.

- Przepraszam. Ale niech szef tylko pomyśli: kłóć się w wesołym miasteczku, a kilka dni później para tych dzieciaków znika. Teraz znajdujemy ich auto w stodole...

- Jesteś pewna, że to ich auto? Pamiętasz rejestrację?

- Szefie, a jakie jest prawdopodobieństwo, że Malinowski ukrywał innego busa? To rzadkie samochody, zwłaszcza w tym kolorze!

- No tak, w sumie coś tu śmierdzi, fakt - przyznał Oziębłowicz, drapiąc się po głowie. - Kurwa, jeszcze tego mi było trzeba. Trup

na trupie...

- Jeśli zabił ich Zenek, są gdzieś na terenie jego posesji! W stodole albo w ogrodzie! Biorę Kiciusia i pojedę tam, żeby się rozejrzeć.

- Dobra, razem się rozejrzemy. - Oziębłowicz wstał, sięgnął po kurtkę i ruszył w stronę drzwi.

Na miejsce dotarli kwadrans później i przyświecając sobie latarkami z telefonów, weszli do stodoły.

- Upiornie tu nawet bez wisielca u powały - mruknął Wojciech, omiatając snopem światła drewniane ściany.

- Trzeba przesunąć to auto - zdecydowała Hanka.

- A po cholere? - zdziwił się Kiciuś.

- Bo mam przeczucie, że volkswagen jest ich nagrobkiem. Są pod podłogą, muszą tam być! Postawił auto w tym kącie, żeby nikt nie odnalazł zwłok!

- Czemu go nie sprzedał, skoro zabił dla kasy? - zdziwił się Oziębłowicz.

- Nie zabił dla kasy, szefie. Moim zdaniem chodziło mu o dziewczynę. Miała pecha wpaść mu w oko, napalił się na nią i za wszelką cenę chciał ją zdobyć. Idę o zakład, że zanim ją zabił, zgwałcił. Może nawet wiele razy...

- I zabił jej chłopaka, żeby się z nią zabawić?

- Zabił jej chłopaka, a ją zgwałcił i zadusił bądź zamordował w inny sposób. To według mnie jeden z najbardziej prawdopodobnych scenariuszy - powiedziała cicho Hanka.

I kichnęła, bo w zakurzonej stodole mocno ją kręciło w nosie.

- A jego syn Stefan? Ile on miał wtedy lat?

- Był dzieciakiem. Ja miałam piętnaście, on kilka lat mniej - powiedziała Piasecka.

- Czyli jeśli znajdziemy tu zwłoki, to robota starego

Malinowskiego - mruknął Oziębłowicz, obchodząc dookoła zakurzonego busa, z którego któryś z techników zerwał osłaniającą wiekowego rzęcha plandekę.

- To mogłoby też tłumaczyć, czemu tak nagle się powiesił. Może poruszyło go sumienie, a może miał dość życia z trupami w sąsiedztwie - wtrącił Kiciuś, zaglądając pod busa i oświetlając latarką podłogę. - Hanka, może jednak przeczucie cię nie zwiodło? Tu nie ma betonu. Za to jest zamknięty na kłódkę drewniany właz...

- Pokaż! - Rzuciła się na kolana i zajrzała pod samochód. - Jezu, faktycznie.

- Dobra, wy pchacie, a ja wrzucę na luz i przesuwamy ten złom!
- zdecydował Kiciuś, po czym wstał i otworzył drzwi busa.

Poszło raz-dwa i po chwili stali nad zamkniętym na kłódkę włazem.

- Kłódka jest nowa - zauważyła Hanka i po plecach przeszły jej ciarki, kiedy wyobraziła sobie, jak Malinowski od wielu lat co jakiś czas schodzi na dół i przygląda się swojemu dziełu.

- Chyba nadwerężyłem sobie bark. Uprzedzam, że jeśli w tej piwniczce znajdziemy tylko ziemniaki, mogę się wkurwić - oznajmił Oziębłowicz, przyglądając się kłódce. - Jak zamierzacie otworzyć to żelastwo?

- Gdzieś tu widziałem piłę do metalu. - Kiciuś rozejrzał się po stodole i przyświecając sobie latarką w telefonie, ruszył w stronę stojącego w kącie drewnianego stołu, na którym leżały różne szpargały.

Kłódka ustąpiła kilka minut później i Wojciech z Hanką zeszli do niewielkiej betonowej piwniczki.

- Są! - Hanka poświeciła w kąt i szybko się cofnęła na widok dwóch ułożonych przy sobie szkieletów.

- Kurwa - szepnął Kiciuś, po czym pospiesznie się przeżegnał.
- I co?! Są?! - krzyknął z góry Oziębłowicz.
- Są! Dwa szkielety! Jeden zdecydowanie mniejszy, na moje oko kobiety! - odkrzyknęła Hanka.

- To wyłaźcie, trzeba dzwonić po techników i sprowadzić ze Szczecina antropologa. - Oziębłowicz pochylił się nad włazem, ale z powodu panujących w piwniczce ciemności niewiele zobaczył.

Dzień później matka Ilony Sójki rozpoznała złoty łańcuszek z zawieszka w kształcie słonia, który znaleziono przy zwłokach, i dwie miedziane bransoletki, które tamtego lata nosiła Ilona. Rodzice Huberta Ignaciaka nie żyli, ale mieszkająca w Niemczech siostra obiecała, że przyjedzie, żeby obejrzeć to, co mogło zostać z jej zaginionego przed laty młodszego brata.

- To oni, prawda? - zapytała cicho Hanka, siadając w gabinecie Oziębłowicza.

- Wiesz przecież, że jeszcze nie mamy oficjalnego potwierdzenia. Potrzeba czasu na testy i...

- Szefie, to oni!

- Pewnie tak - przyznał cicho. - Skąd wiedziałaś?

- Przeczucie. Po rozmowie z synem Malinowskiego weszłam do stodoły, gdy jeden z techników zdejmował brezent z busa, i od razu wszystko ułożyło mi się w głowie. To nie mógł być zbieg okoliczności.

- Straszna historia. Tacy młodzi ludzie. - Marian wyglądał na szczerze przejętego.

- Tak, straszna... - Hanka doskonale pamiętała śniadą twarz Śnieżki i jej kolorowe, pełne falban sukienki.

Była taka piękna i pełna życia, a skończyła pogrzebana w stodole takiego zapitego kmiota jak Malinowski.

- Przy zwłokach znaleziono trochę nitów z dżinsowych spodni

denata i strzępy materiału. Do tego metalową sprzączkę od jego paska i kilka drobiazgów z biżuterii należących do niej. Hubert Ignaciak ma pękniętą czaszkę, najprawdopodobniej zginął od silnego pojedynczego ciosu w tył głowy. Na szkielecie kobiecym nie znaleziono pęknięć. Antropolog potwierdziła, że kości mogą należeć do osób zamordowanych w lecie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego.

- Zenek zwabił ich tam z premedytacją, wiedział, że zabije - szepnęła Hanka.

- Tego nie możesz być pewna.

- Owszem, jestem! Widziałam, jak łapczywie na nią patrzył, jakby chciał pożreć ją wzrokiem!

- To było dwie dekady temu. Jak to możliwe, że tak wyraźnie wszystko pamiętasz? - zdziwił się Oziębłowicz.

- Kręciliśmy się przy nich, lubiliśmy za nimi jeździć - przyznała.

- Jeździć? Niby czym? Hulajnogą? - zakpił Marian, posyłając Hance rozbawione spojrzenie.

- Rowerami.

- No tak, dzieciaki i rowery. I co ciekawego widzieliście?

- Sporo. - Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak para młodych włóczęgów uprawiała seks, a oni ich podglądali, a głośno dodała, że to jedna z najboleśniejszych spraw w całej jej policyjnej karierze. - Przez te wszystkie lata leżeli u Zenka pod podłogą, czekając na sprawiedliwość, wyobraża szef sobie?

- Nie oni jedni. Mało trupów znajduje się po latach? Dla ich rodzin to akurat dobre wieści, będą mogli w końcu ich pochować.

- Tak, pewnie tak - przyznała Hanka. - Tamtego lata, gdy byłam nastoletnią smarkulą, myślałam o nich jak o włóczęgach, ale bez pejoratywnego wydźwięku tego słowa. Byli dla mnie jak wolne kolorowe ptaki, robili, co chcieli, i żyli tak, jakby nic ich nie

krępować. Dziś wiem, że byli po prostu dwójką studentów, którzy występowali w nadmorskich wesołych miasteczkach, by odłożyć trochę kasy. Ot, proza życia...

- Kurewsko smutna historia - podsumował Oziębłowicz.

Hanka skinęła głową i z zaciśniętym gardłem wyszła z jego gabinetu. Rozplakała się w łazience, siedząc na opuszczonej klapie od toaletowej muszli. Dawno o nich nie myślała, jednak ból po ponurym odkryciu zaatakował ją z taką siłą, że nie potrafiła powstrzymać łez. Byli tacy piękni, młodzi i promienni, pomyślała, wierzchem dłoni ocierając oczy. Jaki okrutny i mściwy bóg zgotował im taki koniec? Czy tak chciał los, czy może nie było nic takiego jak przeznaczenie, a świat obojętnie patrzył na to, co robią tacy zwyrodnialcy jak Malinowski, zastanawiała się, samotnie siedząc w łazience.

Do domu wróciła smutna i zniechęcona, marząc, żeby ktoś ją przytulił, ale ani męża, ani córki nie zastała w mieszkaniu.

Kwiecień 1999

Hanka weszła do kuchni i starając się nie przyciągać uwagi ojca, nalała sobie wody ze stojącego na blacie dzbanka. W radio na okrągło wałkowali przyjęcie Polski do NATO, a zasłuchany w wiadomości ojciec chyba nawet nie zauważył, że prześlizgnęła się za jego plecami, żeby się napić.

- Słuchaj, a może powinniśmy zaprosić Jaroszewskich do nas? - Teresa pojawiła się w kuchni tak znienacka, że Hanka prawie upuściła szklankę. - Trzeba się im przecież jakoś zrewanżować - dodała, ignorując obecność pasierbicy.

Nie miała pojęcia, o czym mówili, i nie interesowało jej to. Chciała tylko wyslizgnąć się z kuchni i nie zwracając na siebie uwagi, wrócić do swojego pokoju. Ale nagle kochanka ojca skupiła całą swoją uwagę na niej.

- Wymiotowałaś rano czy tylko mi się wydaje? - zapytała, kiedy Hanka, skulona za otwartymi drzwiami lodówki, udawała, że szuka jogurtu.

- Co? Nie, ja...

- Słyszałam! - powiedziała Teresa z naciskiem.

Wtedy ojciec wyłączył radio i wstał z za stołu.

- Jesteś chora? - zapytał.

- Tak, i to długa choroba. Kilkumiesięczna. - Teresa uśmiechnęła się złośliwie, podeszła do Hanki, szarpnęła ją za rękę i zatrzasnęła drzwi lodówki. - Ona jest w ciąży, nawet to już

widać - dodała, wbijając oskarżycielskie spojrzenie w brzuch, który dziewczyna usiłowała ukrywać pod obszernymi flanelowymi koszulami.

Ale Teresa miała rację. Ciężę było już widać, nie potrafiła dłużej jej ukrywać.

- Hanka?! Ty chyba nie... - Ojciec zbladł i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Owszem, tak. Podejrzywałam to już od kilku tygodni - syknęła Teresa z mściwą satysfakcją w głosie.

- Podejrzywałaś i słowem się nie zająknęłaś?!

- Nie byłam pewna.

- Kurwa, to się w głowie nie mieści! Kto ci to zrobił, mów! - Czerwony na twarzy ojciec doskoczył do niej i bryzgając śliną, zaczął wyzywać córkę od małych idiotek. - Wiesz, jaki będzie wstyd, kiedy się ludzie dowiedzą?!

- Mam to gdzieś - szepnęła Hanka, kuląc się w kącie kuchni.

- Masz to gdzieś?! Czy ty sobie zdajesz sprawę, że za kilka miesięcy urodzisz dziecko, którym będziesz się musiała zająć?!

- Daj spokój, nie wygłupiaj się. Wiadomo, że nie ona się nim zajmie. - Teresa roześmiała się pogardliwie.

- A kto?! Ja?! Sąsiedzi?! Ty?! Nie zauważyłem, żebyś była typem matki Polki, ale może się mylę?! - naskoczył na nią ojciec i Hanka zdała sobie sprawę, że odkąd razem zamieszkali, to ich pierwsza tak gwałtowna sprzeczka.

- Mam pod Grudziądzem kuzynkę, która nie może mieć dzieci. Od paru lat starają się z mężem i nic. To dobrzy ludzie, wykształceni, na stanowiskach. Poślemy Hankę do nich, tam urodzi i zostawi im dziecko - powiedziała Teresa, nie zwracając uwagi na podniesiony ton kochanka.

- Nigdzie nie pojedę! - krzyknęła Hanka, osłaniając rękoma

brzuch.

- Ta decyzja nie należy do ciebie - pouczyła ją Teresa, sięgając po paczkę papierosów.

- Nie powinnaś tu palić, kiedy ona...

- Nie masz większych problemów? - zaśmiała się, zanim zapaliła peta.

Hanka usiadła na krześle, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Marzyła tylko o tym, żeby wymknąć się z kuchni, ale ojciec odgrodził ją od wyjścia.

- Kiedy to się stało i kto ci to zrobił?! - warknął.

- W mikołajki - szepnęła.

- No to, kurwa, pięknie! Dostałaś niezły prezent od Mikołaja, co?!

- Nie wrzeszcz na nią, co to da? Mówię, wyjedzie, urodzi i po sprawie.

Teresa wzruszyła ramionami, a Hanka poczuła palącą złość.

- Na rękę wam ten mój wyjazd, prawda? Będziecie mieli miłosne gniazdko tylko dla siebie - syknęła, a ojciec podszedł i dał jej w twarz.

Nie zrobiło to jednak na niej żadnego wrażenia. Ostatnio uderzył ją już przecież kilka razy.

- Ona nigdzie nie pojedzie! Będzie chodzić po miasteczku z brzuchem, żeby każdy mógł zobaczyć, jaką jest idiotką! - warknął.

- Nie opowiadaj bzdur! To ciąża, a nie jakieś piętno! - zachnęła się Teresa.

- Nie piętno?! To nastolatka! Pytałem, kto ci to zrobił!

- Kosmici - rzuciła Hanka ojcu w twarz, a on w bezsilnej złości zacisnął dłonie w pięści.

- Spakuj się. Jeszcze dziś odwiozę cię do Zośki i Mirka -

zdecydowała Teresa.

- Ona nigdzie nie jedzie!

- Owszem, jedzie. Tylko dzięki temu unikniecie paskudnych plotek, a za kilka miesięcy będzie mogła wrócić do domu.

- A szkoła?!

- Przepiszemy ją tam i skończy to półrocze, a od następnego wróci tu. Skoro zaszła w mikołajki, powinna rodzić w końcu sierpnia. We wrześniu wróci do starej szkoły, może z kilkutygodniowym opóźnieniem - wyliczyła Teresa.

- Nigdzie nie jadę! - krzyknęła bliska łez Hanka. - Nie możecie mnie stąd wyrzucić, to mój dom!

- Nikt cię nie wyrzuca. Usiłujemy znaleźć najlepsze wyjście. Naprawdę chcesz zostać panną z dzieckiem? Tu, na tej zapyziałej wsi, będziesz wytykana palcami, nie rozumiesz?! Próbuję znaleźć rozwiązanie, które już na starcie nie złamie ci życia - powiedziała Teresa zaskakująco łagodnym, niemal matczynym głosem.

Ale Hanka wciąż była wściekła.

- A ludziom co niby powiecie, kiedy stąd zniknę?! - zapytała.

- Że jesteś chora i się leczysz. Sanatorium dziecięce w Rabce, może być? - Teresa wydmuchała ostatnią porcję dymu i zdusiła niedopałek w przepelnionej popielniczce.

- Sanatorium?! Przecież ona zawsze miała końskie zdrowie! - parsknął ojciec.

- Masz lepszy pomysł? - wycedziła Teresa, posyłając mu lodowate spojrzenie, i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ojciec zmiękł i spokorniał.

- Może masz rację - przyznał, opadając na kuchenny taboret, jakby zeszło z niego powietrze.

- Oczywiście, że mam rację - triumfowała Teresa. - Chodź, pomogę ci się spakować - dodała, zwracając się do dziewczyny.

- Nigdzie nie jadę! - krzyknęła Hanka histerycznie, ale ojciec kazał jej się zamknąć i słuchać Teresy.

Czterdzieści minut później, po szybkim telefonie do kuzynki, Teresa zniosła na dół jej walizkę i kazała iść do samochodu.

- Muszę się z kimś pożegnać! - rozplakała się Hanka.

- Z kim?! Z tym jełopem, który zrobił ci bachora?! - wrzasnął na nią ojciec. - Zapomnij!

- Tato, ja nie chcę tam jechać! Przecież to są obcy ludzie, nie znam ich! - Rzuciła się w stronę łazienki, by tam się zamknąć, ale ojciec był szybszy.

Złapał ją za ramię i wywłókł na zewnątrz.

- Bez scen, sąsiedzi patrzą - warknął, ładując ją do samochodu.

Po chwili do bagażnika włożył walizkę i z zaciśniętymi ustami usiadł za kierownicą.

- Zapnij pasy - burknął.

Teresa zamknęła dom i wślizgnęła się na tylne siedzenie. Ona jest jak klawisz, pomyślała z nienawiścią Hanka.

Jechali jakąś godzinę, kiedy ojciec zjechał na stację benzynową.

- Kup mi papierosy - poprosiła go Teresa.

- Chce mi się sikać - syknęła Hanka, czując palącą nienawiść do tej parki z piekła rodem, która wyrzuciła ją z domu, jak wyrzuca się śmieci.

Najbardziej zszokowało ją ekspresowe tempo tej decyzji i to, jak szybko zdołali ją spakować, wsadzić w samochód i wywieźć w nieznaną. Jakby oboje tylko czekali na dogodną sposobność do pozbycia się mnie, pomyślała bliska łez.

- Dobra, dziesięć minut postoju - zdecydował ojciec. - I idź z nią do łazienki - poprosił Teresę.

- Po co? Nie mam pięciu lat - burknęła Hanka, ale jej protest nie przyniósł skutku.

Łazienka była obskurna i cuchnąca. Kiedy weszły do środka, Teresa wymownie się skrzywiła i z wyraźną odrazą zamknęła skrzypiące drzwi.

- Sikaj, tylko szybko. Cuchnie tu niemiłosiernie - rzuciła.

- To może wyjdź? - zasugerowała Hanka złośliwym tonem.

- Nie mogę. Muszę pilnować ciężarnej smarkuli - odpowiedziała kochanka ojca.

- Cieszy cię to, prawda? Możesz się mnie pozbyć i jeszcze udawać, że pomagasz - wycedziła, patrząc jej prosto w oczy.

- Idź sikać - powiedziała Teresa, nie podejmując tematu.

Hanka zamknęła się więc w kabinie i rozpięła dżinsy. A później, kiedy już się załatwiła, spuszczać wodę, zerknęła na mieszczące się tam niewielkie okno. Gdybym weszła na muszlę, mogłabym się przez nie precisnąć, pomyślała. Teresa podniosła larum dopiero wtedy, kiedy posapując, przelała przez okienną ramę, ale zdążyła już zeskoczyć na ziemię i biegiem ruszyć w stronę pobliskiego zagajnika. Najśmieszniejsze było to, że nie miała nawet pojęcia, dokąd biegnie i co dalej. A jednak pędziła przed siebie, osłaniając twarz ramionami, żeby nie poharatały jej gałęzie. Biegając, wyobraziła sobie, że zjawia się w progu domu Artura, a jego rodzice przytulają ją i zapraszają do siebie. Jeszcze nie wiedzieli o wnuku. Przerażony konsekwencjami Artur przysiągł jej, że będzie milczeć, i chyba dotrzymywał słowa. Ale przecież gdyby im wszystko powiedziała, mogłoby się skończyć dobrze. Zaopiekują się nią, przecież zawsze ją lubili. A później pomogą w opiece nad dzieckiem, rozmarzyła się.

Ojciec dogonił ją chwilę później i choć kopota i krzyczała, zawlókł ją do samochodu i siłą w nim usadził.

- Wytnij mi jeszcze jeden numer, to wyjdę z siebie! - warknęła, zapinając jej pasy.

- Nienawidzę cię! - rozplakała się.

- A to akurat żadna nowość - mruknął.

Teresa stała oparta o samochód i bawiła się paczką kupionych jej przez ojca marlboro.

- Zapal na stacji benzynowej, idiotko, i wyleć w powietrze - szepnęła Hanka, kiedy została w aucie sama.

Ruszyli chwilę później.

Teresa paliła na tylnym siedzeniu, w radio znowu gadali o przyjęciu Polski do NATO, a ojciec prowadził w milczeniu. Wściekłość dosłownie z niego buchała, jakby nią emanował.

Kilkanaście minut później dotarli na miejsce.

- Zjedź w tamtą drogę - poinstruowała go Teresa.

Hanka rozejrzała się dookoła, nie mogąc uwierzyć, że jeszcze tego ranka wstała z łóżka, nie mając pojęcia, że właśnie minęła ostatnia noc, którą spędziła w rodzinnym domu.

- To jakaś zabita dechami wiocha! - syknęła, kiedy samochód, kolebiąc się na wybojach, wjechał w wąską i pełną kolein drogę wysadzaną płaczącymi wierzbami.

- Tym lepiej. Donosisz ten brzuch bez świadków - rzucił ojciec przez zęby.

- Mówisz o twoim wnuku! To nie jest jakiś głupi brzuch, tam jest dziecko! - krzyknęła Hanka.

- O tym akurat nie musisz nam przypominać. - Uśmiechnął się krzywo, a Teresa kazała mu się zatrzymać.

- To ten dom - powiedziała.

Hanka przyjrzała się ponuremu, nieotynkowanemu budynkowi z pustaków i znowu zachciało jej się płakać. Piętrowa i zaniedbana willa sprawiała okropne wrażenie. Balkony nie miały jeszcze nawet barierek, wszystko wyglądało na niedokończone i niedopieczzone, zarówno dom, jak i otaczające go podwórze.

Jadąc tu, Hanka miała nadzieję, że ci ludzie mają chociaż większą kasę, ale wyglądało to tak, jakby zesłano ją pod dach jakichś wieśniaków. Chociaż nienawidziła siebie za takie jawne okazywanie słabości, załżała się łzami.

Ojciec pożegnał się z nią sucho, nawet na nią nie patrząc.

- Niedługo się widzimy - rzucił tylko przez zęby, a kiedy zapłakana Hanka wysiadała z wozu, powiedział do Teresy: - Zostanę w aucie. Podziękuj im ode mnie i powiedz, że wkrótce przyjadę załatwić jej szkołę i rozliczyć się z jej pobytu.

- Przekażę. - Teresa podeszła do pomalowanej na zielono furtki, żeby wcisnąć dzwonek.

Kiedy na ganek wyszła zbliżająca się do czterdziestki kobieta z ciasno spiętymi w kok włosami, Hanka rzuciła się w stronę samochodu, obiegła go i zapukała w okno od strony kierowcy.

- Tatusiu, nie zostawiaj mnie tu - wyłkała, kiedy ojciec nieco opuścił szybę.

Ale tylko na nią spojrzął i obojętnie odwrócił głowę, udając, że nie dostrzega jej rozpaczki, i bębniąc palcami w deskę rozdzielczą, czekał, aż Teresa przywoła jego córkę do porządku.

Wtedy Hanka obiecała sobie, że już nigdy więcej o nic go nie poprosi, a resztkę uczucia, jakie do niego żywiła, po prostu z niej wyparowała. Nienawidzę go, myślała, wchodząc za Teresą do obcego i cuchnącego psią sierścią domu. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę!

Kobieta, którą przedstawiono jej jako Zofię, siwiała na skroniach i miała brzydką, ziemistą cerę nałogowej palaczki.

- Chodź, pokażę ci twój pokój - powiedziała, kiedy zostały same.

Kręcący się wokół ich nóg niewielki kundel radośnie poszczekiwał, aż wreszcie jego pani kazała mu się przymknąć.

- Teresa mówi, że nie będzie z tobą problemów? - dodała, kiedy

weszły do niewielkiego, pomalowanego na zielono pokoju.

- Zobaczymy - rzuciła Hanka hardym tonem, patrząc jej prosto w oczy.

- Zobaczymy. - Zofia uśmiechnęła się krzywo i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Hanka usiadła na wąskim łóżku z metalową poręczą i tłumiąc łzy, zapatrzyła się w ścianę.

- Mamusiu, czemu mnie zostawiłaś? - wyłkała, samotnie siedząc w obcym pokoju.

Pół godziny później wróciła Zofia i podała jej garnuszek ciepłego mleka z miodem.

- Nie lubię mleka z miodem - zaprotestowała Hanka.

- Lubisz. Tylko jeszcze o tym nie wiesz. Pij.

Wypiła. Była zbyt zmęczona, żeby dalej się stawiać.

35

Jeremi zamówił hot doga w barze niedaleko komisariatu, kiedy odezwała się jego komórka. Czekał na jedzenie, usiadł przy jednym z plastikowych stolików, wyjął z kieszeni telefon i zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Matylda. W pierwszej chwili chciał odebrać, ale zdał sobie sprawę, że dziewczyna zbyt mocno się do niego przywiązała, a on chciał uniknąć niezręcznych sytuacji. Wiedział, że była mu wdzięczna i wciąż w każdy możliwy sposób chciała to okazać, ale on ich relacje uznał za zakończone w dniu, w którym niesłusznie oskarżony o jej pobicie Mateusz wyszedł z aresztu. Czuł sporą satysfakcję, że udało mu się pomóc kumplowi, ale prywatnie nie miał jej już nic więcej do powiedzenia. Jednak Matylda nie ustępowała. Dojadał hot doga, kiedy zadzwoniła po raz kolejny.

- Cholera jasna - zaklął Jaromirski, wycierając upačkane musztardą palce w papierową serwetkę. - Słucham - mruknął, odbierając.

- Cześć. Dzwonię nie w porę?

- Troszkę - powiedział.

- To może...

- Mów, co się dzieje - wszedł jej w słowo. - Wszystko okay?

- Tak, chyba tak.

- Chyba?

- Pokłóciłam się z Mateuszem. Zarzucił mi, że byłam w to wszystko zamieszana - powiedziała cicho.

- W co?

- W moje pobicie.

- Chyba żartujesz?

- Chciałabym. Kompletnie mu odwaliło, rozumiesz? Uroił sobie, że udawałyśmy z Renatą niechęć do siebie, a za jego plecami knułyśmy intrygę, żeby położyć łapy na jego klubie.

- Przecież to niedorzeczne! Szkoda, że nie widział cię tamtego dnia, w klinice... Miałabyś zlecić pobicie samej siebie? To znaczy takie rzeczy też się czasem zdarzają, ale w tym wypadku...

- Wiem. Czuję się naprawdę paskudnie. Cieszyłam się, że mam w nim brata, a on... Najgorsze jest to, że kompletnie się czegoś takiego nie spodziewałam...

- Wtedy boli najbardziej. Kiedy zrani nas ktoś, po kim się niczego złego nie spodziewamy - powiedział Jeremi. - Słuchaj, będę musiał kończyć. A ty odetchnij od tego koszmaru. Weź psa i wyjedź na Mazury, zapomnij na trochę o tym, co się stało, nie kontaktuj się z Mateuszem.

- Nie chcę wyjeżdżać! Chcę...

- Matyllda, nie mogę teraz rozmawiać, zaraz muszę wracać na komendę. Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku.

- Ale nic nie jest w porządku, nie rozumiesz?!

- Na to już nic nie poradzę.

- Mogę zadzwonić później? - zapytała cicho.

I chociaż było mu jej żal, odmówił.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział.

- Jasne, rozumiem... - Przerwała połączenie.

Do Mateusza zadzwonił chwilę później, ale stary kumpel nie odebrał.

Napisał więc wiadomość:

Serio podejrzewasz, że Matyllda upozorowała własne pobicie? Odjechało Ci, człowieku?!

Ale nie dostał odpowiedzi.

Tak właśnie wygląda ludzka wdzięczność, pomyślał, idąc w stronę komisariatu. Poświęcił czas i kasę, żeby pomóc rodzeństwu Krollów, a dostał tylko wyrzuty sumienia z powodu śmierci Renaty, focha ze strony Matyldy i obojętne milczenie Mateusza.

Do czternastej trzydzieści przeglądał raporty w sprawie podejrzanego zaginięcia i cudownego odnalezienia się Karoliny Lenart, której historia nie dawała spokoju Kiciusiowi. Szybko jednak poczuł zniechęcenie i korzystając z nieobecności Oziębłowicza, znacznie wcześniej wymknął się do domu.

Wieczorem poczuł się dziwnie samotny. Zdał sobie sprawę, że nie ma nawet do kogo zadzwonić, żeby pogadać. Kiciuś nie odbierał, ojciec z bratem byli akurat na morzu, zresztą z nimi od dawna miał raczej marny kontakt, Aneta nie była już jego kobietą, a na rozmowę z Olgą, przyjaciółką z dawnych lat i była kochanką, jakoś nie miał ochoty. Może dlatego pod wpływem impulsu włączył laptopa i wpisał w wyszukiwarce „randki, zachodniopomorskie”. Stronę wybrał na chybił trafił i zaczął przeglądać fotografie kobiet od dwudziestu siedmiu do trzydziestu pięciu lat. Większość odrzucił na samym wstępie, nie interesowały go tipsiary z kilogramem tapety na twarzy ani dziewczyny, które wrzucały zbyt odważne fotki czy zbyt głębokie dekolty. Szukał fajnej, normalnej, wykształconej laski, bynajmniej nie jakiejś blachary.

Żaneta, dwadzieścia sześć lat. Potrafię zabrać faceta do nieba - przeczytał motto jednej z tlenionych blondynek.

- Nie wątpię, kotku - mruknął, opuszczając jej profil.

Andżela, dwadzieścia dwa lata, napisała: *Szukam miłości przez duże M, może to akórat ty mnie rozkohasz?*

- Dobrze, że chociaż szukasz przez u zwykłe - rzucił pod nosem Jeremi.

Miał się wylogować, kiedy zauważył fotkę atrakcyjnej, obciętej na krótko blondynki z dużymi jasnymi oczyma i kilkoma piegami na nosie. Spodobała mu się jej delikatna uroda, niemal całkowity brak makijażu, twarz w kształcie serca i wysokie kości policzkowe. Usta miała może nieco zbyt wąskie, ale za to oczy... Można było w nich zatonać.

Przeczytał:

Aleksandra, świeżo upieczona trzydziestka. Zodiakalna Lwica i życiowa optymistka. Szukam czegoś niebanalnego, a jednocześnie nieskomplikowanego.

- Zaraz się przekonamy, jak bardzo jesteś nieskomplikowana - mruknął Jeremi, wchodząc na ikonkę „napisz wiadomość”.

Napisał o sobie niewiele. Odezwała się po jakiejś półgodzinie i zaproponowała spotkanie - okazało się, że mieszka w miasteczku oddalonym od ich miejscowości o niecałe dwadzieścia kilometrów. Spodobało mu się, że od razu chce się umówić, sam też zawsze lubił grać w otwarte karty. Zaproponował knajpę Czarny Żubr, drewnianą tawernę ze świetną kuchnią polską, mieszczącą się mniej więcej w połowie drogi między ich miejscowościami.

Okay, ale zjawię się dopiero o dwudziestej pierwszej, bo do późna dziś pracowałam. Pasuje Ci? - zapytała.

Odpisał, że tak, i wysłał jej numer swojej komórki. W odpowiedzi przesłała namiary na siebie.

- Obym tego nie żałował - powiedział do siebie, wyłączając laptopa.

Nigdy nie był fanem randkowania w sieci, a facetów, którzy wyszukiwali laski w taki sposób, uważał za ciężkich frajerów.

A jednak i on dał się omamić łatwości nawiązywania internetowych kontaktów... Ubrał się w niewyszukany sposób, nie chciał sprawiać wrażenia desperata, który koniecznie chce sobie kogoś znaleźć. Zwykła bluza z kapturem, dżinsy, sportowe buty. Do Czarnego Żubra dotarł sporo przed czasem i zajął stolik z widokiem na niewielkie jezioro i rosnące na jego brzegu strzeliste sosny. W lokalu pachniało węglem drzewnym za sprawą płonącego kamiennego paleniska, a rustykalny wystrój i migotliwe światło zapalonych na stolikach świec dodawały knajpie uroku.

Aleksandra zjawiała się punktualnie, czym również u niego zapunktowała, i podobnie jak on miała na sobie jasne dżinsy i zwykłą szarą bluzę z kapturem.

- Cześć. - Kiedy wstał, gdy podeszła do jego stolika, pocałowała go w policzek. - Ola.

- Jeremi - powiedział, celowo nie podając nazwiska.

Ale przecież ona też go nie wyjawiała.

- To co? Głodna? - zapytał, kiedy usiadła i posłała mu uśmiech.

- Jak wilk. - Wzięła od niego menu.

Kiedy zamówili, zapytał, czym się zajmuje.

- Nie spodoba ci się to. - Uśmiechnęła się krzywo. - I może się okazać, że to nasza pierwsza i ostatnia randka...

- Aż tak źle? Czekaaj, zgadnę. Pracujesz w oczyszczalni? - zażartował.

- Gorzej. Chociaż pod pewnymi względami miejsce, w którym jestem zatrudniona, można by nazwać oczyszczalnią.

- Ścieków?

- Charakterów. Naprostowujemy złych koleśi. Świta ci już coś?

- Jesteś zatrudniona w więziennictwie?

- Blisko, ale to nie to.

- Pracujesz w poprawczaku w Liskach?
- Nie.
- Glina? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy.
- Zgadłeś.
- No proszę, a to trafiłem! - Jeremi parsknął śmiechem.
- Nie wyglądasz na zszokowanego... Kręcą cię dziewczyny z bronią?
- Lepiej, znacznie lepiej. Aspirant Jeremi Jaromirski. - Wyciągnął do niej rękę i teraz to Ola parsknęła śmiechem.
- Ty chyba żartujesz?!
- Nie.
- Nie wierzę!
- A jednak...
- No to się dobraliśmy, nie ma co... Sierżant Aleksandra Florczyk. - Uścisnęła jego dłoń i z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - Naprawdę ciężko w to uwierzyć. Słuchaj, a może wiedziałeś?
- Niby skąd?
- Nie wiem, poznałeś mnie na zdjęciu. Może już kiedyś razem pracowaliśmy?
- Uwierz mi, pamiętałbym. Zresztą mieszkam tu od niedawna, jestem ze Szczecina.
- Uwielbiam Szczecin! Moi dziadkowie mieszkali na Limanowskiego, kochałam jeździć do nich na wakacje.
- I niech zgadnę, łąziłaś po drzewach, zwisałaś z trzepaka i włóczyłaś się wieczorami po mieście?
- Otóż nie. Czytałam książki, pomagałam babci robić konfitury i uczyłam się gotować. W podstawówce byłam żenująco grzeczną dziewczynką. Dopiero w liceum mi odbiło, ale to nie temat na pierwszą randkę.

- Czemu? Mów, mów - zachęcił ją Jaromirski.

- Mam ci opowiedzieć, jak pobiłam koleżankę?

- A pobiłaś?

- Owszem. Po tym, jak miesiącami znęcała się nade mną ona, jej starsza siostra i dwie ich kumpele, dorwałam ją, kiedy była sama, zawlokłam w krzaki i tak jej dokopałam, że przez dwa tygodnie obnosiła się z paskudnym limem pod okiem. Prawie wtedy wylądowałam w poprawczaku, tylko znajomości mojego ojca uratowały mi tyłek.

- Niegrzeczna dziewczynka. Już chyba cię lubię - skwitował z uśmiechem i zapytał, czemu zdecydowała się dać ogłoszenie w sieci.

- A czemu nie? - Wzruszyła ramionami. - W pracy nikogo nie znaję, zresztą związek z kolegą to marny pomysł. W sąsiedztwie żonaci albo jakieś buraki, wielu znajomych stąd wyjechało... A ty?

- Ja? Cóż, to był raczej spontaniczny pomysł.

- Nagle poczułeś się samotny?

- W pewnym sensie - przyznał niechętnie.

- Pocieszę cię. Mnie też czasem smutno. Ostatnio przygarnęłam nawet kotka, ale nie pomogło. - Roześmiała się. - Lubisz koty, prawda? Nie jesteś jednym z tych podłych koleś, którzy strącają je z kanapy, kiedy ich dziewczyna nie widzi?

- Nie mam nic przeciwko kotom - zapewnił.

- Czyli gładko przebrnęliśmy przez najbardziej problematyczne tematy?

- Na to wygląda.

- Cieszę się, aspirancie. - Aleksandra parsknęła śmiechem i podziękowała kelnerce, która postawiła przed nią talerz z zamówionym gulaszem.

- To co? Smacznego. - Jeremi podsunął jej koszyk ze sztuczkami

i zabrał się za jedzenie. - Niezłe - dodał, a ona zgodziła się z nim.

Kiedy zjedli i zapłacili, zapytała, czy jeszcze się zobaczą.

- A chciałybyś?

- Tak, a ty?

- Ja też - powiedział i mówił szczerze, bo dziewczyna naprawdę mu się spodobała.

Była ładna, naturalna i zabawna, a przy tym fantastycznie pachniała i miała niezłą figurę.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedział Jeremi, kiedy wyszli na zewnątrz.

- Do motocykla, chciałeś powiedzieć. - Podeszła do zaparkowanego tuż obok jego suzuki motoru.

- Yamaha XJ6? Ładna maszyna - pochwalił, przyglądając się, jak Ola wyjmuje ze schowka kask.

- Marzyłam o niej od dłuższego czasu i w końcu jest. - Spojrzała mu w oczy, przybliżyła się i pocałowała go w usta. - Podobasz mi się, aspirancie Jaromirski.

Chwilę później założyła kask, pomachała na pożegnanie, wsiadła na motocykl i odjechała, a Jeremi, wciąż oszołomiony niespodziewanym pocałunkiem, sterczał samotnie na parkingu przez dobrych pięć minut. W końcu wsiadł do subaru i wyjechał na szosę. Jadąc w stronę domu, zastanawiał się, czy życie może być takie proste. Spodobała mu się. Tak naprawdę, bez ściemy. Czy była szansa, że po prostu zaczną się umawiać i stworzą razem coś trwałego? - rozmyślał, zjeżdżając w stronę miasteczka.

Następnego dnia rano Aleksandra wysłała mu esemesa:

Nie wspomniałam Ci wczoraj jeszcze o jednym. Nie znoszę, ale po prostu NIE ZNOSZĘ dzieci!

Parsknął śmiechem i odpisał:

Też nie za bardzo przepadam za małymi trollami, chociaż są

pewne wyjątki.

Odezwała się godzinę później:

Teraz naprawdę Cię lubię!

Przez resztę dnia milczała, ale i tak nie potrafił przestać o niej myśleć. Zauroczyła go, totalnie go sobą zafascynowała. Cieszyło go to. Czas zapomnieć o Anecie i zacząć żyć, pomyślał, a później zastanawiał się, dokąd zabierze Olę na drugą randkę.

36

Hanka wyjęła z piekarnika żaroodporne naczynie z ziemniaczano-warzywną zapiekanką, postawiła je na kuchennej desce i zdjęła grubą ochronną rękawicę.

- Pachnie nieźle. Dawno nie gotowałam. - Marek objął ją od tyłu i pocałował w szyję.

Odwróciła się i ujęła jego twarz w dłonie.

- Tęsknię za tobą, kiedy cię nie ma. Ostatnio tak często wyjeżdżasz...

- Taka praca - powiedział, zanim pocałował ją w usta.

- Chcesz jeść czy świntuszyć? - Uśmiechnęła się zaskoczona zainteresowaniem męża, którego od dawna jej nie okazywał.

- Chcę cię wychędożyć, kobieto - powiedział, wsuwając dłonie pod jej podkoszulek, a gdy oparła się plecami o blat, zapytał, lekko przygryzając płatek jej ucha: - Tu i teraz?

- Lada moment wróci młoda.

- To będzie miała pokazową lekcję biologii. Ściągnij to - poprosił, gładząc jej piersi przez materiał bawełnianego stanika, i po krótkiej chwili wahania Hanka zdjęła podkoszulek i rozpięła stanik.

Marek pocałował ją w zagłębienie obojczyka i pociągnął za troczek jej szarych dresowych spodni, kiedy usłyszeli zgrzyt przekręcane w zamku klucza.

- Kurwa, mówiłam - szepnęła Hanka, w panice podnosząc z podłogi biustonosz.

Podkoszulek założyła w momencie, w którym córka krzyknęła

z przedpokoju „cześć!”, a rozbawiony Marek wziął od niej stanik i wcisnął do jednej z kuchennych szuflad.

- Zjem i muszę wyjść - oznajmiła młoda, wchodząc do kuchni.

- O tej porze? Zapomnij - powiedziała Hanka, sięgając po nóż. - Siadaj, zaraz jemy.

- Jest jeszcze cola?

- Nie, twój ojciec wypił z rumem. - Hanka posłała mężowi rozbawione spojrzenie i zabrała się do krojenia zapiekanki.

- No dzięki, moją colę - mruknęła Zuza, zasiadając za kuchennym stołem. - Coście tacy cisi?

- Delektujemy się zapachem domowego jedzenia - zażartował Marek.

- Fakt, w tym domu rzadko go czuć - wbiła matce szpilę Zuzanna.

- Daj ci Boże, żeby kiedyś w twoim domu czuć go było częściej. Może nie pójdziesz do pracy i będziesz żoną przy mężu, która serwuje trzydaniowe obiady? - rzuciła Hanka przez zęby.

- Moje panie, po co te złośliwości? Zuza, mów lepiej, co słyhać.

- Mówiłam ci, co słyhać. Zjem i wychodzę.

- A ja mówiłam, że nigdzie nie pójdziesz - wtrąciła Hanka, wykładając na talerze po kawałku zapiekanki.

- Umówiłam się i wyjdę!

- Z kim?

- Nieważne!

- Nieważne?! Dziecko, czy tobie się już całkiem w głowie poprzestawiało?! Masz trzynaście lat i mówisz do mnie w ten sposób?! - Piasecka cisnęła do zlewu nóż i wyjęła z lodówki keczup. - Powiedziałam, nigdzie nie idziesz!

- Nie?! To kolacji też nie jem! - Zuza zerwała się zza stołu i bliska płaczu pognęła w stronę przedpokoju.

- Hej! Dokąd to?! - Marek dopadł córkę, kiedy zakładała buty.
- Przecież mówię, że muszę wyjść! - wykrzyczała mu w twarz.
- Jest dwudziesta, a za oknem zadymka! - Hanka podeszła do frontowych drzwi, jakby chciała oddzielić córkę od całej reszty świata.

- I co?! Przez pieprzony śnieg nie mogę nagle wyjść?! - pyskowała młoda.

- Przez pieprzony śnieg?! Dziewczyńko, czy ja ci mam wyszorować język szarym mydłem?! - Złapała córkę za ramię i popchnęła w stronę jej pokoju. - Powiedziałam, nigdzie nie idziesz!

- Nienawidzę cię, słyszysz?! Zawsze robisz mi na złość! To prawda, że matki zawsze są wredne dla córek!

- Moja mama nie była dla mnie wredna. Umarła, zanim zdążyłam się nią nacieszyć - powiedziała cicho Hanka i młoda spokorniała.

- Sorry - wymamrotała pod nosem, zanim z podkulonym ogonem weszła do siebie.

- Zaniosę jej kawałek, może zje. - Marek wrócił do kuchni i polał keczupem porcję Zuzy.

- Łaski nie robi - burknęła wytrącona z równowagi Hanka.

- No już, nie wkurwiał się na nią. To tylko dzieciak.

- To mała żmija, która robi wszystko, żeby doprowadzić mnie do szału! - syknęła Hanka, samotnie siadając za kuchennym stołem.

Marek wrócił do kuchni chwilę później z talerzem w dłoni.

- Niestety. Tym razem strajk głodowy na serio...

- Może zauważyła, że dodałam brokuły? To żadne poświęcenie nie jeść tego, czego się nie lubi. Więcej dla nas zostanie na jutro.

- Hanka wzruszyła ramionami.

- Od dawna tak między wami jest?

- Jak?

- Skaczecie sobie do gardeł.

- A jak inaczej mam ją wychowywać?! Wymyka się z domu, pyskuje, jest krnąbrna i zakochana w piętnastolatku! Nie uważasz, że trzeba ją trzymać krótko?

- Ale może... - Marek nie dokończył, bo z korytarza doszło trzaśnięcie drzwiami.

- Nie wierzę! Wyślizgnęła się z pokoju, założyła buty i wyszła?!

- Pójdę za nią.

- Nie, zostaw. Niech idzie. Ale kiedy wróci, urządzę jej prawdziwy Armagedon. - Z wściekłości aż poczerwieniała.

- Pójdę za nią. Niech się nie włóczy po ciemku.

- Mówię, zostań! - podniosła głos.

- Tak jest, pani sierżant. To na czym skończyliśmy? - Marek objął żonę i pocałował ją w szyję. - To co? Kończymy, co zaczęliśmy?

- Tak, ale nie na kuchennej podłodze. Za stara jestem na takie akcje. - Pociągnęła męża za rękę i zniknęli w sypialni.

Po wszystkim zasnęła błogo wtulona policzkiem w zagłębienie jego ramienia. Obudziło ją światło; Marek zapalił niewielką lampkę po swojej stronie łóżka.

- Obudziłem cię? Sorry. - Pochylił się, pocałował ją w usta i okrył kołdrą, którą z siebie zrzuciła podczas snu.

- Która godzina? - Hanka przetarła oczy i usiadła na łóżku.

- Dwudziesta trzecia trzydzieści osiem.

- Zuzanka już wróciła?

- Nie.

- Jak to nie?! - Piasecka momentalnie strząsnęła z siebie resztki snu, odrzuciła na bok pierzynę i zerwała się z łóżka. - Czemu mnie nie obudziłeś?!

- Bo sam zasnąłem. Też jestem zmęczony.
- Kurwa, przysięgam, że wypatroszę tę smarkulę! - zarzekła się, szukając pod łóżkiem swojej koszulki.
- Zostań, ja pójde jej poszukać.
- I co? Będziesz łązić po osiedlu, błakając się bez celu?!
Dzwoniłeś do niej na komórkę?
- Owszem.
- I co?
- Posłuchaj. - Marek sięgnął po telefon i wybrał numer córki, a w pokoju obok odezwała się jej komórka.
- Nie zabrała telefonu? To do niej niepodobne...
- Jak widzisz, nie zabrała.
- Czeka, coś wrzucę na siebie i idę z tobą! - Hanka w pośpiechu założyła koszulkę i podeszła do szafy, żeby wyjąć dzinsy. - To moja wina. Trzeba było ją zatrzymać, kiedy wychodziła...
- Teraz nie ma co gdybać. Ubieraj się.
Na dół zeszli, trzymając się za ręce. To Hanka ujęła dłoń męża i zacisnęła na niej palce, bo nagle zaczęła się bać. Co, jeśli stało się coś złego? Coś strasznego i nieodwracalnego, zadrećzała się w myślach.
- Słuchaj, a może ona jest u niego?
- U swojego chłoptasia? O tej porze? Przecież jego rodzice chyba jakoś zareagowali i odesłali ją do domu? Ostatnio rozmawiałam z jego matką - przypomniała mężowi Hanka.
- Dobra, chodź. Rozejrzyjmy się po osiedlu. - Marek pociągnął żonę w stronę parkingu i przyświecając sobie latarką, kręcił się pomiędzy samochodami.
- To nie ma sensu. Wróć do domu i spróbuję się skontaktować z jej znajomymi. Mam gdzieś zapisane numery matek jej

przyjaciółek – zdecydowała Hanka. – A ty się rozejrzyj po lasku i wracaj, wtedy zastanowimy się, co dalej.

– Tak, ale...

– Marek, idź! – huknęła na męża, który zacisnął zęby w bezsilnej złości, ale nic już nie dodał i wszedł między pierwsze drzewa.

Piasecka wchodziła do klatki, kiedy wpadła na Nieborowskich – małżeństwo, z którego piętnastoletnim synem spotykała się ich córka.

– O, dobrze, że państwa widzę. Czy była dziś u państwa Zuza? – zapytała, a Irena Nieborowska zrobiła dziwną, skwaszoną minę.

– Nie, nie było jej. Co gorsza, gdzieś przepadł nasz Igor, a sprzed bloku zniknęło auto mojego męża.

– Jak to zniknęło?! – zawołała Hanka.

– Podejrzewamy, że Igor je sobie pożyczył, bo kluczyków też nie mogę znaleźć. – Zbigniew Nieborowski bezradnie rozłożył ręce.

– Pan żartuje?! – Hanka zbladła i oparła się o ścianę, bo ugięły się pod nią nogi.

Na zewnątrz sypało i było ślisko, a dwójka szczyli urządziła sobie przejażdżkę?! Nie, to nie może być prawda...

– Idziemy się rozejrzeć, idzie pani z nami? – Nieborowski otworzył drzwi na klatkę, ale Piasecka go zatrzymała.

– Co to za samochód? Wiem, że kilkuletni opel, ale...

– Szary opel zafira – wszedł jej w słowo sąsiad.

– Jest pan pewny, że to syn zabrał panu auto?

– A kto, pani Hanno?!

– Kurwa – szepnęła, a Nieborowska, z wykształcenia nauczycielka chemii, posłała jej zniesmaczone spojrzenie. – Dobra, dzwonię do chłopaków z drogówki, niech się za nim rozejrzą. Podejrzewa pan, dokąd mogli pojechać?

- A pani? - syknęła Nieborowska i Hanna zrozumiała, że ona ma rację.

Wiedziała tyle co oni...

Do Jarka Ulricha dodzwoniła się niemal od razu.

- Cześć. Słuchaj, masz dziś nockę? - zapytała, kiedy kumpel z drogówki odebrał.

- No mam, a co?

- Dobra. Słuchaj, podejrzewam, że moja córka wybrała się na przejażdżkę w towarzystwie swojego chłopaka. Dzieciak nie ma prawka. Powinni się poruszać oplem zafirą. Czekał, dam ci właściciela, poda ci numery wozu.

- Kurwa, grubo. Ślisko dziś...

- Co ty powiesz? - syknęła Hanka. - Dobra, podaję ci ojca dzieciaka. A ty do mnie zadzwoń, kiedy tylko się czegoś dowiesz.

- Jasne, trzymaj się - powiedział Jarek i Hanka podała telefon Nieborowskiemu.

Patrol drogówki znalazł ich czterdzieści minut później... w rowie.

- Wypatroszę tę gówniarę! - klęła Hanka, zaciskając palce na kierownicy.

Siedzący obok niej Marek milczał, skupiony na drodze przed nimi.

- Zwolnij, prujesz jak szalona - rzucił przez zęby i Hanka lekko zwolniła.

Początkowo była wściekła, chociaż złość na córkę mieszała się z poczuciem obezwładniającej ulgi na myśl o tym, że młodej nic się nie stało. Jednak z każdym mijanym kilometrem wściekłość wyparowywała, a ogarniające ją uczucie ulgi było niemal błogie.

Na ich widok czekająca na komendzie Zuza wybuchła płaczem i ignorując matkę, rzuciła się na szyję ojcu.

- Tatusiu, przepraszam. Chcieliśmy się tylko przejechać - szlochła wtulona w jego kurtkę.

- To się przejechaliście! - krzyknęła Hanka. - Gdzie jest twój chłopak?!

- W łazience - rozszlochła się Zuza.

- Coś mu się stało? - zaniepokoiła się stojąca obok Nieborowska.

- Nie, nic się nam nie stało. Wpadliśmy tylko do rowu i nie potrafiliśmy wyciągnąć samochodu, a ja nie miałam komórki i...

- Porozmawiamy w domu! - wycedziła Hanka, łapiąc córkę za ramię. - Idź do auta, zaraz tam przyjdę - dodała, wręczając jej kluczyki. - Tylko żeby ci nie przyszło do głowy odjechać - dodała kąśliwym tonem, a młoda się skuliła.

Do domu dotarli w ponurym nastroju. Siedząca z tyłu Zuza nie odezwała się nawet słowem, Marek również milczał.

Dochodziła pierwsza trzydzieści nad ranem, kiedy Hanka zajrzała do pokoju córki, która siedziała w fotelu przy oknie.

- Kładź się, jest środek nocy - ofuknęła ją ostro, wciąż wściekła i porażona jej szczenięcą głupotą.

- Nie mogę spać.

- Mogliście się zabić, zdajesz sobie z tego sprawę?!

- Nie myśleliśmy o tym. - Wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej - syknęła Hanka, przysiadając na skraju łóżka. - Chodź do mnie, chcę cię przytulić. Przestraszyłaś nas, nie rozumiesz? - dodała znacznie łagodniejszym głosem, a młoda najpierw łypnęła na nią z niedowierzaniem, a później wstała i usiadła obok matki.

- Przepraszam, mamus - szepnęła, kładąc głowę na jej ramieniu.

- Mogliście się zabić. - Hance załamał się głos.

- To dlatego, że nie pozwalacie się nam spotykać. Kochamy się, a wy tego nie rozumiecie! - krzyknęła.

I nagle Hanka nabrała ochoty, żeby opowiedzieć córce wszystko, co jej się przytrafiło. To, jak przez dwadzieścia osiem godzin rodziła pierwsze dziecko, które odebrano jej zaraz po porodzie. To, jak cierpiała, płacząc w poduszkę w obcym domu, skazana na życie pod jednym dachem z ludźmi, dla których była jedynie chodzącym na dwóch nogach inkubatorem. I o tym, jak tęskniła za Arturem, którego rodzice wywieźli do Niemiec. Kiedy kilka dni po porodzie wróciła do domu, pod ich adresem mieszkał ktoś inny. I chociaż pytała sąsiadów, czy ktoś ma zamiary na niego, nikt nie zdołał jej pomóc. A później były długie miesiące żelaznej dyscypliny zafundowane jej przez wciąż na nią obrażonego ojca i ukradkowe lodowate spojrzenia Teresy, która w tamtych czasach traktowała ją jak pałętającą się po kątach ubogą krewną, której nie wypadało tak po prostu wyrzucić na ulicę. Później, tuż przed maturą, ich relacje nieco się ociepliły. Kochanka ojca uszyła jej nawet sukienkę na studniówkę, jednak w głębi serca Hanka nigdy nie potrafiła jej zaakceptować w roli nowej partnerki ojca, i nawet teraz, jeżdżąc do niej po pracy, nieraz myślała o niej jak o jego dawnej flami.

Wszystko to chciałyby opowiedzieć córce, ale wiedziała, że to marny pomysł. Przyznać trzynastoletniej zbuntowanej smarkuli, że w wieku piętnastu lat urodziła dziecko koledze z klasy? Nie, to by było jak założenie sobie na szyję stryczka. Pod wpływem chwili, chcąc poczuć więź z córką i przed czymś ją ostrzec, odsłoniłaby się przed nią całkowicie, a później młoda miałaby w ręku całkiem niezłą kartę przetargową. A Hanka już wiedziała, jak okrutne potrafią być nastolatki. Zresztą to był jej ponury, smutny sekret, którego nie zdradziła nawet Markowi. Czasem się

zastanawiała, czy ktoś w miasteczku wiedział, że ma nieślubną córkę, ale jak dotąd nikt nie zrobił choćby najmniejszej aluzji w tym temacie.

- Mamo? - Głos córki wyrwał Hanę z zamyślenia.

- Co, Kluska?

- Nie mów tak do mnie, mówiłam ci!

- Kiedy to lubię. - Pocałowała ją w czubek głowy i zapytała, o co chodzi.

- Ile miałaś lat, kiedy to zrobiłaś? No wiesz, TO.

- Dziewiętnaście - skłamała Piasecka, mając nadzieję, że zabrzmiała wiarygodnie.

- Ile?! To byłaś prawdziwym dinozaurem! - Zuza parsknęła śmiechem. - Skąd wzięłaś śmiałka, który odważył się w końcu z tobą rozprawić?

- Z sąsiedztwa.

- I jak było?

- Za pierwszym razem? Marnie.

- A później?

- Zuza, czy ty masz jakieś plany w tym temacie?

- Pytam, chyba mogę? Ty nie pytałaś mamy, jak to zrobiła?

- Żartujesz? W tamtych czasach się o tym nie rozmawiało, w każdym razie nie w ten sposób. Mama powiedziała mi tylko, że są starsi mężczyźni, na których powinnam uważać, a później umarła...

- Co jej było?

- Zmarła na serce, przecież wiesz.

- Nie leczyła się?

- Nie. Była wierząca, myślała, że wystarczy być dobrej myśli, a wszystko się jakoś ułoży. Że gdzieś na górze ktoś i tak zapisał wszystkie nasze dni...

- Serio? Jak jakaś mormonka? - wyzłośliwiła się Zuza.
- Nie wiem, w co wierzą mormoni, ale wiem, że powinnaś się kłaść. Jutro szkoła i nie myśl, że ci odpuszczę.
- Jutro szkoła? Miałam dziś wypadek!
- Wczoraj. Poza tym wjechanie do rowu nie nazwałabym czymś, co przeszkodzi ci w przyswajaniu matmy czy chemii.
- Mamo, ale ja teraz nie zasnę.
- To leż i licz barany. - Cmoknęła córkę w policzek i zgasila lampkę nocną. - Śpij, Klucha. I pamiętaj, że nawet jeśli czasem wydaje ci się inaczej, zawsze bardzo będę cię kochać.
- Ja ciebie też - powiedziała cicho Zuza, zanim zakopała się pod kołdrą.

Hanka przesłała jej w locie buziaka i cicho zamknęła za sobą drzwi. Wchodząc do sypialni, poczuła lekkie wyrzuty na widok śpiącego po swojej stronie łóżka męża. Nie powiedziała mu, że będąc piętnastolatką, urodziła dziecko, i chociaż czasem podgryzało ją sumienie, wiedziała, że pewnie już nigdy mu o tym nie powie. Było już za późno na szczerłość. Teraz pewnie by jej nie wybaczył, że tak długo milczała...

- Ciężko w to wszystko uwierzyć - powiedziała Piasecka, przyglądając się pracującej w skupieniu siwej antropolog, która czymś w rodzaju pędzla omiatała znalezione w ziemi szczątki szkieletu.

Towarzyszająca jej młoda dziewczyna przesiewała ziemię przez sito, wydobywając mniejsze kosteczki, i Hanka pomyślała, że cały ten obraz sprawia zupełnie nierzeczywiste wrażenie. Owszem, pracowała w policji na tyle długo, żeby widzieć niejedne szczątki, ale to, co tutaj znaleźli... Zaczęło się od przeszukania domu Zenka Malinowskiego i zlokalizowania w nim sprytnie zamaskowanej skrytki, z której wyciągnęli tak zwane trofea rasowego seryjnego mordercy. Srebrne kolczyki z turkusami, plecione bransoletki, dokumenty, książkę, kilka pierścionków, grzebień, lusterko i medalion ze zdjęciem starszej kobiety w środku. Przedmiotów było tak dużo, że nie mogły należeć do jednej kobiety. Ktoś zasugerował, że może to wszystko pamiątki po jego zmarłej żonie, ale szkolne legitymacje na nazwisko Marzeny Walczak i Wioletty Gawrońskiej wyraźnie przeczyły tej teorii. Wtedy zaczęli szukać i już po dwóch dniach mieli osiem zeszkieletowanych szczątków, najprawdopodobniej należących do młodziutkich kobiet.

- Wiesz już, co wczoraj powiedział nam Stefan Malinowski? - zapytał Kiciuś, strzepując popiół z na wpół wypalonego papierosa.

- Co? - zapytała Hanka, nie odrywając wzroku od pracującej w milczeniu starszej antropolog.

- Że jeździł z ojcem na te wyprawy. Siedział na tylnym

siedzeniu, podczas gdy Zenek zabierał do samochodu autostopowiczki. Później wjeżdżał do lasu i kazał synowi siedzieć w aucie, a sam zniknął na jakiś czas.

- I co? Przez te wszystkie lata chłopak milczał?

- Może nie wiedział, co się dzieje. - Wzruszył ramionami. - Podejrzewał, że chodzi o seks czy coś...

- A ciała? Musiał je jakoś przenosić, skoro znaleźliśmy je tutaj. Myślisz, że je gwałcił, mordował w lesie i pakował zwłoki do bagażnika na oczach syna?

- Nie wiem, na razie Morawska z nim gada.

- To się w głowie nie mieści! Mordować młode dziewczyny z kilkuletnim synkiem w samochodzie?!

- Jak Ridgway - mruknął Kiciuś, wdeptując w ziemię niedopałek.

- Kto? - zapytała Piasecka.

- Gary Ridgway, zwany zabójcą znaną Green River. Zamordował czterdzieści dziewięć kobiet, ale liczba ofiar może być znacznie większa. Podobno wabił je do samochodu na dziecko, które ze sobą zabierał. Jego znakiem rozpoznawczym były kamienie umieszczane w pochwach ofiar.

- Wydaje mi się, czy mówisz o tym z fascynacją w głosie?

- Wydaje ci się. Nie morduję kobiet. Wolę z nimi robić co innego - odparł Kiciuś, mrugając do niej.

- Na przykład żreć chipsy przed telewizorem?

- To też. - Wyszczrzył się w szerokim uśmiechu i ruszyli w stronę jego toyoty.

Na posterunku prokurator Nina Morawska w towarzystwie Mariana Oziębłowicza nadal przesłuchiwała Stefana Malinowskiego. Kiciuś pchnął drzwi od niewielkiej salki z lustrem weneckim i przysunął sobie krzesło.

- Przecież mówię, że nie miałem o tym pojęcia! - krzyknął Stefan, posyłając złe spojrzenie Oziębłowiczowi.

- A twoja matka? - zapytał Marian.

- Wtedy już nie żyła.

- Czy twój ojciec kiedykolwiek rozmawiał z tobą o czymś, co wydawało ci się dziwne bądź podejrzane? Czy sam miałeś jakieś podejrzenia, że na terenie jego posesji mogą być zwłoki?

- Nie! Mówiłem już, że nie! Nie mam z tym nic wspólnego, byłem wtedy dzieciakiem! - Stefan stracił panowanie nad głosem.

- Nie mam z tym nic wspólnego, słyszycie?! To nie moja wina, że mój ojciec był czubkiem! Ja też nie miałem łatwego dzieciństwa! Myślicie, że czemu ledwo z nim gadałem?!

- Czemu? - zainteresowała się Nina.

- Bo moje dzieciństwo było piekłem! Bo się nade mną znęcał, bił mnie, poniewierał. Bo byłem dla niego nikim! - wykrzyczał.

- Muszę się napić kawy. Też chcesz? - zapytała Piasecka.

- Nie. - Kiciuś wciąż wpatrywał się w rozgrywający się za szybą spektakl, ale ona miała dość.

Dość przemocy, ludzkich dramatów i całego tego syfu. Robiąc sobie kawę, pomyślała o tych wszystkich dziewczynach. Już teraz udało się im ustalić, że trzy z nich to zaginione w latach dziewięćdziesiątych nastolatki najprawdopodobniej podróżujące wciąż jeszcze wtedy modnym autostopem. Aneta Czarnecka, Wioletta Gawrońska i Marzena Walczak - te trzy powinny być ofiarami Malinowskiego, tak przynajmniej wynikało z tego, co udało im się znaleźć w jego „pamiętkach”. Reszta szczątków była na tym etapie jedynie wyjętymi z ziemnych grobów szkieletami, których pewnie długo nie uda się im zidentyfikować.

Godzinę później na posterunek przyjechała Irena Gawrońska, matka jednej z dziewczyn, i Piasecka rozłożyła przed nią

znalezione w domu Malinowskiego drobiazgi.

- Poznaje pani którąś z tych rzeczy? - zapytała cicho, starając się odpędzić myśli o własnej córce, która mogłaby paść ofiarą szaleńca.

- Tak, to pierścionek Wioli - powiedziała kobieta łamiącym się głosem. - Prowadziłam w tamtych czasach stragan z biżuterią i często jej coś przynosiłam. Lubiła błyskotki.

- Przykro mi z powodu pani córki - odezwała się Hanka, a Gawrońska skinęła głową.

- Jechała wtedy do mojej matki. Obiecała mi, że pojedzie pociągiem, ale widać wybrała autostop. Tyle razy ją błagałam, żeby nie wsiadała do samochodów z obcymi ludźmi, ale ona nie słuchała. Była krnąbrna, dzika, odważna. Nie bała się niczego i ten bydlak... Boże... - Irena Gawrońska nagle zupełnie się rozsypała, a jej drobnymi ramionami wstrząsnął szloch. - Tyle razy tędy przejeżdżałam, mam przecież w okolicy rodzinę. A ten dom, tak blisko drogi... Nie mogę uwierzyć, że ona tam tak po prostu na nas czekała... Ale teraz przynajmniej będę mogła ją pochować. Szkoda tylko, że mąż tego nie doczekał...

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Wierzę, tylko co z tego? - Na jej twarzy pojawił się brzydki grymas. - Czasu nie cofniemy, stało się. Miałam piękną, mądrą córkę, i już jej nie mam... Chciała zostać nauczycielką, wie pani? Uczyć dzieciaki, zawsze je lubiła. Ale nie zdążyła nawet skończyć liceum.

- Słuchaj, chyba mamy jeszcze jedną! - Nieświadomy obecności matki jednej z domniemanych ofiar, Kiciuś wpadł do pokoju przesłuchań i dopiero na widok siedzącej za stołem ponurej, siwej kobiety zdał sobie sprawę, jaką palnął gafę. - Przepraszam, ja...

- To nic. Szukajcie dalej, ich rodziny czekają - powiedziała

Gawrońska cicho.

- Szukamy - zapewnił ją, zanim wyszedł.

- Ile ich znaleźliście? - zapytała matka ofiary.

- Nie mogę z panią o tym rozmawiać.

- Tak, oczywiście. Mogłabym zapalić?

- Jasne. - Hanka wstała, sięgnęła po leżącą na parapecie popielniczkę i położyła ją na stole. - Powinna pani wyjść na korytarz, ale... - Wzruszyła ramionami i sama nabrała ochotę na papierosa.

Zwalczyła ją jednak w sobie i tylko z błogością przymknęła oczy, kiedy poczuła unoszący się w niewielkim pokoju dym.

- Czy jest szansa, że to nie moja córka? - zapytała nagle Irena Gawrońska. - Rozumie pani, że wśród tych szczątków nie ma jednak mojej Wioli? Przecież jeszcze niczego nie potwierdzono oficjalnie, robicie te swoje ekspertyzy...

- Oczywiście, jest taka szansa. Ale to byłyby złe wieści. To by znaczyło, że po prostu nie udało się nam znaleźć szczątków Wioli, która może być pochowana gdzie indziej. Zazwyczaj tacy zwyrodnialcy trzymają się jednego miejsca. Jeśli miał swój cmentarzyk w stodole i w ogrodzie, małe są szanse, że grzebał te dziewczyny również gdzie indziej.

- Boże... - Gawrońska zastygła z zapalonym papierosem w dłoni, a po jej wychudzonym, zapadniętym policzku spłynęła samotna łza. - Moje nieszczęsne dziecko - wyłkała, a Hanka zacisnęła palce na jej dłoni i posłała jej współczujące spojrzenie.

Kiedy stamtąd wyszła, była tak przygnębiona, że miała wrażenie, jakby ktoś położył jej na piersiach kilkutonowy ciężar. Zanim wsiadła do samochodu, wzięła kilka głębszych oddechów, starając się odegnąć kłębiącą się jej pod czaszką wizję rozrzuconych w ziemi kości, i sięgnęła po kluczyki.

- Już wychodzisz? - zaczepił ją Kiciuś, który właśnie wracał ze sklepu z puszką coli w dłoni.

- Umówiłam się z kimś - powiedziała, a Wojciech przeciągle gwizdnął.

- Romansik na boku, koleżanko?

- Stary znajomy - ucięła dyskusję.

Wyjeżdżając z miasteczka, sięgnęła po telefon i wybrała numer córki.

- Jesteś już w domu? - zapytała, kiedy młoda odebrała.

- Tak, odrabiam lekcje.

- No proszę, złote dziecko. Co chcesz na kolację?

- Nic. Zjem parówki.

- A twój ojciec?

- Co z nim? - zapytała Zuza.

- Pytam, czy już wrócił?

- A nie możesz sama do niego zadzwonić? - odburknęła Zuzanna.

- Pytam ciebie.

- No więc nie ma go. Muszę kończyć, pa!

- Czeka, chwila! Jesteś sama? - zapytała Hanna, zwalniając przed zakrętem.

- A co? Służba więzienna robi telefoniczny obchód? - parsknęła młoda.

- Posłuchaj, myślałam, że ostatnio się dogadałyśmy, ale widzę, że nadal pyskujesz...

- Bo ciągle nade mną wisisz! Daj mi oddychać, co, mamoo?!

- Dobrze, kochanie. Oddychaj. Muszę kończyć. Będę niedługo - skłamała na koniec, bo nie zanosilo się na to, żeby miała wrócić wcześniej niż za dwie godziny.

- Pa - burknęła młoda, zanim się rozłączyła.

- Pa, kochana córeczko, całuję cię - mruknęła Hanka, odkładając telefon.

Do gospody o wdzięcznie i jednocześnie idiotycznie brzmiącej nazwie Srebrna Balerina dotarła kilka minut przed umówionym spotkaniem i usiadła przy stoliku z widokiem na rozciągający się za wydmami sosnowy las.

- Co podać? - zapytała siwiejąca na skroniach właścicielka, która wspólnie z mężem i dwiema córkami od długich lat prowadziła ten lokal.

- Na razie poproszę tylko latte. Czekam na kogoś - powiedziała Piasecka, a kobieta skinęła głową i położyła na jej stoliku nieco wyświechtane menu z pozaginаныmi rogami.

Artur zjawił się lekko spóźniony. W eleganckim wełnianym płaszczu, czarnych spodniach i skórzanych butach niewiele miał z tamtego piegowatego nastolatka, w którym lata temu się kochała. Zauważyła, że mocno pociemniały mu włosy, a niegdyś pucułowata twarz wysmukłała. Tylko oczy wciąż miał te same. Duże, śmiejące się, piwne i znajome.

- Cześć. Cieszę się, że się odezwałaś - powiedział.

- Cześć. - Podała mu rękę, którą potrząsnął i usiadł naprzeciwko Hanki.

- Dziwna sytuacja. - Uśmiechnął się nieco nerwowo. - Ile myśmy się nie widzieli?

- Ze dwadzieścia lat.

- Wow... Czas leci. Świetnie wyglądasz.

- Ty też - odwzajemniła komplement i przy stoliku na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Słyszałem, że jesteś gliną - odezwał się w końcu Artur.

- Dobrze słyszałeś.

- Kto by pomyślał... Mała Hania goni bandziorów.

- Tylko nie mała. - Uśmiechnęła się krzywo i podsunęła mu kartkę. - Wybierz coś, bo mam wrażenie, że pani właścicielka coraz bardziej nerwowo tu zerka.

- Biorąc pod uwagę, że w lokalu pustki, rozumiem jej napięcie.

- Artur spojrział w menu i zdecydował się na pierogi z mięsem.

- A ty? Czym się zajmujesz? - zapytała Hanka.

- Prowadzę gospodarstwo agroturystyczne niedaleko stąd. Przyjmujemy letników, ale zajmujemy się również hipoterapią. Pracujemy też z autystycznymi dziećmi.

- Czytałam kiedyś, że osobom autystycznym szczególnie służy kontakt z końmi.

- Tak, coś w tym jest. - Odsunął na bok kartę i ujął Hankę za rękę, obracając na jej palcu złotą ślubną obrączkę. - Długo jesteś mężatką?

- Szmata czasu. Mamy nastoletnią córkę. A ty?

- Niedawno rozwiedziony. Mamy sześciolatniego syna i jakoś się dogadujemy w opiece nad nim.

- To ważne.

- Tak, ważne. Dostatecznie dużo przeżył, kiedy się wyprowadziłem.

- Inna kobieta?

- Inny mężczyzna. Moja żona, znaczy się była żona, zakochała się w jednym z naszych rehabilitantów.

- Z wzajemnością, jak rozumiem?

- Niestety tak.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Od dawna słabo się dogadywaliśmy i gdyby nie Szymek... Ale zostawmy ten temat. Czyli jesteś szczęśliwa?

- Po japońsku - powiedziała Hanna. - Jako tako - dodała, widząc jego pytające spojrzenie.

Roześmiał się i pogłaskał ją po rękę.

- Naprawdę świetnie wyglądasz - powiedział.

- Dzięki.

- Czemu właściwie się do mnie odezwałaś? Po tylu latach, tak nagle...

- Chciałam cię zobaczyć. Pogadać z kimś, kto pamięta stare czasy, powspominać. Coś się stało i...

- Coś się stało? - Artur wyraźnie się zaniepokoił. - Masz jakieś problemy?

- Nie, nie o mnie chodzi. Pamiętasz tę parę z pomarańczowo-beżowego busa?

- Tę, która urządziła sobie seksy pod gołym niebem? No, pamiętam, a co? - Artur wymownie się uśmiechnął i dodał, że czasem się zastanawia, gdzie wtedy zniknęli.

- Właśnie, gdzie zniknęli... Niedawno ich znaleźliśmy.

- W jakim sensie? - zdziwił się, zanim zrozumiał. - O kurwa...

- Właśnie. Byli w stodole kolesia, który kilka dni temu się powiesił. Dokopaliśmy się tam też do kilku innych ciał.

- Mówisz poważnie?

- Przecież nie robię sobie z ciebie jaj! - podniosła głos. - Wybacz, jestem zmęczona - dodała znacznie łagodniejszym tonem.

- Grubo, powiem ci. Ktoś ich zabił? Ktoś z naszej okolicy?

- Zenek Malinowski, pamiętasz go?

- Tego wiecznie pijanego kolesia z zezem? Jasne. Przecież latami kręcił się po lunaparku i zawsze obrzydliwie cuchnął.

- Potem, czosnkiem i wódą, pamiętam. No więc wszystko wskazuje na to, że w latach dziewięćdziesiątych Malinowski zwabiał do samochodu i mordował młode kobiety, czasem jeszcze niemal dzieci...

- Hanka, ty mówisz poważnie...
- Tak, mówię poważnie! Wiadomości nie oglądasz?
- Prawdę mówiąc, nie. Zazwyczaj do późna siedzę w gospodarstwie, a kiedy wracam do domu, padam ze zmęczenia. Kurwa, grubo...
- Wiem. Koszmarna sprawa. Dlatego się odezwałam, bo pamiętasz ich tak dobrze jak ja. Chyba chciałam, żeby jeszcze na chwilę ożyli w naszych wspomnieniach.
- Miałaś na jej punkcie obsesję - przypomniał sobie Artur.
- Fascynowała mnie. Zazdrościłam jej wolności, wyobrażałam sobie, że wiecie idealne życie. Była młoda, piękna, fajnie ubrana i miała superfaceta, z którym podróżowała po Polsce. Mając piętnaście lat, wierzyłam, że nie można się lepiej w życiu bawić.
- No to się zabawiła - mruknął Artur, który wciąż wyglądał na wstrząśniętego.
- Wybacz, nie chciałam cię aż tak zszokować.
- No co ty. Cieszę się, że możemy porozmawiać. Śnisz mi się czasem. Ty i nasza dziewczynka... I do dziś mam wyrzuty, że mnie wtedy przy tobie nie było...
- Artur, nie miałeś wyjścia! Byliśmy dziećmi! Mnie zesłano do domu tej upiornej parki, a ciebie rodzice wywieźli do Niemiec.
- Tchórze! - syknął Artur. - Powiedziałem im, że będą mieli wnuczkę. Miałem nadzieję, że pozwolą mi chociaż ją zobaczyć, a oni nawiali. I później mi jeszcze wmawiali, że od dawna planowali ten wyjazd, niby ze względów biznesowych.
- Może planowali... - Wzruszyła ramionami.
- Nie bądź naiwna! Pisałem do ciebie listy. Przez długie miesiące, przynajmniej jeden tygodniowo.
- Żadnego nie dostałam. Pewnie ojciec je niszczył. Albo Teresa - powiedziała cicho Hanka.

- Żyją jeszcze?

- Ona tak, tato nie.

- Przykro mi.

- Dzięki. - Zapatrzyła się w okno i przez chwilę milczeli.

- Czasem się zastanawiam, jak wygląda nasza córka. Czy jest szczęśliwa, czy powiedzieli jej, że została adoptowana?

- Uwierz mi, jeśli ma odrobinę oleju w głowie, nigdy nie uwierzy, że jest biologiczną córką tej wiedźmy i jej kmiotowatego męża. - Hanka skrzywiła się na wspomnienie pobytu w tamtym domu i sięgnęła po widelec, bo kelnerka postawiła przed nią talerz z omletem. - Smacznego - dodała.

- Dzięki. - Artur wbił widelec z pieroga i przez chwilę jedli w milczeniu. - Przesłali ci jakieś zdjęcia? Wiesz, jak teraz wygląda?

- Żartujesz? Martwa cisza. Zresztą już wtedy, kiedy mi ją zabierali, wyraźnie zaznaczyli, że nie życzą sobie kontaktu z mojej strony.

- Nie kusi cię, żeby tam jechać? Odszukać ją, opowiedzieć, jak było...

- Artur, nawet nie wiem, jak ona ma na imię! Zresztą co jej powiem? Cześć, porzuciłam cię, gdy miałam piętnaście lat, ale nie miej żalu, bo byłam wtedy smarkulą?

- Coś w tym stylu - mruknął, przesuwając na talerzu sutą porcję skwarków.

- Nie smakuje ci?

- Średnio, prawdę mówiąc.

Dojadła omlet, kiedy zadzwonił Kiciuś.

- Nie uwierzysz, po prostu padniesz! Pamiętasz sprawę tej zaginionej nauczycielki plastyki? Nękał ją swego czasu ten hydraulik, Wojciech Wolski.

- Pamiętam, a co?

- No więc wygląda na to, że ją znaleźliśmy.

- Co? Ale przecież ona nie zaginęła w latach dziewięćdziesiątych, tylko jakieś...

- Prawie dziewięć lat temu w drodze do szkoły, w której uczyła. Wszystko jednak wskazuje na to, że Malinowski mordował w znacznie szerszym przedziale czasu, niż przypuszczaliśmy. Jest kolejny szkielet, przy którym znaleźliśmy między innymi klucze z metalową zawieszką w kształcie słonia. A kości najprawdopodobniej leżały w ziemi znacznie krócej niż w przypadku naszych pierwszych znalezisk.

- Krzysiek Bugaj był pewny, że załatwił ją Wolski, wiele razy o tym rozmawialiśmy - powiedziała Hanka.

- Facet mógł to sobie przypisać. Podejrzewaliśmy go, ale nic na niego nie mieliśmy, więc poczuł się pewnie i snuł te swoje obrzydliwie fantazje. Być może nie miał jaj, żeby zabić, ale chciał się podpiąć pod czyjś sukces.

- A może działali razem? To znaczy zanim Wolski nie stracił nóg w wypadku na torach? - zasugerowała Hanka.

- Może, przyjrzymy się temu. Obaj już nie żyją, więc presji nie ma.

- Chyba że jest trzeci.

- Trzeci? Kurwa, bez przesady! Nie jesteśmy jakąś wioską morderców, nie? - rzucił do słuchawki Kiciński. - No, ale to na razie tylko do twojej wiadomości, bo niczego jeszcze nie potwierdzono. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

- Krzysiek był swego czasu pewny, że to ten hydraulik. Podobno koleś rozmawiał z nim w naprawdę obrzydliwy sposób. „Pamiętam każdy jej pieprzyk i zapach skóry”, te klimaty.

- Świat jest pełen niespodzianek. Muszę kończyć. - Kicius

pospiesznie się rozłączył i Hanka schowała telefon do kieszeni.

- Złe wieści? - zapytał Artur.

- Praca. - Lekko wzruszyła ramionami i upiła kilka łyków. - Słuchaj, będę się zbierać.

- Już? Szkoda.

- Muszę. Córka jest sama w domu, a ja nie jestem jeszcze gotowa na to, by zostać babcią.

- Uuu, aż tak?

- Niestety... Mam pod dachem nieszczęśliwie zakochaną trzynastolatkę, która tylko czeka na okazję, żeby się spotkać ze swoim piętnastoletnim, ostro na nią napalonym chłoptasiem.

- Ale chyba nie myślisz, że...

- A czemu nie? My nie byliśmy wiele starsi.

- Bez przesady, oboje skończyliśmy piętnaście.

- Zuzka niebawem skończy czternaście i na każdym kroku podkreśla, że czuje się wyjątkowo dojrzała. - Hanka wstała i sięgnęła po kurtkę. - Wybacz, że już uciekam.

- Zdzwonimy się jeszcze? Chciałbym...

- Też bym chciała - odparła z uśmiechem.

Kiedy byli na parkingu, pocałował ją w policzek, dotykając ustami kącika jej ust.

- Nie będę kłamał, wróciły dziś stare wspomnienia - podsumował cicho.

- Daj spokój! - Roześmiała się, a jednak lekko się zaczerwieniła.

Nie odprowadził jej do samochodu, co przyjęła z ulgą. Bo nagle, gdy przekręcała kluczyk w stacyjce, zdała sobie sprawę, że faktycznie ożyły wspomnienia.

Do domu wróciła pół godziny później, wpadając w sam środek prawdziwego cyklonu - Marek kłócił się z Zuzą, która swoim zwyczajem histerycznie wrzeszczała.

- Cześć, kocie. Cieszę się, że już jesteś. - Pocałowała męża w usta i powiesiła na wieszaku kurtkę.

- A gdzie ty byłaś? Bo na pewno nie na komendzie. Wpadłem tam i cię nie zastałem.

- Musiałam z kimś pogadać - rzuciła enigmatycznie. - Wybacz, lecę siku. - Jeszcze raz cmoknęła męża w usta i zamknęła się w łazience, gdzie przemyła twarz zimną wodą i wzięła kilka głębszych oddechów.

Nie, nie odbiło jej przecież, do cholery! Kochała Marka, byli razem szczęśliwi, a Artur to tylko miłe wspomnienie szczeniackiego zauroczenia, nic więcej, powiedziała sobie, rozpuszczając włosy. Kiedy wyszła z łazienki, zapłakana Zuza zamknęła się u siebie, a mąż, pogwizdując, obsmażał mięso.

- O, jak miło. Rozumiem, że dzisiaj ty gotujesz - rzuciła z uśmiechem, siadając za kuchennym stołem.

- Nie odpowiedziałas mi. Gdzie byłaś?

- U Weroniki - skłamała, podając imię dawno niewidzianej koleżanki.

- I co u niej?

- W porządku.

- A jej Andrzej? Dalej tonie w długach?

- Nie pytałam, wiesz przecież, że to niezręczny temat.

- W sumie tak - przyznał Marek, sięgając po pieprz.

Czemu kłamię? - zastanawiała się Hanka, w milczeniu skubiąc resztkę bagietki. I czemu w ogóle umówiłam się na to nedorzeczne spotkanie? - wyrzucała sobie. Czasem nie warto budzić przeszłości, a ja właśnie to zrobiłam, zdała sobie sprawę.

Kiciuś wszedł do kuchni, cisnął do kubła na śmieci zostawione przez Goškę opakowanie po paprykowych chipsach i wyjął z lodówki piwo.

- Cześć, przystojniaku - rzuciła Honorata, jedna z siedzących za kuchennym stołem koleżanek Goški. - Sprzątasz za nami?

- Cześć, flirciaro. Ktoś musi. - Wojciech puścił do niej oczko i uporał się z kapslem.

- Widziałam to - mruknęła Goška, nie odrywając wzroku od trzymanej w dłoni woskowej figurki. - Co to jest, do cholery? - zastanawiała się na głos.

- Mnie to wygląda na but! - krzyknęła Paulina, strącając przy tym ze stołu plastikową miskę z popcornem. - Sorry, pozbieram. - Schyliła się, prawie przy tym spadając z taboretu, i Kiciuś zdał sobie sprawę, że zakrapiana czerwonym winem babska impreza musi trwać od dłuższego czasu.

- A parapety czosnkiem posmarowałyście? - zapytał, z pobłażliwym uśmiechem przyglądając się wróżącym z wosku dziewczynom i Pauli, która z żenująco podwiniętą kiecką zbierała z podłogi rozsypany popcorn.

- Zostaw to, zaraz zamiotę. - Upił kilka łyków piwa, odstawił flaszkę i wyjął spod zlewu zmiotkę.

- Od kiedy jesteś takim pieprzonym pedancikiem, szeryfie? - parsknęła wyraźnie poirytowana Goška.

- Od kiedy przestałaś ogarniać ten chlew - mruknął, zamiatając.

- Ogarniam. Tyle że nie z maniackim zapalem. - Sięgnęła po

kawałek czekolady i zapatrzyła się w woskową wróżbę Pauli. – Ty, a może do Włoch pojedziesz? No wiesz, ten but to mi wygląda jak na mapie.

– No, chciałabym, zwłaszcza do Wenecji. Tylko za co? Przecież wiesz, jak jest. Stale nie mamy kasy – zachmurzyła się Paulina.

– To chociaż nowe kozaki sobie kup – wtrąciła Honorata i całe towarzystwo parsknęło śmiechem.

– Co mówiłeś o smarowaniu parapetów czosnkiem? – zainteresowała się Wiola.

– To taka dawna tradycja. Żeby się wam upiory nie przyśniły zamiast przyszłego męża – wyjaśnił Kiciński.

– To w wigilię świętego Andrzeja się robi, wczoraj trzeba było. A męża już mam, drugiego nie szukam. – Paulina uśmiechnęła się krzywo.

– Ale gdybyś szukała drugiego, to nasłuchuj, od której strony psy szczekają – skwitowała Wiolka i wszystkie cztery parsknęły śmiechem.

– Bawcie się dalej, ja idę oglądać film. – Wojciech ruszył w stronę salonu, ale Gośka zerwała się z za stołu i złapała go za rękę.

– Czekaj, pedanciku. Tobie też zaraz coś wywróżymy.

– Może lepiej nie? – mruknął, podczas gdy rozbawiona Paulina wyjęła z miski z zimną wodą zastygłą woskową figurę w bliżej nieokreślonym kształcie.

– Wygląda jak cycek, widzicie to? – rzuciła Honorata, a Paula aż się wzdrygnęła.

– Ty, zaraz mi to wypluj! Ledwo skończyłam karmić Jaśka! – obruszyła się.

– Wygląda jak jakaś sakiewka. – Gośka zmrużyła oczy i lepiej się przyjrzała trzymanemu przez Paulinę kawałkowi wosku.

- Na moje oko jak worek na zwłoki z pełną zawartością. Bawcie się dobrze. - Kiciuś cmoknął Gośkę w szyję i zostawił rozbawione przyjaciółki w ich babskim gronie.

Zalegał przed telewizorem, kiedy odezwała się jego komórka.

- Wujku? Masz chwilę? - usłyszał w słuchawce wyraźnie podenerwowany głos Arka Bugaja, syna zmarłego kumpla.

- Jasne. Co jest? - Wojciech sięgnął po pilota, ściszył telewizor i zamienił się w słuch, bo świetnie wiedział, że skoro chłopak do niego dzwoni, dzieje się coś niepokojącego.

- No bo chyba się trochę syf zrobił! - krzyknął do słuchawki Arek, usiłując przekrzyczeć dudniącą w tle muzykę.

- Gdzie ty jesteś, chłopie?! - zapytał Kiciuś.

- No w domu, ale...

- W domu?! To co się dzieje?

- No bo chyba mamy tu problem. Jest takich dwóch kolesi, którzy...

- Dobra, zaraz u was będę!

Pięć minut później wsiadał do samochodu, starając się nie myśleć o wypitej przed chwilą flaszcze piwa. Jedna to nic, pojedę powoli, powiedział sobie, chociaż świetnie wiedział, że owszem, jedna to już coś i nie powinien po niej wsiadać za kierownicę. Miał jednak fart i chociaż jezdni była zdradziecko śliska, udało mu się dotrzeć na miejsce w jednym kawałku.

Arek czekał przed domem, drżąc z zimna w samej cienkiej bluzie.

- Co jest, młody? Zrobiłeś imprezę? - Kiciuś zerknął w rozświetlone okna i krzywo się uśmiechnął. - Mama wyjechała?

- No, na dwa dni. Obiecałem, że niczego nie odwalę, ale...

- Ale co?

- No bo to miała być spokojna domówka, nie? Przyszło dwóch

kumpli i cztery laski z naszej klasy. Tyle że Justyna z Dominiką poszły do delikatesów przy porcie i przywlokło się za nimi dwóch pijanych koleś grubo po trzydziestce.

- Są w środku?

- Tak. Dlatego zadzwoniłem. Próbowaliśmy ich z chłopakami wyprosić, ale rozsiedli się w salonie i piją flaszkę, którą ze sobą przynieśli. A jeden z nich ostro się dobierał do Justyny, ledwo go odciągnęliśmy.

- W głowie się nie mieści! Wbili się wam na chatę? Obcy koleś? - zdumiał się Wojciech.

- Właśnie. I tak sobie pomyślałem...

- Dobra, chodźmy do środka. Każę im spierdalać, a ty kończysz imprezę.

- Nie no, ale czemu?

- Dobra, o tym potem. Właż. - Kiciuś niemal wepchnął chłopaka do ciepłego domu i też wszedł do środka.

Wewnątrz poczuł dziwny skurcz w okolicy serca, bo wróciły wspomnienia. Tyle razy wpadał do Krzyśka, żeby obejrzeć mecz czy wypić piwo, a teraz ten dom był tylko miejscem, w którym już go nie ma...

- Czekaaj, kurwa! Nie bądź taka cnotliwa! Chciałem tylko zobaczyć, jakie nosisz majteczki! - wrzasnął ktoś w salonie.

- Sam widzisz, wujku - mruknął idący obok niego Arek.

Kiciuś wszedł do pokoju, w którym zastał przestraszone dziewczyny i dwóch równie przerażonych nastoletnich szczyli, oraz rozwalonych na sofie rosnących koleś. Ich kurtki leżały niedbale rzucone u podnóża kanapy. Na nogach mieli ciężkie zimowe buciory. Zabłocili wycyklinowany niedawno parkiet, a smród wypalonych przez nich petów na dobre wgryzł się w atmosferę nieco dusznego pokoju. Kiciuś nie znał ich

z widzenia, podejrzewał, że mogą być z sąsiedniego miasteczka, i świetnie zdawał sobie sprawę, jak bardzo są pijani. Jednak trzeba było działać, więc podszedł bliżej i mało sympatycznym tonem kazał się im zabierać.

- Ale jak zabierać się? Impreza jest, nie? - zaprotestował ten grubszy z kilkudniowym zarostem na twarzy. - Wpadliśmy na te foczki w porcie, zaprosiły nas tu...

- Nigdzie was nie zapraszałyśmy! Przywlekliście się tu za nami!
- krzyknęła jedna z dziewczyn.

- Wypierdalać stąd, ale już! - podniósł głos Kiciński, a nieproszeni goście zarechotali.

- Ale co tak nerwowo, kierowniku? Siedzimy sobie, pijemy...

- Powiedziałem, wypierdalać - wycedził Wojciech, łapiąc jednego z nich za kaptur od bluzy.

Wtedy wstał ten drugi i walnął go w nos. Dziewczyny zaczęły krzyczeć, Arek ruszył w odsieczą.

- Odsuń się i dzwoń po policję! - nakazał Kiciuś, zanim przyjął kolejny cios.

Po chwili udało mu się walnąć tego wyższego i powalić na dywan niższego, ale na tym jego fart się skończył. Szykował się do ataku, kiedy za jego plecami rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Tulipana naprędce zrobionego z rozbitej butelki dostrzegł o sekundę za późno... I był już tylko palący ból, histeryczny dziewczęcy krzyk i krwawa jatka w skąpo oświetlonym salonie zmarłego przyjaciela.

Opracowanie graficzne okładki:
Emotion Media

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne:
Karol Maciąg

Korekta:
Sylwia Kozak-Śmiech

© 2019 by Katarzyna Misiołek
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: . Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327645098

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi S.A.